

# OSTATNI CZŁOWIEK

ALEKSANDER JUNOSZA OLSZAKOWSKI





**ALEKSANDER JUNOSZA**  
**OLSZAKOWSKI**

 „Ostatni człowiek“

*OD REDAKCJI. Czytając „Ostatniego człowieka”, trzeba pamiętać, że to może być jedynie obraz, odmalowany w wyobraźni autora na podstawie skąpych słów Pisma św. Ale słowa te, a zwłaszcza słowa Chrystusa Pana w Ew. św. Mateusza rozdz. 24, 4—44, podają pewne znamiona, po których będzie można poznać zbliżanie się dnia ostatecznego, Te rysy musiał autor zachować i dać im wyraz w powieści.*

*Jak było za dni Noego, tak będzie i przy przyjściu Syna Człowieczego<sup>11</sup> — mówi Chrystus Pan. Będzie więc zepsucie. Obrazu tego zepsucia, tego jedzenia i picia nie mógł autor pominąć w powieści, ale odmalował go bardzo oględnie. Wszak ludzie nie spostrzegą się nawet, gdy przyjdzie ostatni dzień, żyć będą i grzeszyć, jakby im nic nie groziło.*

*Antychryst będzie rzeczywistą postacią. Będzie człowiekiem. Przyjdzie z wszelką mocą i będzie czynił znaki i cuda kłamliwe, uwodzące ludzi. Będzie prowadził walkę przeciwko Kościołowi. Będzie wrogiem Chrystusa. Stąd jego nazwa — Antychryst. Tak jak na radzie sowieckiej bluźnią przeciw Chrystusowi, tak i Antychryst będzie mu bluźnił. Słowa jego jednak będą miały uwodzącą siłę. Będzie bowiem występował jako przyjaciel ludzkości. Będzie głosił hasła, które będą się ludziom wydawać słusznymi i wiele dusz uwiodą.*

*I to wszystko również musi być w obrazie dni, poprzedzających przyjście Syna Człowieczego. Antychryst i jego poprzednicy muszą mówić bluźnierczo.*

*Dni ostatnie będą też dniami udręki, spustoszenia. „Powstanie naród przeciwko narodowi, a królestwo przeciw królestwu. Będą też miejscami zaraza i głód i trzęsienia ziemi” — mówi Pan Jezus. I to również znajdzie wyraz w powieści.*

*Tak trzeba patrzeć na tą powieść. Nie może ona pominąć obrazu zła, które dni owe poprzedzi, ale zwycięstwo Chrystusa nad Antychrystem, będzie zarazem potępieniem tego zła i lekkomyślności ludzkiej. Jaśniej będziemy patrzeć na niebezpieczeństwo, gdy poznamy jego objawy, a zwłaszcza, gdy usłyszymy, jakimi uwodzającymi słowami fałszywi Chrystusowie uwodzić będą słabe lub liche dusze przed przyjściem Syna Człowieczego.*

*Wielka z tego nauka i na dzisiejsze czasy. I dzisiaj słabe i liche dusze tak uwodzą fałszywi prorocy.*

*Tak więc autor trzymając się słów Pisma św. daje nam nawskroś katolicką. — Dalsze zwłaszcza części, malujące obraz spustoszenia i walk między narodami, będą żywą ilustracją ewangelii, których każdy katolik z tak nadzwyczajnym wzruszeniem słucha na każdym przelomie roku kościelnego.*

**MIRANDA**

**&**



## Rozdział I.

Potężny warkot wspaniałego samochodu spłoszył nagle konie. Wśród wieśniaków, zgromadzonych tłumnie na dziedzińcu kościelnym w Winnej Górze, nastąpiło poruszenie. Powszechnie było wiadome, że młody dziedzic sąsiedniego majątku, pan Stefan Czamburski, niezwykle rzadko uczęszczał do kościoła i przeto każde zjawienie się jego było nielada wydarzeniem dla okolicy.

Zręcznie przewijając się między furmankami auto dotarło wreszcie pod bramę kościelną i pan Czamburski w towarzystwie swej uroczej kuzynki, pani Idy Reńskiej, wszedł do kościoła.

Na ambonie stał właśnie ksiądz, rozpoczynając kazanie.

Czamburski trącił lekko łokciem swoją towarzyszkę i, uśmiechając się, szepnął:

—Słuchaj uważnie. Ida! Nasz ksiądz proboszcz zacznie zaraz prawić kazanie na temat końca świata! Zawsze napędza chłopstwu porządnego strachu, a i obywatelstwo zaczyna się od pewnego czasu niepokoić! Przedziwny dar wymowy ma ten człowiek!

W samej rzeczy młody ksiądz, powiódłszy surowym okiem po zebranych, przeżegnał się.

—W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Amen. Rzekł Chrystus Pan: oto przychodzę rychło, a zapłata moja ze mną jest, abym oddał każdemu według uczynków jego. A gdy usłyszycie wojny i wieści o wojnach, nie trwóźcie się, bo trzeba, aby rzeczy te stały się pierwej, aleć już nie koniec. Powstanie naród przeciw narodowi i królestwo przeciw królestwu; będą miejscami trzęsienia ziemi i mory i głody i strachy z nieba i znaki wielkie!

Czamburski uśmiechnął się złośliwie i spojrzał na swą towarzyszkę.

—A widzisz, — szepnął triumfująco — nie mówiłem?!

—Daj spokój! Nie umiesz się nawet w kościele poważnie zachowywać!

Tymczasem w ławach stojących obok głównego ołtarza, gdzie zwykle gromadziło się obywatelstwo okoliczne, zauważono obecność Czamburskiego. Pani Niuta Czerska z grymasem niezadowolenia na twarzy rzekła półgłosem do swego męża:

—Patrz, Stasiu! Czamburski znowu afiszuje się ze swą kuzynką z Warszawy. Zaprosiłeś go dzisiaj na brydża i z pewnością ona też z nim przyjedzie!

—Nic nie szkodzi! Ludzie więcej o niej złego mówią, aniżeli jest w tern prawdy. Zresztą nie przeszkadzaj mi, ponieważ ksiądz dzisiaj niezmiernie ciekawe porusza tematy.

Wśród głębokiej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, ksiądz ciągnął dalej swe kazanie.

— Drodzy moi! To, co działo się w dawnych czasach, dzieje się i obecnie.

Mimo trafnych przepowiedni, mimo ostrzeżeń, mimo wojen i chorób, które wytraciły miliony istnień ludzkich ludzie jedzą i piją, żenią się i gospodarują, kupują i sprzedają, piszą i bawią się. I nikt nie myśli o boskim Złodzieju, który znienacka przyjdzie pośród nocy; nikt nie oczekuje prawdziwego Pana, który powróci niespodzianie; nikt nie bada niebios, by się przekonać, czy błyskawica nie ukazuje się na wschodzie, ażeby sięgnąć aż na zachód... Za żywota swego Chrystus Pan zapowiadał powtórne przyjście na ziemię, ażeby sądzić żywych i umarłych! Nie będzie wówczas wielkich ani małych, potężnych i słabych, albowiem wszelka potęga starta będzie na proch i pozostaną tylko źli i sprawiedliwi! Boże Nieśmiertelny! Dwa tysiące lat mija od czasu przyjścia Twego syna na ziemię, a cóżemy uczynili dla zbawienia dusz własnych? Żywimy się kłamstwem, oddychamy nienawiścią, kierujemy się wszelką nieprawością i ohydą, zapominając o wzniosłych przykazaniach miłości wszechludzkiej, które nam Chrystus Pan pozostawił! Chryste! Za to, żeś nas ukochał miłością ojcowską, ukrzyżowano Cię, oplwano i zbito! Za to, żeś nam przebaczył, ścigaliśmy nieprzyjaciół swoich z całą zapamiętałością! Pytam się: gdzie miłość Twoja, Chryste, która rządzić miała narodami i czynić z obcych sobie ludzi — braci?! Narody bogate skazują na głód narody ubogie! Zbuntowani niewolnicy mordują swoich panów wczorajszych! Panowie rękami najemników mordują zbuntowanych! Zwierzęca miłość każdego człowieka dla siebie samego, każdej kasty dla siebie samej, każdego ludu dla siebie jednego, wyolbrzymiała jeszcze i bardziej stała się ślepa po latach, gdy nienawiść pokryła ziemię zgliszczami, dymem, grobami i kośćmi! Ludzie nie pamiętają o Chrystusie i Jego przepowiedni. Żyją, jak gdyby świat miał istnieć zawsze, jak istniał dotychczas. I zabiegają i troszczą się o swe sprawy ziemskie i cielesne! „Albowiem — mówi Jezus — jako we dni przed Potopem jedli i pili, żenili się i za mąż dawali, aż do Onego dnia, którego wszedł Noe do korabia: i nie poznali, aż przyszedł potop i zabrał wszystkie: tak będzie i przyjście Syna Człowieczego. Także, jako się działo za dni Lotowych: jedli i pili, kupowali i sprzedawali, szczepili i budowali. A którego dnia wyszedł Lot z Sodomy, spadł deszcz ognisty i siarczasty z nieba i wytracił wszystkich. Wedle tego będzie w dzień, w który Syn Człowieczy się objawi!

Z największą mocą słowa księdza Piotra działały na poczciwych wieśniaków. Baby głośno pociągały nosami, pochlipując cicho, gospodarze zaś przestępowali z nogi na nogę, w zakłopotaniu patrząc przed siebie. Niejeden z nich nie wiedział, co myśleć słowach księdza. Czy ma chałupę sprzedać, pieniądze rozdać i samemu pod kościołem usiąść, oczekując wybawienia własnej duszy, czy też po staremu siedzieć na roli i pracować. Zagadnienie to było istotnie ciężkie, toteż westchnienie ulgi wydarło się z wielu piersi, gdy ksiądz skończył kazanie. Tłum ospale ruszył ku wyjściu, szurgając nogami i mnąc czapki w rękach.

Mocne słońce czerwcowe zajrzało ludziom w oczy. Beztroski świergot ptaków podziałął kojąco na przygnębione umysły i na niejednym obliczu wywołał uśmiech niedowierzania, Czyżby świat mógł tak prędko zginąć? Toteż młodzi parobcy w krótkim czasie rozpoczęli niedzielne flirty z dziewczynami, a stateczni

gospodarze gawędy na temat gospodarczy. Starzy tylko ludzie, nad grobem stojący, z bez namiętną troską spoglądali przed siebie, zwiędłymi wargi szepcząc ostatnie pacierze.

Tymczasem na plebani rojno było i gwaro. Liczne grono obywateli roztrząsało różne wydarzenia polityczne, oczekując na przybycie księdza z kościoła. Czamburski i Ida rozmawiali z Czerskimi. Pani Niuta, schowawszy głęboko w sercu swą niechęć do Idy, zaprosiła ją na bridge'a.

—Pani Ido — wtrącił się do rozmowy Czerski — jestem ciekaw niezmiernie, jak na panią działają kazania naszego księdza? Przyznam się, że co do mnie, koniec świata uważam za najpiękniejszą poezję, zaklętą w przedziwnych obrazach, jakie oczy nasze będą w stanie oglądać!

Ida uśmiechnęła się.

—Wie Pan? Nie zastanawiałam się nigdy nad tym, jak to będzie wyglądało. W ogóle zaś kres ostateczny napawa mnie lękiem! Czasami odczuwam niewiarę! Ja kto? Nie będzie już życia na ziemi?

—Myli się Pani — odrzekł Czerski — życie będzie istniało!

—Jakie życie?

—Duchowe! Bardziej sprawiedliwe i wzniosłe, niż te, którym obecnie obdarzył nas Pan Bóg!

Dalszy ciąg ciekawie zapowiadającej się dyskusji na temat końca świata przerwany został nagle wejściem księdza Piotra, który, przywitawszy się z każdym uprzejmie, zaprosił wszystkich na drugie śniadanie. Czamburski, który poraż pierwszy znalazł się w gościnie u księdza proboszcza, oczekiwał z jego strony wyrzutów z powodu swej rzadkiej obecności w kościele i dawania złego przykładu okolicy. Mile byt, przeto zaskoczony, widząc, że kapłan ze swobodnym uśmiechem zagadnął go o ostatni rajd samochodowy, w którym on, Czamburski, wziął pierwszą nagrodę. Nie wszyscy o tym wiedzieli, toteż z wilkiem zainteresowaniem poczęto przysłuchiwać się opowiadaniu Czamburskiego.

W pewnej chwili pani Niuta Czerska z niezwykłym przejęciem zawołała:

—To musi być straszne! Przecież w tym wyścigu górskim czekała pana na każdym kroku niechybna śmierć!

Czamburski chciał odpowiedzieć, gdy wyręczył go niespodzianie ksiądz Piotr:

—Śmierć nie jest straszna!

—Dla księdza, lecz nie dla nas! Co do mnie, przyznam się szczerze, boję się śmierci i za nic w świecie nie chciałabym umrzeć!

—Zapomina pani — wtrącił Czamburski — że śmierć jest wyzwoleniem.

—Pan to mówi? — zachnęła się pani Niuta — ateusz<sup>1</sup>), materialista<sup>2</sup>)?!

—Jest pani w błędzie — odparł ksiądz Piotr biorąc niespodzianie w obronę Czamburskiego — pan Stefan szuka prawdy i za złe mu tego brać nie można.

<sup>1</sup> \*) Bezbożnik

<sup>2</sup> \*) Nie uznający duszy



Może to będzie zbyt śmiało, jednak powiem, że w miarę rozwijania się inteligencji i wyłącznego opierania się na niej człowiek oddala się od wiary, która staje się dla niego czymś niezrozumiałym, nielogicznym<sup>3</sup>), a przede wszystkim nie-  
stwierdzonym. Dopiero w pewnym okresie myślenia umysł zaczyna pojmować  
odwieczne prawdy, widząc, że odrzucenie wiary w nieskończoność i nieśmier-  
telność stwarza taki bezsens naszego życia na ziemi, a co ważniejsze, taką nie-  
logiczność istnienia, że zmuszony jest odstąpić od haseł ateistycznych\*<sup>4</sup>), jak od  
bajek i utopi<sup>5</sup>)!

Czamburski był cokolwiek oszołomiony słowami księdza. Nie wiedział, czy  
ma być wdzięczny za wzięcie go w obronę, czy też czuć do niego urazę za zbyt  
śmiało, ale jakże trafne, scharakteryzowanie jego wartości indywidualnej. Ksiądz  
Piotr z przedziwną intuicją<sup>6</sup>) odgadł, co się działo w jego duszy i skierował  
rozmowę na tory polityczne. Nowy temat wywołał gorącą dyskusję, ponieważ w  
tym czasie Polska należała do mocarstwowych potęg świata, przodując całej  
Europie. Szczególne zainteresowanie budziła sytuacja polityczna Rosji bolsze-  
wickiej, ze względu na wrzenie rewolucyjne, biorące swój początek z pogranicza  
Syberii i Mandżurii.

W miłym nastroju gawęda ciągnęłaby się jeszcze może dość długo, gdyby nie  
wezвано nagle księdza Piotra do chorego. Ze względu na tę okoliczność poczęto  
wstawać od stołu i gotować się do drogi. Czernski jeszcze raz przypomniał czci-  
godnemu gospodarzowi o poobiednim bridge'u, poczem, pożegnawszy sąsiadów,  
odjechał z żoną do siebie. Czamburski z Idą, mając jeszcze godzinę czasu do  
obiadu, wsiedli do auta i, korzystając z pięknej pogody, pojechali na spacer.

Podczas jazdy Ida, przytulona do ramienia Czamburskiego, odezwała się na-  
gle:

— Wiesz, Stef, ksiądz Piotr robi na mnie dziwne jakieś, niesamowite wprost  
wrażenie!

— Mówiłem ci przecież, że jest to dziwak w sutannie!

— Mylisz się! Nie można go uważać za dziwaka, tylko z tego względu, że  
przepowiada koniec świata! Doprawdy życie na ziemi stało się tak nudnym  
ostatnimi czasy, że może byłoby lepiej, gdyby się to już raz skończyło!

Czamburski otworzył szeroko oczy i spojrzał zdziwiony na Idę.

— Jak widzę, kazania księdza przejęły cię do głębi! Zapominasz jednak o  
naszej miłości. Czyż ona straciła już sens dla ciebie?

— Widzisz... miłość miłością, a jednak...

— Co jednak? — Czamburski był poruszony.

— Jednak... patrz lepiej przed siebie, ażebyśmy do rowu nie wpadli!

<sup>3</sup> \*) Nie mającem sensu

<sup>4</sup> \*) Bezbożnych

<sup>5</sup> \*) Mrzonek.

<sup>6</sup>\*) Wnikliwością

Czamburski ze złością szarpnął kierownicą i wyjechał na środek szosy. Aczkolwiek zdążył już przywyknąć do niedomówień Idy, zawsze jednak drażniła go niepewność, czy ona kocha go prawdziwie czy też udaje.

Dziwna to była kobieta! Trzykrotna rozwódka nie może, co prawda dać dużej rękojmi prawdziwej miłości, jednak zachowanie jej stwarzało niekiedy pozory prawdy. Dziś jednak do duszy, Czamburskiego wkradły się z wątpienia.

Nie mówiąc więcej ani słowa skręcił kierownicę i ruszył pełnym gazem do domu.

Ida uśmiechała się zagadkowo.

Winna Góra był to piękny, czterdziestowlókowy majątek, którym od paru lat po śmierci ojca zarządzał Czamburski. Matka jego nie mieszała się do gospodarstwa, szukając po stracie męża ukojenia w ciszy i samotności.

Do dworu prowadziła piękna droga ozdobiona dwoma rzędami przepysznych lip stuletnich. Z chwilą, kiedy auto wjeżdżało w aleję, Ida, spoglądając w górę, dotknęła ramienia Czamburskiego.

—Patrz, Stef ! Jakiś helikopter<sup>7)</sup> szybuje nad nami! Z pewnością twój brat wraca z Warszawy!

Czamburski rzucił okiem w górę i potwierdzająco skinął głową.

—Tak, to maszyna Jerzego! Dziwi mnie tylko, dlaczego tak wcześnie wrócił. Wyjechał przecież do Paryża na miesiąc celem zaznajomienia się z nowym typem helikopterów wojskowych, a tymczasem nie zdążył jeszcze tydzień upłynąć od dnia jego wyjazdu! Musiało się coś stać! Spieszmy zatem!

Tymczasem helikopter zniżył swój lot aż do wysokości drzew i szybował z potężnym warkotem silnika tuż nad samochodem. W pewnym momencie otworzyła się nagle kłapa w spodzie helikoptera, gdzie zazwyczaj lotnicy umieszczają bomby i na kolana zdumionej Idy spadł olbrzymi bukiet przepysznych, czerwonych róż. Ida nie zdążyła jeszcze ochłonać z tak miłej niespodzianki, kiedy helikopter poderwał się w górę, z szaloną szybkością poszybował ku dworowi i pionowo spuścił się na ziemię tuż obok wielkiego klombu. Jednocześnie prawie Stefan Czamburski, podrażniony w swej ambicji sportowej, przyspieszył bieg maszyny do stu kilometrów i raptownie zahamował przed gankiem. Z pod kół samochodu wzbił się tuman kurzu i z metalicznym szelestem posypał się żwir.

Z helikoptera wyskoczył młody człowiek, lat dwudziestu kilku, wysokiego wzrostu, barczysty, w mundurze kapitana lotników armii polskiej.

—Witajcie!

—Jak się masz.

Jerzy? — zawołała Ida, radośnie uśmiechnięta.

—Zrobiłeś nam naprawdę niespodziankę swoim przyjazdem — wykrzyknął Stefan całując się serdecznie z bratem. — Przyznam się, żeś mi zaimponował!

<sup>7)</sup> Samolot, mogący się wznosić w powietrzu w kierunku pionowym.

Twój pomysł z bukietem jest fenomenalny<sup>8)</sup>). No, ale żarty na boki. Co się stało, żeś tak szybko wrócił z Paryża?

— To jest długa historia! Pomówimy o tym przy obiedzie!

Przebrawszy się i umywszy ręce, młodzi zasiedli do stołu. Pani Czamburska, cierpiąc na migrenę, niedługo siedziała przy obiedzie i przed deserem<sup>9)</sup>) poszła do swego pokoju. Przy czarnej kawie Jerzy Czamburski, zapalił papierosa, i ku wielkiemu zaciekawieniu brata i kuzynki, jął opowiadać:

— Wyobraźcie sobie, moi drodzy, co za sensacje<sup>10)</sup>) spotkają cały świat w niedługim czasie! W Paryżu opatentowano wynalazek niejakiego Voisina<sup>11)</sup>) polegający na tern, że wszelkie motory poruszane będą za pomocą elektryczności ściąganej z powietrza. W ten sposób wszystkie samochody i samoloty nie będą zużywały benzyny. Amortyzacja<sup>12)</sup>) każdej maszyny spadnie do zera. Wywołało to oczywiście przewrót w świecie przemysłowym. W Paryżu zawiązało się konsorcjum\*<sup>13)</sup>) z kapitałem 5 miliardów franków, celem eksploatacji<sup>14)</sup>) tego wynalazku. Następnie w Niemczech otwarto onegdaj nową fabrykę motorów raketowych<sup>15)</sup>). Podobno jakiś zwariowany profesor w pocisku raketowym, dziwnej konstrukcji, postanowił udać się na księżyc. Start ma nastąpić za trzy tygodnie z Seitenbergu. Na koniec w Rosji sowieckiej wynaleziono jakieś czerwone promienie, mające tę właściwość, że wywołują w przedmiocie, który oświetlają, temperaturę tak potwornie wysoką, że najtwardszy metal stapał się dosłownie w ciągu paru minut. Z wynalazkiem tym urządzono ohydny eksperyment, a mianowicie spędzono w jedno miejsce około tysiąca Chińczyków, których poddano działaniu owych promieni. Dosłownie w ciągu minuty z ludzi tych pozostał jedynie popiół. Jak na przeciąg jednego tygodnia sensacji miałem dosyć, tym bardziej, iż otrzymałem rozkaz powrotu od Ministra Lotnictwa.

W tej chwili weszła po pokoju służąca.

—Pani dziedziczka prosi panią do siebie — rzekła, patrząc na Idę Reńską.

Po wyjściu Idy Stefan zwrócił się do brata.

—Powiedz mi, ale szczerze i bez ogródek: czeka nas wojna, co?

Jerzy skinął głową i westchnął.

—Według wszelkiego prawdopodobieństwa — tak! Nie wyobrażam sobie jednak skutków tej wojny. Przy pomocy tych strasznych wynalazków będziemy mogli w ciągu jednego dnia miliony ludzi uśmiercić, dziesiątki miast zrównać z ziemią i zmienić mapę Europy! Sądzę, iż piekło zbladłoby wobec tej wojny!

—Tak, masz rację — odparł Stefan — i ja nie wyobrażam sobie, jak to się

<sup>8</sup> \*) Niezwykły

<sup>9</sup> \*) Ostatnie danie: owoce, ser, kawa, słodczyce.

<sup>10</sup> \*) Uderzające wiadomości, zdarzenia.

<sup>11</sup> \*) Czyt.: Wuazena

<sup>12</sup> \*) Potrącanie wartości z powodu zużycia.

<sup>13</sup> \*) Spółka.

<sup>14</sup> \*) Wyzyskania.

<sup>15</sup> \*) Pędzonych wybuchającymi nabojami

wszystko będzie odbywało!

—I wiesz? Dziwna rzecz; mam wrażenie, iż przeżywamy obecnie jakiś osobliwy okres historii świata. Wiele się mówi o pokoju, a wszyscy się zbroją. Prezydenci poszczególnych państw obełgują się nawzajem. Głód i nędza w niektórych warstwach społecznych szerzy się w sposób zastraszający. Inni się modlą i wpadają w dewocję. Niedawno doniosły depesze, że na pograniczu Francji i Hiszpanii, w górach Pirenejskich ukazał się płomienny znak na niebie kształtem swym podobny do krzyża. Zjawisko to istnieje do dnia dzisiejszego. Kościoły są przepełnione. Rząd francuski zmuszony był wysłać osobną wyprawę uczonych, celem wyjaśnienia tego zjawiska i zapobieżenia panice!

Potok słów młodego kapitana przerwany został wejściem Idy.

Miało się ku wieczorowi i Stefan, pamiętając o bridge'u u znajomych, jął namawiać brata, ażeby z nimi pojechał. Jerzy, wprowadziwszy helikopter do hangaru, zasiadł w aucie i po chwili wszyscy troje pojechali z wizytą.

Grabów państwa Czerskich był dużym, stuwłókowym majątkiem, w którym pałac, a przede wszystkim jego wewnętrzne urządzenie sprawiało miłe dla oka wrażenie, świadcząc o dobrym guście państwa Czerskich. Goście czuli się zawsze u nich doskonale, tym bardziej, że nie rzadko na stole zjawiały się baterie, co najprzedniejszych win.

W gabinecie pana domu siedzieli już przy Bridges pierwsi goście: major Tabor-Taborski i Tadeusz Zamiński, obydwaj z Warszawy, oraz najbliżsi sąsiedzi Grabowa — państwo Szymańscy.

Przyjazd Czamburskich z Idą zbiegł się z przyjazdem księdza Piotra, zatem przerwano grę, ażeby zasiąść do niej w nowym składzie partnerów. Podano czarną kawę. Pan Czerski zabawiał księdza rozmową, zaś Jerzy Szamburski, usiadłszy obok Idy, rzekł do niej półgłosem, korzystając, że nikt nie zwracał na nich uwagi.

—Stęskniłem się, Iduś, za tobą!

Ida podniosła nań bolesne oczy.

—Nie masz prawa tak mówić, Jerzy.

—Dlaczego?

—Wiesz przecie..., że brat twój... stara się o mnie...

—Wiem, ale to bynajmniej nie zmienia postaci rzeczy. Jeślibyś ty mnie kochała, sprawa nasza znalazłaby rychłe rozwiązanie. Wierz mi, że wszystko zależy od ciebie!

Tymczasem przy stoliku karcianym wybuchnęła lekka sprzeczka. Ksiądz Piotr, nie lubiąc najlżejszych choćby starć towarzyskich w swojej obecności, zbliżył się do grających, ażeby powagą swoją powstrzymać zbyt krewkie temperamenty. Chodziło, jak zwykle, o rzecz drobną, że partner nie wyszedł na rękę swemu partnerowi. Zaperzony pan Szymański krzyczał właśnie w stronę Tadeusza Zamińskiego.

—Pan, panie Tadeuszu, powinien więcej myśleć o grze, a nie o ciałach nie-

bieskich i dociekaniach filozoficzno- astronomicznych. Bridge to nie obserwatorium!

Młody uczoney śmiał się serdecznie.

—Panie kochany, przecież w obserwatorium ludzie też myśleć muszą!

—Tak, ale jak widzę, to pan bez teleskopów nie umie odróżnić trefli od pików!

Ksiądz Piotr oparł rękę na ramieniu Szymańskiego.

—Nie godzi się rozrywki burzyć niepotrzebną kłótnią!

—Ależ, proszę księdza, ja wychodzę w piki, a ten mi odpowiada w trefle! To niemożliwe! Już drugi raz ten sam błąd popełnia!

—Błądzić rzecz ludzka!

—Ale nie przy bridge'u!

Wybuch śmiechu powstał po tych słowach. Zmitygował się pan Szymański, widząc, że palnął głupstwo. Dalszy ciąg gry ciągnął się w spokoju.

Tymczasem pan Czerski zwrócił się do Idy i Jerzego z propozycją obejrzenia nowo wybudowanej oranżerii w Grabowie.

Młoda para razem z gospodarzem wyszła na dwór. Budynek oranżeryjny stał obok pałacu w odległości stu kroków. Ze względu na młyn i dynamomaszynę wszystko było oświetlone elektrycznością. Przy samych drzwiach oranżerii zatrzymał pana Czerskiego rządcą, czyniący obchód wieczorny całego podwórza.

Ida i Jerzy weszli sami. Ogarnęła ich dusząca, słodkawa woń kwiatów.

—Iduś!

—Słucham, Jerzy! — głos Idy był dziwnie kuszący i omdlały.

—Ty mnie... ty mnie musisz kochać!

Czamburski starał się ująć Idę wpół i przycisnąć do siebie.

—Zostaw!

—Ja proszę!

W Idzie serce zamarło. Kochała go do szaleństwa, lecz myśl wyznania mu całej prawdy o stosunku jej ze Stefanem wydawała się tak potworna, że nigdy nie mogłaby się na to zdobyć. Czuła jednak, że sytuacja taka stawała się nie do wytrzymania.

Zachowanie się Jerzego pozbawiło ją na chwilę przytomności. Ocknęła się dopiero wtenczas, kiedy nagle posłyszała czyjś głos w pobliżu.

—Prosimy na kolację!

We drzwiach oranżerii stał pan Czerski przyjaźnie uśmiechnięty.

Po przyjeździe do domu Ida wyraźnie stroniła od Jerzego. Na szczęście nie zwróciło to niczyjej uwagi, bowiem przy stole rozgorzał spór zacięty. między księdzem i uczonym na tle zjawisk nadprzyrodzonych. Zajęło to uwagę całego towarzystwa i z rosnącym zaciekawieniem przysłuchiwano się wywodom obydwóch. Podstawę do sporu dał Stefan, który poruszył historię zjawiska w Pirenejach, zakomunikowaną mu przez brata.

Tadeusz dopatrywał się w tym przełamania promieni słonecznych, ksiądz

Piotr zaś rozwijał tezę<sup>16)</sup> uniezależnienia zjawisk nadprzyrodzonych od naukowego tłumaczenia. Jeden czynił wszystko cudownym, drugi rozumiałem. Jeden upatrywał we wszystkim Boga, drugi właściwości kuli ziemskiej i atmosfery\*<sup>17)</sup>. Uczony twierdził, że świat będzie istniał jeszcze miliony lat, że życie ludzkie na ziemi właściwie dopiero się zaczęło, ksiądz zaś dowodził, że kres świata jest już niedaleki.

W pewnym momencie poruszył przepowiednie z Pisma świętego i porwany wizją przyszłości, zawołał:

— Panu się wydaje, że wszystko się zaczyna li tylko, dlatego, że człowiek właśnie teraz dopiero zaczął myśleć i rozumować. Materia w ręku Boga ma swój termin istnienia i nie może przekroczyć go nawet na jedną sekundę. Zdaniem moim wszystko ma się ku końcowi. Jeżeli rozejrzemy się po świecie, to nabierzemy przekonania, że warunki życia na ziemi ulegają szalonej przemianie. Od dwóch miesięcy wielkie burze rozpętały się nad Anglią, przy czym wszelki ruch okrętowy został całkowicie wstrzymany! Najstarsi ludzie nie pamiętają podobnych burz i huraganów! W Chinach rozpętały się dzuma, szarańcza i straszliwe mrozy! Kto z nas słyszał kiedykolwiek, ażeby w czerwcu mogli tam ludzie umierać ze straszliwego zimna? Z potężnego państwa japońskiego pozostała drobna cząsteczka! Niebawem trzęsienia ziemi wytraciły połowę ludności. Meksyk pławi się w gorącej lawie. Na pustyni Saharze wytrysnęły nagle źródła wody i według obliczeń pańskich kolegów uczonych, potrzeba nieledwie sześciu miesięcy czasu, żeby Sahara zmieniła się w burzliwy ocean. A czym pan wytłumaczy znikanie gór w pewnych miejscowościach Italii i tworzenie się nowych w ciągu jednej nocy? Dwa tysiące lat temu przepowiedziano zburzenie Jerozolimy, co było takim absurdem dla ówczesnych, jakim dzisiaj wydaje się niektórym koniec świata. A jednak mieliśmy możliwość stwierdzić, że w określonym czasie z Jerozolimy nie został nawet kamień na kamieniu. To, co się dzisiaj dzieje, zostało już opisane w Apokalipsie św. Jana i należy temu wierzyć!

Młody uczony uśmiechnął się i odparł:

— Proszę księdza proboszcza! Nie chcę tu nikomu uchybiać, lecz trudno wymagać od czystej nauki, ażeby się liczyła z prorocत्वami biblijnymi! My szukamy prawdy, która da się ująć w pewną syntezę\*<sup>18)</sup> i do której każdy umysł ludzki dojdzie względnie łatwo drogą przez nas wyznaczoną. A więc trzęsienia ziemi są właściwościami naszego globu i nikt się temu nie powinien dziwić. Burze i huragany są wynikiem ciśnień atmosferycznych. Natomiast zmiany klimatów są zjawiskiem dawno już przewidywanym przez uczonych. Zdaniem naszych geologów, przeżywamy obecnie dopiero ostatnie etapy epoki lodowej, której główny okres skończył się przed mniej więcej dziesięciu tysiącami lat

<sup>16</sup> \*) Pogląd, twierdzenie.

<sup>17</sup> \*) Powietrza, otaczającego kulę ziemską

<sup>18</sup> \*) połączenie, ujęcie w ogólną zasadę.

Zbliżamy się do okresu, który przyniesie nam wiele słońca, palmy i olbrzymie ssaki. Powrócimy, zatem znowu do klimatu podzwrotnikowego, jaki panował u nas wtedy, gdy od Polski po Hiszpanię zamieszkiwały wśród dziewiczych puszczy słonie, tygrysy i małpy, gdy mamuty znajdowały się w północnej Syberii. Lody zniszczyły ten klimat, roślinność i świat zwierzęcy, poczem zaczęły się cofać. Okres ich cofania się na północ jeszcze nie zupełnie się skończył — trwa on nadal, a w miarę jego postępu ociepla się klimat naszej części świata. Taką jest, więc różnica między nami, że gdzie ja widzę początek rozwoju, ksiądz stwierdza koniec!

Wniesiono deser i wina. Pan Czerski wzniosłszy w górę kielich, zwrócił się do obecnych:

—Proszę państwa! Proponuję przerwanie na chwilę tej arcyciekawej dyskusji, od której włosy nam się jeżą ze strachu na głowach! Czy świat zginie czy nie, nie zmieni to treści mego przemówienia! Wznoszę zdrowie naszych pań!

Z ochotą wychylono kielichy, poczem rozmowa zeszła na łżejsze tory. Po spełnieniu jeszcze kilku toastów część towarzystwa udała się na bridge'a pozostali zaś nastavili radio na koncert, odbywający się w tym czasie w Hamburgu.

Po skończonym koncercie nastąpiły, jak zwykle komunikaty prasowe. Pani Niuta miała już zamiar wywołać muzykę taneczną, gdy wtem pewna wiadomość zelektryzowała wszystkich.

—Hallo! Hallo! Polskie Radio Warszawa! Przed chwilą otrzymaliśmy wiadomość, że na pograniczu Mandżurii i Syberii zjawił się jakiś prorok głoszący nową religię, ostrze, której wymierzone jest przeciw papieżowi i możliwym tego świata. Prorok ten ma już wielu zwolenników, przy czym w Rosji Sowieckiej szykują mu niezwykle gorące przyjęcie. Jak się domyślamy, cała ta historia jest prawdopodobnie manewrem politycznym Czerwonej Rosji przeciw Białemu Rzymowi!

## Rozdział II.

Posiedzenie Komitetu Czerwonej Gwiazdy na Kremlu w Moskwie miało przebieg nader burzliwy. Osobni wysłannicy G. P. U<sup>\*19</sup>). Komisarze Azorczenko i Machnow zdawali relację dyktatorowi Łukinowi ze swego pobytu na wschodzie Z. S. S. R. Sprawozdania te były tak zdumiewające, że początkowo Komitet nie wiedział, jak się ma do nich ustosunkować. Rozruchy o charakterze rewolucyjnym zdążyły już ogarnąć bez mała całą Mongolię, Tybet, część Chin i pogranicze Rosji Sowieckiej. Rozruchom tym przewodniczył dziwny człowiek. Nie należał on do żadnej partii, niewiadomą była jego przeszłość a jednak każdorazowym

<sup>19</sup> \*) Główny Polityczny Urząd, dawna czere- zwyczajka.

pojawieniem się wywoływał wszędzie niesłyszany entuzjazm, czarując ludzi swoją wymową i osobliwym światopoglądem.

Krażyły głuche wieści, że i cuda nie były mu obce. W Tybecie uzdrowił ciężko chorego Dalajlamę, któremu najznakomitsze powagi lekarskie, sprowadzane doń z całego świata nie mogły przynieść ulgi w cierpieniach. W Błagowieszczeńsku wskrzesił zabitego bagnietem żołnierza, przyłożeniem palca zablizniwszy mu ranę. Obecnie znajdował się w Nerczyńsku ciągnąc za sobą niezliczone tłumy Mongołów i Rosjan, których nauczał, że wszelkie religie świata miały na celu wyzysk ludu pracującego.

Po wysłuchaniu sprawozdania dyktator Łuki udzielił głosu komisarzowi do spraw zagranicznych, towarzyszowi Czemerynowi. Ten przemówił z przesadą i krzykliwie:

—Wysoki Komitecie! To, cośmy usłyszeli przed chwilą, wydaje mi się od początku do końca nieprawdopodobną historią! Nie chcę bynajmniej ubliżać towarzyszom Azorczenko i Machnowowi, lecz śmiem twierdzić, że nie dotarli oni do samego środowiska, w którym ten człowiek przebywa, lecz opierali się na wieściach, czerpanych od osób trzecich i dlatego relacje ich nie mogą być ścisłe. Przecież wiemy od dawna, że żadnego Boga nie było i niema na świecie! Wszelkie przybytki głupoty religijnej — cerkwie, kościoły, meczety i bóżnice — dziesięć lat temu pozamienialiśmy na łaźnie publiczne, kluby robotnicze i teatry, skąd szerzymy kulturę naszej czerwonej ideologii<sup>\*20</sup>). Ludność odwykła już od modlitw i padania na kolana. Chłuba naszej rewolucji — czerwona młodzież — śmieje się na samą myśl wszelkich zjawisk nadprzyrodzonych. Dlatego też popieranie zamieszek na wschodzie naszego państwa byłoby przekreśleniem wspaniałych zdobyczy naszej rewolucji! Stawiam wobec tego wniosek o wysłanie oddziałów karnych G. P. U., celem rozstrzelania tego oszusta!

To mówiąc towarzysz Czemerin odsapnął ze źle ukrywaną pasją i usiadł na swoim miejscu.

Z kolei poprosił o głos towarzysz Czernow, główny kierownik propagandy sowieckiej na całym świecie.

—Z góry oświadczam — zaczął — że jestem przeciwny podobnemu załatwieniu tej sprawy. Trafia nam się okazja nie lada i nie można własnowolnie pozbawiać się sił, za pomocą których cały świat rzucić możemy do stóp Republiki Sowieckiej. W ciągu dziesięcioletniej mojej działalności na stanowisku kierownika propagandy przekonałem się, że ludzi trudno pobudzić do wystąpień bez podania im dogmatów<sup>\*21</sup>) o charakterze religijnym. Za przykład może nam służyć historia z Indiami. Trzysta milionów Hindusów nie uległo naszym hasłom rewolucji wszechświatowej, ponieważ tłum niezdolny jest do rozumowania. Natomiast bodziec religijny wystarcza, ażeby rozpłomić zarzewie buntu i stworzyć cel, dla którego ludzie będą chętnie umierali. Daleki jestem od tego,

<sup>20</sup> \*) Zbiór poglądów, przekonań

<sup>21</sup> \*) Zasad niewzruszonych.



ażeby uważać, że wszelkie zjawiska nadprzyrodzone mają podstawę swego istnienia. Są to złudzenia, do których natura ludzka jest skłonna. Udało nam się zwyciężyć przesady religijne w granicach Republiki Sowieckiej, nie udało nam się jednak zachwiać powagą religii w innych krajach. Człowiek, o którym mowa, głosi, że wszelkie religie na świecie są wyzyskiem ludu pracującego. Jest to hasło naszej ideologii. Zdaniem moim należy poprzeć zamierzenia tego człowieka bez względu na to, czy jest on naszym wrogiem, czy też przyjaźnie usposobionym do haseł rewolucji październikowej. Religie świata będziemy zwalczać za pomocą nowej religii. Z chwilą, kiedy zwycięski sztandar rewolucji zatknąć będziemy mogli na ostatniej twierdzy białego wstecznicstwa, na Watykanie, ten człowiek nie będzie nam już potrzebny. Oddamy go w ręce G. P. U., które zaopiekuje się nim odpowiednio!

Mowa Czemowa spotkała się z uznaniem Łukina. Czerwony dyktator potakiwał głową, gdy wtem jeden z wysłanników Azorczenko, zawołał:

—A co będzie towarzysze, jeśli ten człowiek okaże się silniejszym od nas?

—Hał, Hał — zaśmiali się zgodnie Czemeryn i Czernow — przestańcie głupstwa gadać, towarzyszu!

Azorczenko jednak nie ustępował.

—To się może zdarzyć — zauważył — jeżeli on naprawdę jest bogiem!

Na te słowa Łukin zerwał się nagle i uderzył pięścią w stół.

—Milczeć! Jak wam nie wstyd, towarzyszu, gadać podobne głupstwa! Czy w was drzemią jeszcze przesady i zabobony średniowiecza?! Imię Boga tu niema żadnego znaczenia!

—Ależ, towarzyszu dyktatorze! Żleście mnie zrozumieli! — Azorczenko był wyraźnie przerażony — posłuchajcie tylko: ten człowiek uzdrawia i wskrzesza zmarłych, a my nie mamy dowód i, że to jest kłamstwem!

—Zapomnieliście, towarzyszu — odparł z powagą zamiast dyktatora Czernow — że dziedzina hipnotyzmu<sup>\*22</sup>), jasnowidzenia i innych właściwości natury ludzkiej pozostała jeszcze niezbadaną. Jeżeli człowiek ten czyni cuda to nazwać je raczej trzeba sztuczkami, polegającymi na wyzyskaniu sił tajemnych, które nie dla każdego człowieka są jeszcze dostępne!

Czemeryn nachylił się do jednego z członków komitetu i wskazując na Azorczenkę, rzekł półgłosem:

—Jego prześladowa widmo Boga od czasu, kiedy zamordował własną matkę!

Azorczenko, usłyszawszy te słowa, wyrwał nagłym ruchem rewolwer z kieszeni i rzucił się ku Czemerynowi.

—Łżesz, przeklęty żydzie!

Dwa strzały padły jednocześnie. Trafiony śmiertelnie Azorczenko padł na ziemię, ściągając kurczowym ruchem czerwone sukno ze stołu. Członkowie komitetu nachylili się nad leżącym. Czemeryn, nerwowym ruchem poprawiłszy

<sup>22</sup> \*) Usypiania przy pomocy sił magnetycznych w człowieku.

binokle na nosie, podał rękę Łukinowi, który powoli, bystro przypatrując się konającemu, położył rewolwer swój na stole obrad.

—Dziękuję wam towarzyszu! Uratowaliście mnie od śmierci!

Czerwony dyktator machnął ręką wzgardliwie.

—Głupstwo! Byłoby o jednego żyda mniej na świecie, ale jesteście mi więcej, aniżeli on, potrzebni!

Nagle stała się rzecz straszna. Umierający Azorczenko wytrzeszczył oczy w jeden kąt pokoju, i wskazując ręką, wybełkotał:

— Patrzcie! On tam stoi! Przyszedł wam dać odpowiedź!

Poczem, westchnąwszy ciężko, skonał.

Pierwszy spojrział dyktator i twarz mu zbieleła. W kącie pokoju pod oknem stał człowiek lat trzydziestu kilku, o rysach wybitnie mongolskich. Na ustach błąkał mu się uśmiech, pełen chytrości, oczy zaś patrzyły dziwnie słodko i niepokojąco.

Nieoczekiwana obecność jego sparaliżowała wszystkich.

Pierwszy ocknął się Łukin. Zakląwszy ohydnie, chwycił rewolwer i trzykrotnie wystrzelił w kierunku nieznanego.

Na odgłos strzałów wpadło do pokoju dwóch czekistów, pełniących straż przy drzwiach gabinetu.

—Brać go!

Czekiści rzucili się w stronę okna. Ręce jednego z nich już dotknęły szat nieznanego, gdy ten nagle zniknął im bez śladu. Czekiści zatrzymali się, zdumieni i przerażeni. Wśród członków komitetu zapanowało zmieszanie. Łukin stał nieporuszony, nie mogąc wymówić słowa. Czernow mrugał oczyma, drżąc całym ciałem.

Ciszę przerwał Czernow, wołając głośno:

—Towarzysze! Nie obawiajcie się! Mamy tu do czynienia z niezwykłym zjawiskiem rozdawania się osobowości! Towarzyszu dyktatorze! Usuńcie czekistów! Chcę wam coś ważnego zakomunikować!

Posiedzenie wznowiono. Czernow, widząc na twarzach członków komitetu wyraźnie malujący się przestach, jął spieszenie tłumaczyć:

—Nie będę się szeroko rozwodził nad tym, co się tu stało. Z punktu widzenia naukowego człowiek ten przedstawia niesłychaną wartość. Stwierdzam, że współpraca z nim przyniesie nam szalone korzyści. Jego zdumiewające, jak tego byliśmy świadkami, rozdawanie się osobowości, sprawi, że tłumy uważać go będą za Boga. Stawiam wniosek o bezwzględne przyjęcie tego człowieka do naszego grona i jak najszybsze wyruszenie na podbój Europy I

Dyktator Łukin, zupełnie już opanowany, powiódł okiem po obecnych.

—Kto pragnie zabrać głos?

Wszyscy milczeli.

—Zatem — rzekł Łukin — komisarz Czernow pojedzie w osobliwym posłannictwie do Nerczyńska, celem zawarcia układu politycznego z tym człowiekiem i zaproszenia go do Moskwy.

Miasto Nerczyńsk jakby wymarło. Ciszę upalnego dnia czerwcowego prze-rywały czasem szczekania psów, baraszkujących na słońcu oraz płacz dzieci, zamkniętych w niektórych zagrodach wiejskich, ciągnących się na południe od miasta. Cała ludność wyległa na spotkanie nowego proroka. Przeciwdziałanie miejscowego komitetu partii komunistycznej nie dało żadnego rezultatu. Nie mając pod ręką dostatecznej siły zbrojnej do opanowania ludności, członkowie komitetu udali się ze wszystkimi, ażeby na miejscu przeciwdziałać wszelkim zakusom kontrrewolucyjnym<sup>\*23</sup>).

Piętnaście tysięcy ludzi oczekiwało na trakcie Mandżurskim pojawienia się proroka. Fama głosiła, że jest to człowiek zesłany od Boga, a może sam Bóg. To spowodowało rozłam w miejscowej partii komunistycznej, przy czym okazało się, że olbrzymia większość ludzi wierzyła skrycie w potęgę zjawisk nadprzyrodzonych, wbrew długoletniemu wpajaniu czerwonej ideologii, wyszydzającej wiarę w każdym człowieku.

Wreszcie olbrzymi tuman kurzu ukazał się w oddali. Nadjeżdżał ten, którego tysiące serc ludzkich oczekiwało w trwożnym niepokoju. Otoczony nieprzeliczonym tłumem jadących konno Mongołów, Chunchuzów, Baszkirów i Czuczów prorok nie zdawał się widzieć wrażenia, jakie sobą wywierał i spokojnie jechał wozem, wysłanym słomą, przymykając oczy przed palącymi promieniami słońca.

Kiedy pierwsze szeregi ludności Nerczyńska zrównały się z jego wozem, wszyscy padli na kolana. Dlaczego — nikt nie wiedział, a jednak jakaś siła tajemna kazała im uczcić w ten sposób proroka. Stali tylko członkowie komitetu miejscowej partii komunistycznej, szyderczo uśmiechnięci. Jeden z nich nawet splunął na bok, nie mogąc znieść spokojnie widoku bałwochwalczego hołdu żywemu człowiekowi przez żywych ludzi.

Stojący najbliżej wozu jakiś stary wieśniak, przeżegnawszy się nabożnie, ukląkł i zawołał:

—Chryste Panie!

—Nie jestem Chrystusem, bracie, lecz Jego wrogiem! — zabrzmiała odpowiedź.

Wypowiedziawszy te słowa, Antychryst stanął na wozie i mocnym głosem ciągnął dalej:

—Wszelkie religie, jakie do tej pory istniały, miały na celu wyzysk ludu pracującego! Przez krew i męczeństwo miliony ludzi dążyły do świetlanej przyszłości, a jednak krwawa ich ofiara zrodziła tylko krew i łzy! Od dwóch tysięcy lat brakowało wam chleba i ojcowie wasi marli w boleściach głodowych, mimo, iż ziemia mogła wszystkich wykarmić. Od dwóch tysięcy lat kazano wam dźwigać ciężkie brzemie krzyża, wpajając w was wiarę w krwawego Boga, który jakoby miał sobie waszą krew, nędzę i łzy upodobać. Od dwóch tysięcy lat w imię

<sup>23</sup> \*) Przeciwwolucyjnym.

tego krzyża padaliście milionami na polach bitew. Przyjęliście wiarę Chrystusową — i cóż ona wam dała? Spodziewaliście się zmiłowania — i ono nie nastąpiło! Fałszywemu Bogu oddawaliście hołdy, wierząc, iż krwawa ofiara Jego zdolna będzie wybawić was od powszechnego ucisku i niesprawiedliwości! Żli ludzie objęli rządy nad światem, dbając o własną wygodę, wam jeno obiecując szczęście wiekuiste poza grobem. Wierzajcie mi: Bóg jest i będzie zawsze, lecz pojęcie o Nim ludzie fałszywie sobie urobili. Bóg nie chce waszej nędzy i upodlenia! Chrystus był fałszywym Jego Synem! Niesłusznie zalecał wam cierpienia i uległość wobec władców tego świata. Oto ja przychodzę do was, głosząc prawdę! Uśmiech nie powinien schodzić z ust waszych, a z serca radość! Albowiem życie na ziemi pięknem było i pięknem być musi! Cały świat będzie do was należał wraz ze swoim bogactwami, które zapewnią wam życie radosne, będące obecnie udziałem nielicznych bogaczy. Idźcie za mną — szczęście wasze jest już niedaleko!

Jeden z komunistów, przysłuchujący się uważnie mowie Antychrysta, wybuchnął nagle śmiechem:

—Co on baje?! Niema żadnych Bogów na świecie! Pozamykaliśmy cerkwie i kościoły, rozstrzelaliśmy wielu księży i biskupów i cóż nam się stało? Czy Bóg stanął w ich obronie? Nie — bo Go niema i nie było! Posłuchaj, towarzyszu proroku: jedna kula wystarczy, a przestaniecie ludziom mącić w głowach!

—Strzelaj! — Zabrzmiało nagle wyzywający głos Antychrysta.

Komunista stał niezdecydowany, spozierając z pewną trwogą na niezbyt przyjaźnie usposobiony do niego tłum.

—Strzelaj! Rozkazuję ci! Słyszysz?!

Wezwany wahał się jeszcze chwilę wreszcie szybkim ruchem zerwał z pleców karabin, wymierzył i wystrzelił.

Nastąpiła straszna chwila. Antychryst stał nieporuszony, komunista zaś opuścił karabin, zatrzepotał nagle rękoma i padł ciężko na ziemię.

Najbliżej stojący ludzie rzucili się ku niemu. Był martwy. Z przestrzelonej piersi sączyła się struga ciepłej krwi. Kula, przeznaczona dla Antychrysta, zabiła jego.

Cały tłum stał bez ruchu, jak zaczarowany. Wszystkich ogarnęło osłupienie. Zapadła cisza, przerywana jedynie tęsknym poszumem wichru w tajdze syberyjskiej oraz parskaniem koni, przestraszonych nagłym wystrzałem.

Pierwszy ocknął się stary wieśniak stojący przy wozie Antychrysta. Poraż wtóry przeżegnawszy się nabożnie, upadł znowu na kolana i zawołał:

—Chryste prawdziwy!

Piętnaście tysięcy ludzi z jękiem modlitewnego upojenia padło na kolana przed Antychrystem, witając w nim wybawiciela z nędzy, głodu i zimna.

### **Rozdział III.**

—Ido mam z tobą do pomówienia!  
—Słucham cię.  
—Przede wszystkim bądź łaskawa nie odgrywać przede mną roli uciemiężonej ofiary; — głos Stefana zadrgał źle ukrywanym rozdrażnieniem — wiesz, że tego nie lubię!  
—Mój drogi! Tylko bez długich wstępów i uwag. Zachowaj je dla siebie. Bynajmniej nie jestem ich ciekawa.  
—Ty w ogóle stajesz się coraz mniej ciekawą.  
—Wiem dobrze. Znudziłam ci się. Chwała Bogu!  
—Otóż to właśnie! Chwała Bogu! Widzę, że cieszy cię każde nasze nieporozumienie. Zapominasz zbyt łatwo o miłości...  
—Zostaw moje uczucia mnie samej. Streszczaj się.  
—Ha, ha! Dziwnieś to powiedziała! Bardzo dziwnie!  
—Mam wrażenie, że po polsku. Cóż w tern dziwnego?  
—Ido! Dość tych głupstw! Dłużej tego znosić nie będę!  
—Czego ? — głos Idy był teatralnie zdziwiony.  
—Ido! Nie wyprowadzaj mnie z równowagi! Odpowiedz krótko: jak długo myślisz kokietować Jerzego?  
—Nie rozumiem!  
—Albo nie chcesz zrozumieć! W każdym razie musisz mi wytłumaczyć, dokąd to zmierza.  
—Cóż to cię może obchodzić?  
—Teraz ja ci powiem: zostaw moje uczucia mnie samemu. Powoduje mną wyłącznie troska o brata.  
—Jak widzę, stałeś się ostatnimi czasy niesłuchanie czuły.  
—Tylko bez zjadliwości. Co ty chcesz z tym chłopakiem zrobić?  
—Nic!  
—Jak to nic?  
—Mój drogi! Mam wrażenie, że jest to moja prywatna sprawa i nie widzę żadnej racji, ażebyś się do niej mieszał.  
—Ido! Tylko spokojnie! Wiem, że Jerzy szaleje za tobą!  
—Więc cóż z tego?  
—Jak to — cóż?! Bawisz się nim, a to może zaszkodzić jego szczęściu i karierze!  
—Kocham go!  
—Ty?! Ty go kochasz?! I zapewne myślisz zostać jego żoną?  
—Naturalnie.  
—Ha, ha! Ty — żoną mego brata! Dziwny zaiste splot wydarzeń — no i spokrewnienie!  
—Nie moja w tym wina.

—Wiem. Nie potrzebujesz mi tego przypominać. Nie myśl jednak, że będę usiłował ją w ten sposób naprawić.

—To znaczy ?

—To znaczy, że nigdy się nie zgodzę, ażebyś została żoną Jerzego. Byłoby to zbyt potworne.

—Spodziewałam się tego! Zamykasz mi drogę do szczęścia. Kocham Jerzego prawdziwie. Dałabym dziesięć lat życia, ażeby to, co było między nami, nie miało nigdy miejsca!

Stefan milczał. Zrobiło mu się jej żal. W głębi duszy przyznawał jej rację. Głupi wybryk zmysłów — i oto tragedia gotowa! Z lękiem nawet myślał o Jerzym. Co z nim się stanie?

Ida siedziała przez chwilę nieporuszona, poczem zerwała się nagle i ruszyła ku drzwiom. Stefan wyciągnął ręce.

—Iduś! Zapomnij o tym! Zostań!

Młoda kobieta zatrzymała się w połowie drogi i zwróciła ku niemu płonące rozpaczą oczy.

—Jesteś łotrem!

Poczem wyszła.

Stefan zbliżył się do okna i rozpalone czoło przyłożył do szyby.

—Zasłużyłem na to! Zasłużyłem! — syknął przez zęby.

Przed gankiem dworu stał jego samochód, gotów do poobiedniej przejażdżki. Po chwili wahania Stefan wyszedł do przedpokoju, nałożył szal, kurtkę skórzaną i rękawice i jak szalony wygazował za bramę. Znalazszy się na szosie, rozwinął szybkość do ostatecznych granic wytrzymałości maszyny. Potężny stuściokonny samochód pruł z przeraźliwym świstem powietrze, chwiejąc się i dygocąc jak łódź na wzburzonym morzu. Silnik wył strasznym głosem, słupy przydrożne migwały w niesłychanym tempie, a z tyłu samochodu ciągnął się długości bez mała kilometrowej olbrzymi tuman kurzu.

Stefan nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwała ta szalona jazda. Nerwy jego wymagały odprężenia w jakimś wysiłku fizycznym. Szybkość auta działała nań kojąco. Upajał się poezją pędu. Każda furmanka napotkana na szosie groziła katastrofą, której cudem unikał, dzięki swojej niesłychanej zręczności i niepospolitej sile fizycznej. Spoglądanie w oczy śmierci było dla niego też pewnego rodzaju sportem. Lubił to pasjami, stwarzając sobie umyślnie niebezpieczne sytuacje.

Pierwsze krople deszczu nagle zrosiły mu twarz. To go cokolwiek otrzeźwiło. Zwolniejszy pęd maszyny Stefan spojrzał na niebo.

Zbliżała się burza. Potężne, czarne chmury kłębiły się na zachodzie, rosnąc w oczach z przerażającą szybkością. Przednia ich straż w postaci blade- szych obłoków zdążyła już zakryć całe niebo, siekąc ziemię twardym, mocnym deszczem. W jednej chwili szosa stała się mokra i samochód jał zarzucać tylnymi kołami, grożąc, co chwila rozbiciem się o słupy przydrożne. Nacisnąwszy zwolna hamulec, Stefan postanowił wracać do domu, nie mając chęci trudzić się przy

podnoszeniu budy w samochodzie.

Tymczasem zwały czarnych chmur zawisły nad nim. Zrobiło się ciemno jak w nocy. Stefan zmuszony był zapalić reflektory, gdyż w odległości trzech metrów nic nie można było dojrzeć. Deszcz nagle ustał. Wszystko zamarło. Zapadła przenikliwa cisza, w której warkot motoru rozlegał się niesamowitym echem.

Wtem potężny zygzak błyskawicy zalśnił na niebie, rozdzierając powietrze z szalonym hukiem gromu. Hałas był tak silny, że Stefan czuł się zupełnie ogłuszonym. Bezpośrednio po pierwszej błyskawicy zalśniły nagle setki innych. Rozpętała się straszna burza. Po chwilowej przerwie spadł gwałtowny deszcz, tworząc zwały wody, której przeświecić nie mogły nawet wspaniałe reflektory samochodu. Stefan posuwał się powoli, przypatrując się z pewnego rodzaju grozą rozpętaniu żywiołów. Chcąc jak- najprędzej znaleźć się w domu, wjechał na boczną drogę, która przez majątek Chojnów prowadziła do Winnej Góry.

W Chojnowie Stefan nie był już oddana, ponieważ majątek ten już parę miesięcy temu był wystawiony na sprzedaż i właściciele jego, szalenie mili państwo Koczanowscy mieszkali w Warszawie. Miejscami droga była ciężka, atoli dwa rzędy młodych brzózek, rosnących po obu stronach, bieleły się w ciemnościach, ułatwiając znakomicie orientowanie się w terenie. Po paru minutach jazdy samochód znalazł się na podwórzu chojnowskim, skąd już było niedaleko do Winnej Góry. W pewnym momencie Stefan ujrzał przed sobą olbrzymią kałużę. Dodawszy gazu, szybko wjechał w sam środek, rozbryzgując wodę po bokach, gdy nagle tylne koła, natrafiwszy na warstwę miękkiej gliny, poczęły się w miejscu obracać. Stefan zorientował się natychmiast, że może u- grzęznąć i, zmieniawszy bieg, ruszył tyłem. Było jednak za późno. Samochód stał w miejscu nieporuszony.

Stefan zaklął. Widoczny pech prześladował go uparcie w ciągu całego dnia. Jedna nieprzyjemność pociągała za sobą drugą. Podwórze chojnowskie było jak wymarłe. Znikąd nie można było spodziewać się pomocy. Rozglądając się wokoło Stefan rzucił okiem na dwór, bielejący poprzez wysoki żywopłot, otaczający park i podniósł ze zdziwienia brwi wysoko.

Od dłuższego już czasu dwór chojnowski nie był przez nikogo zamieszkały. Tymczasem Stefan ujrzał rzęście oświetlone okna parteru i pierwszego piętra. Nie namyślając się tedy długo, zgasił reflektory i, otworzywszy drzwiczki, dał wspaniałego susa przez kałużę, poczem szybkim krokiem ruszył ku dworowi, ażeby prosić o pomoc.

Frontowe drzwi okazały się niezamknięte. Zastukawszy bez skutku raz i drugi Stefan otworzył je i wszedł do środka.

Znajdował się w pięknym hallu, wykładanym dębową boazerią<sup>\*24</sup>). Po jednej stronie stały olbrzymie wieszaki, po drugiej wisiały wspaniałe lustra. Stefan

<sup>24</sup> \*)okład ozdobny z drzewa osłaniający ściany na pewną wysokość od posadzki,

chrząknął dosyć głośno, chcąc zwrócić na siebie uwagę mieszkańców tego domu.

Wejście jego zauważyła pokojówka, która usługiwała w pokoju jadalnym przy podwieczorku. Cokolwiek przestraszona nagłym pojawieniem się nieznanego, postawiła tacę na stole i podszedłszy do Stefana, zapytała, czego sobie życzy.

—Chciałbym się widzieć z panem Koczanowskim — odparł Stefan w przekonaniu, że sąsiedzi jego powrócili z Warszawy.

Pokojówka zrobiła zdziwioną minę.

—Takiego pana niema.

Z kolei zdziwiony był Stefan.

—A kto tutaj mieszka?

Wtem rozmowę ich przerwało wejście pięćdziesięcioletniego mężczyzny o miłej, gładko wygolonej twarzy. Obrzuciwszy Stefana ciekawym spojrzeniem, zapytał:

—Czym mogę panu służyć?

Stefan poruszył się żywo.

—Jestem Czamburski, właściciel Winnej Góry i zapewne sąsiad pana.

—Moliński do usług. Nie myli się part. Majątek ten nabyłem zaledwie tydzień temu i dopiero się w nim urządzam. Bardzo mi miło poznać pana. Jak widzę odbywa pan podróż samochodem i w drodze zaskoczyła pana ta straszna burza.

—Właśnie. Przejeżdżając przez pańskie podwórze dla skrócenia sobie drogi, uległem fatalnej przygodzie. Koła auta mego ugrzęzły w kałuży błota i nie mogę się w żaden sposób wydobyć z tej uwięzi,

—Historia przykra dla automobilisty — zauważył z uśmiechem pan Moliński — zaradzimy jednak złemu, skoro ta okropna burza przeminie. Tymczasem pozwoli pan do salonu.

Stefan uściśnął z podziękowaniem rękę pana Molińskiego.

—Proszę mi jednak wybaczyć mój strój sportowy.

—Ależ co znowu! Najbliższy nasz sąsiad nie powinien mieć żadnych skrupułów pod tym względem. Proszę uprzejmie!

W salonie Stefan poznał żonę i córkę nowego właściciela Chojnowa i był niemi oczarowany. Szczególnie panna Mokrska wywarła na nim niezatarte wrażenie. Była to postać dziewczęcia doprawdy jak z bajki. Złote włosy niesforną kaskadą<sup>\*25</sup>) okalały regularną twarzyczkę, a niebieskie oczy kryły w sobie czar dziwnie słodkiego wyrazu.

Dawno minęła turza, pierwsze gwiazdy zabłyśły na granacie nieba, a Stefan, zatrzymany przez gościnnych gospodarzy na kolacji, rozmawiał z Molińskimi, znajdując ich towarzystwo nader przyjemnym dla siebie.

Wreszcie nadszedł czas rozstania. Żegnany serdecznie Stefan wsiadł do auta i przy pomocy koni wyciągnięty z błota, pojechał do Winnej Góry.

<sup>25</sup> \*)wodospad.



W domu czekała go niespodzianka. Na biurku znalazł list pisany ręką Idy w którym zawiadamiała go, że wyjeżdża do Warszawy i prosi, ażeby jej nie szukał. Ku swemu zdziwieniu Stefan nie odczuł głębszego żalu. Nawet do pewnego stopnia zrobiło mu się lżej na duszy. Ostatnimi czasy męczyła go miłość Idy i teatralne uniesienia, a potem niczym niewytłumaczony chłód, obojętność lub cklive zadumania. Nie wierzył również w jej uczucie do Jerzego. Miał na to zbyt ważne dowody, ażeby nie wytrwać w swoim przekonaniu. To też rozebrawszy się spokojnie, położył się i zasnął.

Na drugi dzień rano miał wizytę Czerskiego. Mąż pani Niuty przywiózł mu wiadomość, która poruszyła cały powiat: ksiądz Piotr został mianowany biskupem i jeszcze w tym tygodniu opuszczał parafię. Chcąc uczcić zasługi kapłana i przyjaciela swego domu, Czerscy urządzali dlań pożegnalne przyjęcie, na które oczywiście zaprosili Czamburskich.

—Bardzo państwu dziękuję — odparł Stefan. — Naturalnie nieomieszkam zjawić się w sobotę. Co zaś do Jerzego, to zawiadomię go telegraficznie, ponieważ wyjechał onegdaj do Warszawy.

—A pani Ida?

—Kuzynki też niema. Wyjechała wczoraj.

Czerski, który domyślał się stosunku, jaki łączył Idę ze Stefanem, spojrzał na niego zezem i uśmiechnął się filuternie. Stefan to zauważył i natychmiast zmienił temat rozmowy, nie chcąc dopuścić do żadnych poufałości i poufnych zwierzeń.

—Wie pan? Miałem wczoraj w Chojnowie przygodę, która się bardzo miło zakończyła. Mianowicie samochód mój ugrzązł w błocie podczas tej strasznej burzy i w żaden sposób nie mogłem go stamtąd wyciągnąć. Szukając pomocy poznałem nowego właściciela Chojnowa, niejakiego pana Molińskiego. Wprowadził się tam niedawno i mieszka z żoną i córką.

—Co pan mówi ? Moliński Zygmunt ?! Przecież to mój szkolny kolega. Swego czasu przyjaźniłem się z nim bardzo. Ma córkę, jedynaczkę, podobno wielkiej urody. Terenia jej na imię, prawda?

—Tak jest!

—Będziemy zatem mieli bardzo miłe sąsiedztwo! Dobrze się stało, że pan mi o tern zakomunikował. Zaraz pojedę do nich i zaproszę ich na to przyjęcie.

To mówiąc Czerski pożegnał się ze Stefanem i odjechał.

Po jego wyjeździe Czamburskiemu wydał się nagle świat pusty i szary. Czas dłużył mu się niepomieranie, a przy tym sercem jego targał niepokój o Idę i Jerzego. Obawiał się spotkania obojga w Warszawie. Przeczuwając niejasno, że Jerzy kochać się może zbyt idealnie ze względu na swój młody wiek i niedoświadczenie życiowe, wyobrażał sobie jego rozpacz na wypadek, gdyby się wszystko wydało. Po głębszym namyśle postanowił przeto pojechać niezwłocznie do Warszawy, ażeby zapobiec możliwemu nieszczęściu.

Znalazłszy się na lotnisku Mokotowskim, pozostawił samochód w garażu oficerskim, a sam udał się na poszukiwanie Jerzego. Tłum ciekawych wypełniał plac przed startem. Dokonywano właśnie próbných lotów na zakupionych przez

rząd polski helikopterach, które odznaczały się tem, że na miejscu silników benzynowych miały gniazda rakietowe, za pomocą których szybkość jednego tysiąca kilometrów na godzinę stawała się łatwo osiągalną. Jerzy pilotował na jednej z tych maszyn, dokonywując karkołomnych zwrotów przed oczyma zachwyconego tłumu.

Po ukończeniu prób bracia przywitali się serdecznie.

—Przyjechałeś z Idą? — zapytał Jerzy.

Stefan spojrział na niego badawczo.

—Jestem sam, Ida opuściła wczoraj Winną Górę.

Jerzemu twarz z lekka pobladła. Na pozór obojętnym tonem znowu rzucił pytanie:

—A nie wiesz, gdzie pojechała?

—Prawdopodobnie do krewnych — skłamał Stefan, spuszczać wzrok ku ziemi.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Wtem zbliżyło się do nich trzech oficerów: porucznik Zbigniew Szalski, kapitan Mieczysław Borda i major Seweryn Rulski. Pierwszy z nich wołał już z daleka, potrząsając radośnie rękoma:

—Jakże się masz, Stefanie! Co za miłe spotkanie! Cóżżeś stanął jak drewno? Oblejemy na pewno!

Wszyscy parsknęli śmiechem. Major Rulski, ściskając kordialnie dłoń Stefana, zawołał:

—Nasz Zbysio, jak zwykle szaleje i robi umizgi do twojej kieszeni. Dziś jednak na mnie kolej! Zapraszam was wszystkich na obiad do kasyna!

Tymczasem porucznik Szalski improwizował dalej:

—Ruszyła go skrucha i w sercu otucha płomienna znowu zagości; pan major funduje, a ja się raduję dostojnym gronem cnych gości!

Rozbawione towarzystwo ruszyło szybkim krokiem w stronę kasyna oficerskiego. Po chwili wszyscy znaleźli się za stołem i potoczyła się wartko rozmowa, pełna śmiechu, wesela i radości.

W toku rozmowy Stefan zwrócił się do majora Rulskiego:

—Mój drogi! Powiedz mi, co to za dziwne maszyny sprowadzacie teraz z zagranicy? Obawiam się, że będę musiał na nowo uczyć się pilotażu<sup>\*26</sup>).

—A tobie to na co? Jesteś przecież w zenitowej<sup>\*27</sup>) artylerii i prowadzisz przyziemne życie.

—Nie zapominaj jednak, że w dzisiejszych czasach każdy człowiek w Polsce powinien umieć latać, a tem bardziej my, oficerowie rezerwy.

—Powiem ci więc w zaufaniu, że niedługo będziesz siedział w rezerwie.

—Wojna?

Major Rulski przymrużył znacząco oczy.

—Tego nie wiem, ale tak mi się zdaje...

<sup>26</sup> \*) Kierowania samolotem.

<sup>27</sup> \*) Samolotowej.

—Że co?

—Że niedługo będziemy pukali ze swoich pukawek.

—Jak myślisz — z kim?

—Z Rosją albo z Niemcami!

Do rozmowy wtrącił się porucznik Szalski.

—Panowie! Przestańcie mnie straszyć wojną, niechaj toń życia zostanie spokojną!

—Strach cię obleciał? — Zwrócił się do niego kapitan Borda.

—Nikogo na świecie się nie boję, oprócz teściowej!

— Której nie masz!

—Ale mieć ją będę, bo się zakochałem, serce moje płonie, chociaż ja nie chciałem! — Zaśpiewał Szalski, naśladując przewybornie za pomocą mimiki Chevaliera.

—Co my słyszymy?! — Zawołał major Rulski — nasz kochany Zbysio się zaręczył?! O biedny on, biedny!

—Dlaczego?

—Albowiem słowicze trele zamienią się niezadługo w dzikie poryki gniewu i zemsty. Nie żeń się, chłopcze i wierzaj mnie staremu!

—Kocham ją naprawdę!

— A to co innego! Panowie! Pijmy zdrowie młodej pary!

Ochoczo wychylono kielichy, bowiem porucznik Szalski niezmiernie był lubiany przez kolegów. Nowina była niezwykła i wzbudziła powszechne zaciekawienie. Poczęto wypytywać się o wygląd i wiek młodej przyszłej oblubienicy, jej nazwisko, zawód, ponieważ żaden z przyjaciół Szalskiego, bywający w tych samych, co i on towarzystwach, nie mógł domyśleć się, której ze znajomych panien udało się pozyskać serce pułkowego trubadura \*<sup>28</sup>). Na wszystkie te pytania Szalski odpowiadał dziwaczными wierszykami, częstokroć doprowadzającymi słuchaczy do szalonej wesołości. Atoli postać przyszłej pani Szalskiej pozostała osłonięta tajemnicą. Wreszcie kapitan Borda, uśmiechając się życzliwie do niego, rzekł:

—Poruczniku Szalski! Jako twój przełożony wzywam cię do posłuszeństwa. Szanuję twoją dyskrecję, za pomocą której chcesz utrzymać nas wszystkich w napięciu ciekawości aż do dnia swojego ślubu, jednak powiedz nam chociaż imię twojej bogdanki, ażebyśmy mogli ją wielbić w pieśniach pułkowych i rozkazach dziennych!

Wszyscy zaśmiali się serdecznie, poczem Szalski, skoro nastąpiła cisza pełna oczekiwania, wstał z kieliszkiem wina w rękę i zaimprovizował:

Prośba wasza wyłom czyni,

Zdradzam imię mej władczyni, Tajemnicy to nie zmienia,

Że na imię jej... Terenia!

<sup>28</sup> \*) Pieśniarza-rycerza.

—Brawo! Wiwat! Niech żyje porucznik Szalski! A to nam dobrze odpowiedział! — zawołał rozochocony major Rulski.

—Nie powiem, żebyśmy teraz mądrzejsi byli! — Zauważył kapitan Borda.

—Zawsze to jednak coś... Jakiś ślad został odkryty — przerwał mu Jerzy Czamburski.

Tymczasem Stefan siedział nieporuszony, nie biorąc udziału w powszechnej wesołości. Dźwięk imienia Tereni dziwnie go zelektryzował. Miał wrażenie, że stracił nagle coś bardzo drogiego i kochanego. Nie mogąc się z tego otrząsnąć i pozbyć się wzrastającego niepokoju, otworzył usta, chcąc zapytać się o nazwisko tej panny. W ostatniej jednak chwili powstrzymał go wstyd przed samym sobą. Co u diabła — pomyślał — niechże sobie panna Molińska wychodzi za mąż, a mnie to nie powinno obchodzić! Zresztą czyż tylko jedna Terenia jest na świecie?

A jednak było mu przykro i czuł się czymś zgnębiony. Z ulgą też powitał koniec obiadu i wyjście na ulicę. Rozchodząc się, rozbawieni wojacy przyrzekli sobie nawzajem spotkać się wieczorem w Morskim Oku, skąd po przedstawieniu miano się udać na kolację do Oazy. Jerzy miał coś do załatwienia w mieście, więc pożegnawszy brata, wsiadł do taksówki i pojechał.

Stefan pozostał sam. Miał przed sobą kilka godzin czasu, z którym nie wiedział co zrobić. Powlókł się ociężałym krokiem w stronę Łazienek, nie mogąc zrozumieć dziwnego smutku, jaki zapanował nagle w jego duszy. Przed oczyma stała mu twarzyczka Tereni Molińskiej z przedziwnie słodkim uśmiechem na ustach. Rozpamiętywał sobie urywki rozmowy, jaką prowadził z nią w Chojnowie, podziwiając świeżość myśli Tereni i jej szlachetność w ujmowaniu wszelkich zjawisk życiowych.

Denerwowała go ustawicznie niepewność, czy przypadkiem Szalski nie jest jej narzeczonym, i miał możliwość stwierdzić ku swemu zdumieniu, że los Tereni mocno go obchodzi. Pragnął mianowicie widzieć ją zawsze wolną roześmianą i niekochającą nikogo. Dlaczego — nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jednakże czuł, że sympatia jego wzrasta ku niej z dnia na dzień.

Wtem drgnął: w tłumie spacerowiczów dostrzegł nagle jakąś znajomą sylwetkę, kształtem swoim i ruchami żywo przypominającą Idę. Przyspieszywszy kroku Stefan zrównał się z samotną damą, w której w samej rzeczy poznał uciekinierkę z Winnej Góry. Zrobiło mu się jej żal; pragnął ją przeprosić za zbyt szorstkie słowa, wypowiedziane w uniesieniu, a dyktowane troską o brata, przyczem uważał, że miłość ich nie powinna mieć takiego zakończenia.

Wtem przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez nią w Winnej Górze:

—Kocham Jerzego!

To ostudziło nieco temperaturę jego wspomnień. Nie mógł być o nią zazdrosny, bowiem nigdy nie miał poważnych zamiarów w stosunku do Idy, a jednak podrażniona ambicja męska buntowała się przeciw temu. Zresztą uczucia Jerzego do Idy były zbyt głębokie i Stefan czuł, że nie mógłby bratu swemu pa-trzeć prosto w oczy. Co prawda Ida nie przedstawiała sobą zbyt idealnego materiału na żonę, lecz Jerzy nie widział tego, zaślepiony swoim pierwszym porywem

młodzieńczym.

Ida ujrawszy Stefana, przyspieszyła kroku, nie odpowiadając na jego ukłon. Oznaczało to wyraźnie zerwanie wszelkich stosunków. Stefan wzruszył ramionami i cofnął się z powrotem.

Po jakimś czasie znalazł się na Nowym Świecie i wstąpił do kawiarni Italia. W kącie sali pod lustrem ktoś zaczął kiwać na niego przyjaźnie. Spojrzawszy w tym kierunku Stefan poznał Tadeusza Zamińskiego. Spotkanie z młodym uczonym, cieszącym się niezwykłą powagą nawet na zachodzie Europy, poniekąd ucieszyło go. Nie miał bowiem ochoty do hałaśliwej, a często bezdennie głupiej rozmowy towarzyskiej. Z tym zaś człowiekiem rozmawiało się inaczej. Miał on wielki dar wymowy, a przytemy niezmiernie ciekawy punkt widzenia na wszelkie przejawy życia. Dnia tego Stefan potrzebował właśnie poważniejszej wymiany myśli, toteż serdecznie uściśnął wyciągniętą ku niemu dłoń.

Za ją wszy miejsca przy stoliku Zamiński odezwał się pierwszy;

— Cóż na wsi słyhać? Dawno pan w Warszawie?

—Od paru godzin zaledwie. Niech pan się nie pyta, co na wsi słyhać, bo w pracy na roli niezmiernie rzadkie są wstrząsające wydarzenia i zdumiewające wypadki. Ludzie tam śpią, jedzą i pracują. Ponieważ zaś opuścił pan Grabów, jeśli się nie mylę, tydzień temu, więc poza zjedzeniem paru obiadów przez państwa Czerskich nic ważniejszego zająć tam nie mogło.

Młody uczony uśmiechnął się.

—Ma pan rację! Z przyzwyczajenia, tylko, no i z grzeczności, o to się pytam. Widzę jednak, ku swemu zadowoleniu, że nie lubi pan słów marnować.

—Panie profesorze! Pozostawmy zatem wiejskie tematy na uboczu, ponieważ są one arcynudne! Proszę mi lepiej opowiedzieć, co się dzieje w waszym świecie naukowym, do jakich przystępujecie doświadczeń, mających na celu udogodnienie życia ludziom na ziemi.

—Najważniejszym wypadkiem doby obecnej będzie, jak zapewne pan słyszał, projektowana podróż na księżyc za pomocą rakiety, umyślnie do tego celu zbudowanej przez Zakłady Kruppa w Essen.

—Uważam to za zwykłą kaczkę dziennikarską!

—Niech mi pan wierzy, że tak nie jest. Znam nawet nazwiska ludzi, udających się w podróż międzyplanetarną: są to profesorowie holenderscy Van Roop i Tilden. Miliarder Vanderbilt ufundował raketę.

—Kiedyż mają zamiar ci wariaci wylecieć ?

—Jutro o północy.

—Wszystko to pięknie. A w jaki sposób powrócą na ziemię?

—Za pomocą drugiego silnika raketowego, który biorą ze sobą.

—Hm, rzecz nader interesująca. Może nam jakiegoś księżycowca przywiozą na pokaz.

—W to wątpię, bo tam niema życia organicznego. W ogóle księżyc jest bryłą martwą, na której kiedyś może, w zamierzchłej przeszłości, istniało życie. Ciekawymi jednak będą zdjęcia filmowe naszych planet, dokonane z bliskości,

dzięki samoczynnemu aparatowi, umieszczonemu w boku torpedy raketowej. Jeżeliby pan rozporządzał czasem, moglibyśmy pójść zaraz do obserwatorium państwowego. Pokazałbym panu przez teleskop drogę, jaką przebywać będą nasi bohaterowie planetarni.

—Niestety, mam dzisiaj wieczór zajęty i dałem słowo, że się stawię.

—W takim razie trudno. Odłożymy to na kiedy indziej. Tymczasem jednak żegnam pana, bowiem czekają na mnie koledzy w obserwatorium.

Po odejściu Zamińskiego Stefan siedział jeszcze godzinę, słuchając muzyki, poczem, uregulowawszy należność za kawę i ciastka, poszedł do Morskiego Oka. Wszyscy stawili się w komplecie, major Rulski czekał zaś od kwadransa z biletami w rękę.

Po skończonym przedstawieniu młodzi oficerowie w doskonałych humorach udali się do Oazy. Zająwszy jeden z większych stolików na piętrze poczęli zabawiać się opowiadaniem sobie anegdot i wesołych historii.

Zarząd restauracji zgotował gościom swoim niespodziankę w postaci pięknie przystrojonej, prawdziwej cyganki, sprzedającej między stolikami papierosy i kwiaty i, na życzenie, wróżącej niektórym gościom z ręki. Niespodzianka ta spotkała się z żywym uznaniem bawiącej się wesoło publiczności. Obdarzona wielką urodą, wielkimi czarnymi oczyma i melodyjnym głosem cyganka była nieomal rozrywana. Każdy chciał ją mieć przy swoim stoliku, kupić od niej pudełko papierosów, a dla damy swego serca niewinny bukietek fiołków oraz usłyszeć wróżby na przyszłość. Wreszcie przyszła kolej i na stolik z młodymi lotnikami. Z przybliżeniem się pięknej cyganki kilkoro rąk wysunęło się ku niej, a porucznik Szalski zadeklamował :

Moja piękna, czarnooka wróżko,  
Powiedz, co ci myśl dyktuje i serduszko,  
Kto ma zginąć, kto ożeni się, wzbogaci,  
A kto miłość i pieniądze straci!

Cyganka, błyskając w uśmiechu białymi jak śnieg zębami, ujęła dłoń majora Rulskiego. Przez dłuższą chwilę przypatrywała się liniom jego ręki, wreszcie spojrziała nań bez cienia uśmiechu i zalotności.

—Prawdę mam mówić, czy rzeczy wesołe? — Zapytała głuchym głosem, poruszona widać tern, co przeczytała w dłoni.

Podniósł się chór protestów. Domagano się ujawnienia prawdy, aczkolwiek nikt w nią również nie wierzył. Cyganka pokiwała melancholijnie głową.

—Niechaj będzie — zaczęła uroczyście — zginiesz, niebożatko. Śmierć przed tobą widzę w wielkich męczarniach. Żli ludzie cię złapią i dokuczać będą strasznie!

Major Rulski roześmiał się wesoła

—Doskonale — zawołał, zacierając ręce — takie proroctwo zaostrza niezmiernie apetyt.

Cyganka trzymała już za rękę Jerzego.

—I przed tobą niepisane jest życie! Zginiesz w płomieniach! Straszna śmierć! Za życia piekło przejdiesz!

Z uśmiechem niedowierzania, a nawet ironii, podał jej dłoń Stefan. Cyganka bardzo długo przyglądała się, jakby nie dowierzając oczom. Minęła minuta, potem druga i trzecia... Pewne zniecierpliwienie ogarnęło obecnych. Zabawa stała się nudną. Z różnych stron wołano na cygankę, ażeby podała kwiaty lub papierosy. Śniada piękność stała jednak nieporuszona, głucha na wszystko i zdawałoby się, myślą przebywająca gdzieindziej. Znudzony przydługą obserwacją swojej dłoni Stefan chciał cofnąć rękę. Wtenczas cyganka drgnęła, jakby zbudzona ze snu i, spoglądając mu głęboko w oczy, przemówiła drżącym głosem:

—Dziwny jesteś człowiek, panie. Nie widzę śmierci przy tobie! Nie umrzesz nigdy! A jednak oczy twoje patrzeć będą na śmierć wielu ludzi, a ty jej nie znajdziesz! Miłość jest przed tobą, a jednak nie będziesz zbierał owoców tej miłości.

To mówiąc cyganka oddaliła się szybkim krokiem i po chwili zniknęła w tłumie tańczących gości.

Przy stole zapanowało kłopotliwe milczenie. Pierwszy przerwał je major Rulski.

— Panowie! Miłość i śmierć siostrami są dla siebie, a zatem bądźmy szczęśliwi. Nie wiedziałem jednak, że w naszym gronie mamy nieśmiertelnego! Stefanie! W twoje ręce! Niech nam żyje nieśmiertelny!

— Niech żyje! Niech żyje! Brawo, Stefan!

Radośnie zadzwoniły kielichy.

## Rozdział IV

W Berlinie, w gmachu Ministerium Wojny obradował niemiecki sztab generalny. Przewodniczący generał v. Hummel ujął suchą, kościstą ręką dzwonek i rzekł:

— A teraz udzielam głosu majorowi Obstowi.

Na te słowa podniósł się wysoki, zażywny mężczyzna i, wyprężywszy się służbiście, jął mówić cichym głosem:

— Wysoka Rado! Będąc wysłany w misji specjalnej do Londynu i uzyskawszy dzięki lady Hamilton, naszej sojuszniczki, wstęp do najwyższych sfer wojskowych i rządowych, zbadałem rzec z całą dokładnością i śmiem twierdzić, że opinia angielska jest po naszej stronie. Niesłychane zbrodnie historyczne Polski piętnowane są tam z całą surowością i myśl naprawienia krzywd, jakie ojczyznę naszą spotkały w pamiętnym traktacie wersalskim, traktowana jest nader życzliwie. Znikoma opozycja byłaby również po naszej stronie, gdybyśmy przyrzekli Anglii swą pomoc w opanowaniu i stłumieniu nieustannych buntów i zamieszek

w Indiach Wschodnich oraz w złamaniu hegemonii morskiej Ameryki. Są to rzeczy, jak dla nas, dość łatwe do przeprowadzenia. Należy tylko wycofać naszych niemieckich emisariuszy politycznych z Indii Wschodnich, a zapanuje tam zupełny spokój. Co zaś do Ameryki, to dyplomacja nasza potrafiła już zainteresować rząd i magnatów amerykańskich niesłychanymi korzyściami na dalekim wschodzie przy zainwestowaniu olbrzymich sum pieniężnych w Chinach i Mandżurii. Skutkiem tego preliminarz budżetowy Ameryki, przewidujący wydatki na zbrojenia morskie, zmniejszył się o połowę. Mając zaś wolnych emisariuszy politycznych z Indii, będziemy mogli wzmocnić nimi kadry naszych agitatorów w Ameryce, wywołując zamieszki komunistyczne we wszystkich nieomal miastach, co również przyczynić się musi do osłabienia zbrojeń morskich. Nie ośmielam się przesądzać sprawy, jednak poczuwam się do obowiązku zakomunikować moje skromne spostrzeżenie, że gdyby wybiła dla Niemiec święta godzina odwetu, pomoc Anglii byłaby nieomal pewną!

Szmer uznania rozszedł się po tych słowach. Zajaśniały oczy, uśmiechnęły się usta siwowłosych ekscelencji, marzących o takiej chwili. Wtem podniósł się stary generał von Mallstein i poprosił o głos.

— Wysoka Rado! — Zaczął — śmiem wątpić w różowe horoskopy, stawiane przez mego przedmówcę. Starym jestem człowiekiem i pamiętam te czasy, kiedy najzaciętszy nasz wróg, Polska, rozgromiła armie bolszewickie pod murami swojej stolicy. Była to walka gołych pięści przeciwko karabinom, a jednak niesłychany wprost entuzjazm, w jaki Polacy wpadają zazwyczaj w czasie bitwy, sprawił, że zwycięstwo było po ich stronie. Wiem dobrze, pociosmy się tutaj zebraли, i ogarnia mnie lęk, czy narady nasze nie są przedwczesne. Spowodowanie wojny z Polską wywołać może nieobliczalne następstwa. W obecnej chwili nasz wróg znajduje się u szczytu potęgi. W ciągu trzech tygodni wystawić może dwumilionową armie doskonale wyszkoloną, posiadającą olbrzymią flotę napowietrzną, wspaniałą artylerię i niezliczoną ilość sprawnych batalionów gazowych. O wzniecaniu rewolucji wewnątrz Polski niema mowy; trzeba przyznać, że jest to naród niesłychanie kłótniwy i niesforny. Każdy bez mała człowiek posiada tam swój własny program polityczny, a jednak w obliczu grożącego im niebezpieczeństwa zapominają o waśniach partyjnych, o klasowej nienawiści i solidarnie idą do okopów. Biorąc to wszystko pod uwagę, stwierdzam, że jeszcze jedno dziesięciolecie upłynąć nam musi przy ciągłej pracy, zanim będziemy mogli rzucić naszemu odwiecznemu wrogowi rękawicę wyzwania!

Wzburzeniu, jakie zapanowało wśród członków sztabu generalnego, położył kres dzwonek przewodniczącego. Z łagodnym uśmiechem na twarzy generał von Hummel zwrócił się do von Mallsteina:

— Panie generale! Nie wątpię, iż ten sam duch, co nas, ożywia i pana. Za daleko jednak idąca ostrożność podyktowała mu te słowa! Nie należy osłabiać zapału, a raczej wzniecać go obecnie w doniosłej dla nas chwili. Sam pan powiedział, że w dużej części do zwycięstw Polaków przyczyniał się ich entuzjazm. Otóż my przeciwstawimy temu swój niemiecki entuzjazm!



—Panie Generale! — zawołał niecierpliwie w stronę przewodniczącego jeden z członków Rady, szef lotnictwa von Berg — proszę o głos!

—Słuchamy pana!

Von Berg z wypiekami na twarzy i drżącym głosem przemówił w te słowa:

—Nie wolno nam zapominać o tern, że armia nasza doskonale jest przygotowaną do boju. Posiadamy dziesięć tysięcy samolotów uzbrojonych w karabiny szybkostrzelne, sześćset zeppelinów najnowszej budowy i osiemset samolotów raketowych, które wykończają nasze fabryki w Essen. Rozporządzamy straszliwymi gazami, o których świat nie ma pojęcia. Jeżeli zaś wspomnę o tern, że Rosja Sowiecka, która spełnia nasze rozkazy — uderzy w tejże samej godzinie, co i my, na Polskę — to wtenczas czy jeź będzie zwycięstwo? Czyż długo jeszcze będziemy się wahać<sup>1</sup>

—Niech pan nie zapomina — przerwał mu z powagą generał von Mallstein — że wojna, która ma wybuchnąć, będzie dla Niemiec ostatnią. Stanie się ona podwaliną naszej potęgi światowej albo grobem!

Wśród członków Rady zabrzmiały protesty i okrzyki.

—Niemożliwe!

—Wykluczone!

—Niewiarygodne!

—A jednak może to być! — Starął się przekrzyczeć wszystkich generał von Mallstein — czy panowie jesteście pewni Anglii? Czy zapomnieliście o Francji? Czy bezwzględnie zaufać możecie Rosji Sowieckiej?

Major von Obst przechylił się przez stół i zawołał w stronę generała von Mallsteina:

—Panie generale! Rosja Sowiecka jest na nasze rozkazy! Pan generał o tern zapomina!

—Tak pan powiada? A jakież jest duch Rosji? Do czego ona dąży? Któż jej zabroni wymordować pewnego dnia naszych instruktorów wojennych i stanąć przeciwko nam?!

—Nasza dyscyplina!

—To w armii, ale nie w narodzie! Z Rosją musimy się liczyć, bowiem jest to potwór liczący sto siedemdziesiąt milionów głów ludzkich!

—Z chwilą wybuchu wojny jest tylko armia! Niema żadnego narodu!

Generał von Mallstein jednak nie ustępował.

—Jest jedna rzecz błędna w waszym rozumowaniu, która sprowadzić może na Niemcy nieobliczalne nieszczęścia! Rozpoczynacie wojnę, nie będąc pewni swoich sprzymierzeńców! Zaślepia was chęć odwetu! Należy nie zapominać o tym, że stworzony przez nas bolszewizm w Rosji może zniszczyć nasze państwo. Władza nasza w Rosji Sowieckiej nie jest oparta na trwałych podstawach! Mamy już przecież wiadomości o pojawieniu się jakiegoś proroka, który dąży do przywrócenia religii i marzy o podboju świata! Jego hasła są tak niebezpieczne i burzycielskie, że cały naród zamienić się może w jeden wojenny obóz zapaleńców.

—Próżne obawy, panie generale! — Zawołał von Berg szyderczo — wyspy

Sołowieckie będą pewną przystanią dla tego człowieka, który tyle hałasu sprawia w Rosji!

—A wie pan o tym — grzmiał dalej niezrażony von Mallstein — że Moskwa postanowiła otworzyć gościnnie podwoje na przyjęcie tego człowieka? Rozumie pan co to znaczy?

Członkowie Rady, na których wiadomość ta wywarła wstrząsające wrażenie, jęli wykrzykiwać:

—Niemożliwe!

—Wykluczone!

—Nieprawdopodobne!

—Pan generał ma nieścisle wiadomości! — Wrzeszczał von Berg jak opętany. — Nasz wywiad nic o tym nie pisze! Na odwrót, doniesiono nam, że osobą tego proroka zajął się Główny Polityczny Urząd, słynny G. P. U. To zaś oznacza śmierć!

Wreszcie przewodniczący przerwał burzliwe rozprawy, udzielając na zakończenie głosu ministrowi wojny, który przemówił w te słowa:

— Wysoka Rado! Stanowisko moje w tej sprawie jest zbyt znanym powszechnie, ażebym miał je określać. Oznajmiam tylko, że na wypadek wojny z Polską Niemcy mogą wystawić cztery miliony żołnierza w ciągu czterdziestu ośmiu godzin czasu. Szalone ulepszenia w uzbrojeniu, jakie zostały zastosowane w naszych pułkach artyleryjskich i czołgowych w tajemnicy przed całym światem, potęgują siłę naszej armii. Jestem nieomal pewny, że od dnia wypowiedzenia wojny, będziemy mogli w ciągu dwóch tygodni dyktować warunki pokoju w Warszawie!

Wśród ciszy, jaka zapadła po tych słowach, przewodniczący generał von Hummel zamknął rozprawy i zarządził tajne głosowanie.

Siwe głowy pochyliły się w milczeniu nad białymi kartkami papieru.

Ważyły się losy Europy.

Tymczasem o tej samej nieomal godzinie odbywało się w Genewie drugie posiedzenie. Była to sesja Ligi Narodów, która zatwierdzić miała ostateczną decyzję, zmierzającą ku powszechnemu rozbrojeniu. Delegaci poszczególnych państw ze źle ukrywanym zdenerwowaniem przysłuchiwali się wywodom swoich kolegów-przedmówców.

W parterowej loży nieopodal głównej trybuny siedzieli głośni bankierzy świata. Nieruchome ich twarze nie zdradzały żadnych wzruszeń, żadnego przejęcia się powagą tej rozstrzygającej chwili. Byli spokojni. Wiedzieli bowiem, że los świata od nich wyłącznie zależy. Tamci mieli za sobą armie ludzi gotowych na śmierć, gazy trujące i wspaniałe artylerię. Oni zaś rozporządzali złotą artylerią swoich milionów. Doskonale zdawali sobie z tego sprawę, że bez ich zasiłków żadne państwo na wojnę zdobyć się nie może. Ich złoto wzniecało i tłumilo rewolucje na całym świecie. Powstawały państwa dzięki 656 ich pomocy, a ginęły drugie, którym pomocy odmówili.

Po ukończeniu przemówienia jednego z delegatów na trybunie stanął jakiś młody człowiek o surowej, poważnej twarzy i czarnych, błyszczących oczach. Nieznana nikomu postać mówcy wzbudziła ogólne zainteresowanie. Młody człowiek początkowo cichym, a potem coraz donośniejszym głosem począł mówić:

— Dziesiątki lat dzielą nas od ostatnich szaleńczych dni wojny światowej. Bieleją jeszcze kości poległych na zoranych polach, a my jemy chleb, nasiąknięty ich krwią i łzami. W tysiąc dziewięćset szesnastym roku stało naprzeciwko siebie trzydzieści milionów uzbrojonych mężczyzn. Działania wojenne trwały cztery lata, trzy miesiące i dziesięć dni — czyli tysiąc pięćset sześćdziesiąt dni. Dziesięć milionów ludzi padło trupem na polach bitew, przeciętnie zatem każdego dnia ginęło sześć tysięcy czterysta, a w każdej minucie — czterech ludzi. Dwadzieścia milionów żołnierzy odniosło rany, z pośród nich znaczny procent był rannych kilkakrotnie. Około dziesięciu milionów pozostało inwalidami o różnym stopniu niezdadności do pracy. Oto smutny wynik waszych sprzecznych żądz sławy, zachłanności i wymagań. Jeżeli człowiek głodny ukradnie kawałek chleba, to w państwach, których przedstawiciele widzę tu przed sobą, karze się takiego przestępcę półrocznym więzieniem i mianem złodzieja. Jeżeli człowiek zginie z ręki człowieka z powodu krzywdy moralnej, której mu nikt nie jest w stanie wyrównać, również ciężko musi odpokutować. Natomiast, jeśli dziesięć milionów ludzi pozabija się wzajemnie, wówczas nikt nie ponosi kary, a moralnych sprawców takiej rzezi otacza sława bohaterstwa i powszechny szacunek. Czyż nie można rozwiązywać sporów inaczej, jak za- pomocą pięści, karabinów, bomb i gazów trujących? Czyż poto rozporządzamy tak zwanym rozumem, ażeby się nie móc porozumieć? Liga Narodów już dawno powinna odpowiedzieć na te pytania, ażeby zapobiec niesłychanej zbrodni, jaką jest wszelka wojna, a tymczasem hasła o powszechnym pokoju i rozbrojeniu stały się, niestety, śmiesznością.

Na sali zapanowało poruszenie. Delegaci poszczególnych państw z niepokojem spoglądali na siebie, bowiem sprawa ta była zbyt drażliwa do publicznego omawiania. Jednak młodemu mówcy nie można było nic zarzucić. Wielcy bankierzy z łoży pochylili głowy, ażeby nikt nie mógł zauważyć niespokojnych błysków w ich oczach. Jedyne przewodniczący posiedzenia, stary belgijski arystokrata, z pewnego rodzaju ożywioną życzliwością spoglądał na młodego mówcę, który ciągnął dalej:

— Wiele gładkich, zdawkowych słów powiedziano na tern miejscu, lecz nie powiedziano tego, co jest najważniejsze. Rozbrajacie się wszyscy, a poza plecyma sąsiadów wasza potęga wojskowa wzrosła do niebywałych rozmiarów. Dlaczego delegat Ameryki nie doniósł Lidze Narodów, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy spuszczone na wodę szesnaście wojennych statków najnowszej budowy, zatapiając jednocześnie cztery stare, bezużyteczne pudła okrętowe, ażeby stało się zadość wielkiej idei rozbrojenia. Dlaczego delegat Anglii ukrywa przed nami wybudowanie czterdziestu balonów sterowych z osobliwymi urządzeniami

na przewożenie i zrzucanie tysięcy tonowych\*<sup>29</sup>) bomb? Dlaczego delegat Niemiec nie mówi nam o studwudziestu siedmiu zeppelinach, cudownie uzbrojonych w karabiny maszynowe, wyrzucające tysiąc kul na minutę? Albo o dwóch tysiącach samolotów, które wybudowane zostały dla zaprowadzenia szybkiej łączności międzymiastowej, a które na wypadek wojny mogą być przerobione dokładnie w ciągu dwóch godzin na groźne jednostki bojowe?

Delegat Niemiec zerwał się gwałtownie z miejsca i wzburzonym głosem krzyknął:

— To kłamstwo !

— Niestety, prawda! Niech pan posłucha: od piętnastego maja do pierwszego października zeszłego roku wybudowano w Niemczech trzydzieści cztery zeppeliny: „Z. L.2”, „Z.L.3”, „Deutschland”, „Erbsloch”, „Vaterland“, „Deutscher Adler”. Czy pan chce, żebym mu wyliczał wszystkie pokleci? Proszę mi wierzyć, że zajęłoby to zbyt wiele czasu, a zresztą wszelkie wiadomości o przygotowaniach wojennych Niemiec, jak również i innych państw złożyłem w sekretariacie Ligi i każdy z panów delegatów ma możliwość zachwycać się nimi.

Cała sala drgnęła. Niestłuchane szczegóły, jakimi rozporządzał młody mówca, przeraziły wszystkich delegatów. Patrzano wzajem na siebie w osłupieniu, dopytując się szeptem nazwiska mówcy. Nikt jednak nie mógł na to odpowiedzieć i tajemniczość mówcy potęgowała jeszcze popłoch wśród zebranych.

Tymczasem mówca, uśmiechając się smutnie, ciągnął dalej:

— To wszystko, co powiedziałem, jest zaledwie drobną częścią tego, co się dzieje na świecie. Spoglądając na wasze obrady odnosi się wrażenie, że w pewnym miejscu zebrały się lwy i tygrysy, wmawiając w siebie, iż są jagniętami i owcami. Żaden z was nie marzy o zapewnieniu szczęścia wszystkim ludziom na ziemi, żadnego z was nie otrzeźwiły jeszcze łzy matek, które synów swoich straciły w czasie wielkiej wojny. Zapominacie o tym, że na wypadek wojny nie wy bić się będziecie, lecz inni ludzie, którzy losy swoje i swojej ojczyzny dożyli z całą ufnością w wasze ręce. A przecież nie dążą oni do walki, do rozlewu krwi, a chcą pracować tylko i czuć się szczęśliwymi.

Wtem młodemu mówcy przerwał nagle delegat Francji:

— Pan jest za młody na to, ażeby tak mówić!

Nieznany nikomu delegat zwrócił ku niemu swą bladą twarz.

— Trudno! Jeżeli starzy ludzie tak nie myślą, młodzież za nich musi myśleć! W danym wypadku nie chodzi o mnie, lecz o myśl przewodnią Ligi Narodów. Przepraszam pana, że rzucę mu pytanie: czy był pan kiedykolwiek w Romaque - Sous - Montf eauçon ? (Ro- mak-Su-Mąfosą).

Delegat Francji uniół brwi wysoko ze zdziwienia i poruszył przecząco głową.

— Widzę, że pan tam nigdy nie był. Nie zwiedzał pan miejsca, które winno

<sup>29</sup> \*) tonna = 1000 kg

być pańskim natchnieniem, kolebką pańskich myśli, gwiazdą przewodnią całego życia politycznego. Romaque- Sous-Montfeauçon jest to cmentarz, w którym spoczywa snem wiecznym czternaście tysięcy młodych Amerykanów, poległych w obronie pańskiej ojczyzny! Bardzo wiele takich cmentarzy jest rozsianych po całym świecie, świadcząc dobitnie o zbrodniczości natury ludzkiej. Najwyższy czas jest zrozumieć, że jedynym sensem ludzkiego życia na ziemi nie jest dobrze zrozumiana korzyść, wysoka cena za naftę lub korzec żyta, lecz szczęście jednostki i ogółu, praca spokojna i dobrobyt. Nie wolno szafować krwią ludzką bezkarnie, gasić uśmiechy i wyciskać łzy rozpacz, wydzierać kobietom mężów i synów li tylko z tej racji, że przewodnictwo lądowe lub morskie pozostanie przy jednym z państw albo udział jakiegoś związku fabrykantów wzrośnie w dwójnasób. Wy zaś panowie z łoży parterowej zechciejcie mi wierzyć, że wszystkie wasze miliony nie warte są jednego życia ludzkiego, chociażby życie to kryło się w łachmanach i cierpiało ostatnią nędzę! Nie bądźcie zbrodniarzami, lecz wielkimi budowniczymi jutrzejski narodów!

Publiczność na galerii, przysłuchująca się dotąd w milczeniu mowie nieznanego delegata, wybuchnęła nagle wrzawą i niemilkącymi długo oklaskami. Natomiast wręcz przeciwny skutek wywarły słowa młodego mówcy na delegatach. Przedstawiciele Anglii, Ameryki i Niemiec głośno domagali się przerwania posiedzenia z powodu ujawniania ważnych tajemnic państwowych. Przedstawiciel Francji niezmiernie oburzony żądał od przewodniczącego odebrania głosu młodemu mówcy. W powietrzu krzyżowały się gorączkowe szepty i pytania coraz śmielsze, coraz bardziej natarczywe, bowiem nikt jeszcze nie wiedział i nie mógł się dowiedzieć, w imieniu jakiego państwa ów młody człowiek przemawiał. Wreszcie kilku delegatów opuściło swe miejsca i zbliżywszy się do przewodniczącego, prosili go o podanie nazwiska i narodowości nieznanego mówcy.

Wielkie wrażenie wywołało stwierdzenie, że w tym czasie przypadała kolej głosu na delegata Jugosławii, który od godziny przeszło bawił na korytarzach, a obecnie dopiero co wszedł na salę. Przewodniczący spostrzegłszy swą omyłkę powstał z miejsca i, zadzwonił. W całej sali nastała cisza. Przewodniczący surowym głosem zwrócił się do tajemniczego mówcy:

— Pan nie ma prawa głosu i Pan nie był zapisany na liście!

Młody człowiek skierował spokojne spojrzenie ku niemu i odparł:

— Wiem o tym!

— A zatem, skoro pan wiedział, dlaczego pan przemawia ?

— Było to potrzebne dla opamiętania się tych panów!

Wśród delegatów wybuchnęła burza protestów i okrzyków. Na galerii znowu zabrzmiały oklaski. Przewodniczący zadzwonił powtórnie. Delegat Niemiec, pieniąc się z wściekłości, podbiegł do mównicy i, wygrażając pięścią, zawołał:

— Kto pan jesteś? Jakie pan ma prawo tu przemawiać? Kto pana tu przysłał?!

Po paru minutach wrzawy przewodniczący, uciszywszy salę, wezwał mówcę do opuszczenia mównicy.

Nieznajomy skłonił się przed nim głęboko i odparł:

—Niestety muszę zakończyć swoje przemówienie !

—Kto pan jesteś?

Młody człowiek spojrzał uważnie na salę, zawahał się przez chwilę, wreszcie rzekł:

—Jestem człowiekiem.

Słowa te wywołały burzę gniewu na dole, a huragan oklasków na galerii. Nikt jeszcze nie pamiętał tak burzliwego posiedzenia Ligi Narodów. Przewodniczący zarządził przerwę, a młody mówca, zeszedłszy z mównicy, skierował się ku drzwiom, ścigany wrogimi spojrzzeniami delegatów różnych państw. We drzwiach czekała już na niego policja.

Wtem z jednej z ostatnich ław podniósł się nagle delegat Polski i, podszedłszy do tajemniczego mówcy, rzekł:

—Za drzwiami czeka na pana policja !

Młody człowiek kiwnął obojętnie głową.

—Wiem o tym!

—Będzie pan aresztowany!

—Dziwiłbym się, gdyby tak nie było!

—W takim razie pozwól pan uścisnąć sobie rękę!

Nad Grabowem zachodziło słońce. Nikłe, drżące promienie oświetlały wierzchołki drzew, tworząc w zakątkach grabowskiego parku zaciszny i nastrojowy półmrok. Po upalnym dniu smętnie wyśpiewywały żaby w okolicznych stawach. Pałac grabowski jał błyskać jasno oświetlonymi oknami i rozbrzmiewać gwarem zgromadzonych gości.

W pewnej chwili zaszeleścił żwir pod stopami dwojga ludzi, którzy opuściwszy pałac, skierowali się ku fontannie, upiększającej kompleks wspaniałych klombów w parku. Byli to Terenia i Stefan.

Młoda dziewczyna zachwycona przepychem parku grabowskiego, zachwycała się na każdym kroku doborem i pięknnością kwiatów na klombach, statuami ustawionymi na drogach alei oraz parą wspaniałych, śnieżnopiórych łabędzi, płynących bez szelestu, jak widziadła senne, po wodzie. Stefan chętnie służył jej za przewodnika, znając doskonale zakątki starego parku i odczuwając dziwną rozkosz w jej towarzystwie.

Było mu tak błogo i dobrze, kiedy Terenia spoglądała na niego swymi niebieskimi oczyma. Pograżony w tym półśnie radosnego upojenia Stefan szedł obok Tereni słuchając jej głosu w nabożnym milczeniu. W pewnym momencie młoda dziewczyna przystanęła nagle i spojrzała na swego towarzysza z filuterynym zdziwieniem.

—Panie Stefanie!

Stefan drgnął i spojrzał w jej oczy z pewnego rodzaju roztargnieniem.

—Słucham, panno Tereniu!

—No, widzi pan... ja wciąż opowiadam, a pan nic... nie umie pan bawić!

Stefan roześmiał się wesoło.

—Proszę mi wybaczyć! W tej chwili mogę winę swoją zmazać! W co chce się pani bawić: w kotka i myszkę? Czy może: stoję, stoję na gorącym kamieniu, kto mnie kocha, ten mnie zmieni?!

—Czy pan oszalał? Pan myśli, że ja jestem dzieckiem! Ha, ha! Właściwie to pan jest nim, ponieważ ma pan zbyt dziecinne pomysły!

—Panno Tereniu, niech się pani nie gniewa! Nie chciałem obrazić!

—Ja się też nie gniewam, a tylko dziwię się panu! Zresztą niechże pan przestanie patrzeć na mnie w ten sposób!

Stefan uśmiechnął się żartobliwie. ,

—Wzrok mój wyraża tylko uwielbienie!

—Górnolotne wyrażenia! Z jakiej książki pan je zaczerpnął?

—Z serca!

—W takim razie widzę, że serce pańskie umie się wyrażać a la Żeromski.

—Serce moje mówi tak, jak czuje.

—Górnolotne uczucia są zwykle nietrwałe.

—Ale nie zawsze! Są chwile, w których samo serce dyktuje słowa. Również czasami sytuacja przedstawia się śmiesznie: mężczyźni zdaje się, że kłamię, a tymczasem, gdy uniesienie jego minie, przekonywa się, że mówił z niekłamanyim uczuciem!

—A którą z tych sytuacji chciał pan teraz zająć?

—Panno Tereniu! Jaką pani ma o mnie opinię? Czyż tak się godzi?

—Przypuszczam, że pan nie należy do wyjątków.

—Do wyjątków nie należę, a jednak zrobiła mi pani przykrość. Ostre ma pani pazurki.

Terenia spojrzała na niego uważnie, nie wiedząc, czy żartuje, czy też mówi serio. Stefan jednak zachował poważny wyraz twarzy.

—Czy naprawdę?.. Czy naprawdę uczuł się pan dotknięty? W takim razie bardzo przepraszam!

Stefan skłonił się z komiczną powagą, poczem nagle parsknął śmiechem, błysnął oczyma i porwawszy ręce Tereni, począł całować je serdecznie.

—Ależ panie Stefanie! Co pan wyprawia! Tak nie można!

—Niechże mnie pani zwolni od odpowiedzi! Jestem zajęty! Nie mam czasu!

— To mówiąc całował w dalszym ciągu, poczem, bez żadnych wstępów, wypalił nagle

—Kocham panią!

—Co takiego?

—...i chcę być kochanym!

—Tego już za wiele! Skąd ta pewność, że ja pana lubię i A zresztą skąd pan wie, że jestem wolna?!

To ostatnie słowo spłoszyło radość Stefana. Przygasły mu oczy i głos trochę zadrzał, gdy przypomniawszy sobie zaręczyny porucznika Szalskiego, rzucił pytanie, oczekując ciosu:

—Tak... ma pani rację... że też mi to do głowy nie przyszło... zapewne jest

pani narzeczoną porucznika Szalskiego?

Terenia spojrzała nań ze zdumieniem.

—Szalskiego?... kto to jest?

—Jak to kto?...

—Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

Stefanowi milion słońc zajaśniało nagle w oczach. Radość jego była tak wielka, że z trudnością powstrzymywał siebie od porwania w objęcia ukochanej dziewczyny.

—To pani go nie zna!... Wspaniale! Cudownie!

—Co to ma znaczyć? Nic nie rozumiem !

—Zaraz pani zrozumie, tylko jeszcze jedno pytanie pozwolę sobie zadać: czy pani naprawdę nikogo nie kocha?

—Czy pan chce zostać moim spowiednikiem?

—Nic podobnego! Rolę swoją zdążyłem już pani określić!

—A więc — powiem panu! Ktoś mi się bardzo podoba!

## Rozdział V.

Ostatnim gościem, który zjawił się nieomal przed samą kolacją, był Tadeusz Zamiński. Musiało się stać coś bardzo niezwykłego, gdyż młody liczony, wyskoczywszy z auta, zrzucił jednym ruchem ramion palto w przedpokoju, poczem jak burza wpadł do gabinetu, gdzie większość towarzystwa siedziała przy kilku stolikach bridge'a.

Nie witając się z nikim od progu już począł wołać radosnym głosem:

—Zwycięstwo! Szalone zwycięstwo człowieka I Komunikacja międzyplanetarna stała się faktem dokonany! Dziś rano profesorowie holenderscy Van Roop i Tilden wrócili z księżyc na ziemię!

Wiadomość była w samej rzeczy tak niezwykła, że część gości, znających historię owej próby dostania się na księżyc przy pomocy pocisku raketowego, na razie nie rozumiała o co chodzi.

Tymczasem młody uczoney ciągnął dalej, gestykulując gwałtownie rękoma ze wzburzenia:

—Nastał nowy okres w życiu ludzkości. Cały wszechświat stoi przed nami otworem! Wszystkie tajemnice będą nam niezadługo znane! Po prostu w głowie się mąci, że przestrzeń trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów przebyto niespełna w ciągu czternastu godzin!

Z ust wielu osób zabrzmiały okrzyki niedowierzania.

—To niemożliwe! Pan się chyba myli!

—Nie myślę się — odparł Zamiński — wiem z całą pewnością. Oto są dzisiejsze gazety, zawierające rozmowy zagranicznych dzienników z holenderskimi



uczonymi!

Goście słoczyli się przy panu Czerskim, który, wzięwszy jedną z gazet, jął czytać głośno:

—Bruksela dnia 24 czerwca. Dziś rano o godzinie ósmej minut czterdzieści wylądował na tutejszym lotnisku gość z zaświatów. Był to samolot raketowy, którym holenderscy uczeni Van Roop i Tilden wystartowali cztery dni temu na księżyc. Podróż ich uważaną była za niebezpieczną próbę, w której dobry wynik powszechnie nie wierzono. Tymczasem uczeni nasi powrócili cali, zjawieniem się swoim stwierdzając, iż dla nauki niema nic niemożliwego. Z tą chwilą świat rozpoczyna nową epokę swojego istnienia. Przestaliśmy być więźniami atmosfery<sup>\*30</sup>) i niezadługo śladem bohaterskich Holendrów wylecą tysiące, innych samolotów raketowych, celem odkrycia nowych planet i zbadania nowych tajemnic.

Szaloną przestrzeń trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, jaka dzieli nas od księżyca, uczeni przebyli w ciągu czternastu godzin. Szybkość ta osiągnięta została nie dzięki zdumiewającej sprawności samolotu raketowego, lecz na skutek bardzo małego oporu, jaki napotykał na swej drodze samolot, przebywając przestrzenie międzyplanetarne. Cała podróż odbywała się w doskonałych warunkach za wyjątkiem wysokiej temperatury, na jaką narażeni byli w swojej szczelnie zamkniętej kajucie raketowej podróżnicy, ratując się puszczaniem w ruch centralnego ochładzania i aparatów z tlenem. Jak wiemy, dzień i noc trwają na księżycu po czternaście dni ziemskich. Otóż uczeni nasi trafili tak szczęśliwie, że przypadał właśnie początek okresu światła dziennego, dzięki czemu poczynić mogli cały szereg pomiarów i obliczeń, niezmiernie ważnych dla nauki, i świata. Stwierdzili również, że wszelkie legendy zamieszkiwania ludzi na księżycu nie mają najmniejszych podstaw. Księżyc jest krainą wymarłą, zawierającą w sobie cmentarze niegdyś istniejącego tam życia. W szczelinach gór i wulkanów znajdują się nadzwyczaj bogate żyły złota, srebra i miedzi. Na przestrzeni około pięciu tysięcy kilometrów, to jest tyle, ile uczeni nas zdążyli objechać samolotem, ciągną się też szlachetne kruszce, których ziemi naszej już zabrakło."

—Możemy sobie powinszować — zauważył pan Szymański — będziemy mieli znowu wojny z racji, kto ma objąć protektorat nad księżycem!

—Ja myślę nieco inaczej — odparł Zamiński. Wszelkie kruszce tak potanieją, że będą dostępne nawet dla najuboższych. A wówczas praca ludzka doczeka się nareszcie sprawiedliwego wynagrodzenia!

—Daj Boże! Daj Boże!

Dalsze uwagi przerwało wejście pani Niuty, która zaprosiła wszystkich na kolację. Pod wrażeniem wstrząsającej nowiny rozmowy przy stole toczyły się

<sup>30</sup> \*) powietrza otaczającego ziemią.

wyłącznie na temat możliwości zbadania całego wszechświata. Przedmiotem ogólnego zainteresowania oraz źródłem informacji był Zamiński. Młody astronom czuł się w tej dziedzinie, jak ryba w wodzie. Z niezwykłym ożywieniem odpowiadał każdemu na jego pytania, prostował poglądy, roztaczał obrazy wspaniałych gwiazd i planet, których istnienia na firmamencie niebieskim nie odkryły jeszcze najpotężniejsze teleskopy, a które mogą być zbadane i zawładnięte przez ludzi dzięki genialnym samolotom raketowym. Te ostatnie zwłaszcza zainteresowały niezmiernie majora Tabor-Taborskiego, który nie wiele o nich słyszał.

Stefan był olśniony. Z chciwością słuchał tedy słów Zamińskiego, starając się nie uronić jednego bodaj słowa, ponieważ zrozumiał nagle, dzięki nieprzeciętnej inteligencji i głębokiej wiedzy, jaką posiadał na uniwersytetach, przewartościanie wielu rzeczy na ziemi.

Mimowoli spojrzął na księdza Piotra. Młody kaznodzieja, nagle wyniesiony do biskupiej godności, rozprawiał z ożywieniem z gospodarzem domu i panem Szymańskim. Na księdza wiadomość powyższa nie uczyniła najmniejszego wrażenia. Przebywając od dawna myślą w sferach niebieskich, nie dziwił się postępowi techniki ludzkiej, będąc przekonany, że udziałem człowieka jest cały wszechświat, nacechowany mądrością i dobrocią Boga.

Tymczasem Zamiński olśniewał słuchaczy wspaniałym obrazem systemu słonecznego i opisem ośmiu wielkich planet, stanowiących jego treść zasadniczą. W pewnej chwili ktoś przerwał mu na pół serio, na pół żartobliwie:

—Czy pan, panie profesorze, nie przypuszcza, że na jednej z odkrytych przez nas planet zamieszkują dusze naszych przodków?

Zamiński przerwał wykład i roześmiał się wesoło.

—Pan wierzy w nieśmiertelność duszy? Ależ panie, wszystko, na co spoglądamy, czegokolwiek się dotkniemy, jest w istnieniu swoim nieśmiertelnością, zmieniającą tylko formę i sens swego bytu. Nie wierzę zaś w to, ażebyśmy mieli stanowić wyjątek w ogólnej harmonii wszechświata i jego ciągłych przemian!

Do rozmowy wtrącił się major Tabor-Taborski.

—To pan, panie profesorze, nie wierzy w nieśmiertelność duszy i istnienie duchów?

—Naturalnie! Istnieje energia. Duchów niema!

—W takim razie niech pan posłucha, co mi się raz przydarzyło w życiu, a może zmieni pan zdanie. Było to w czasie wielkiej wojny, na włoskim froncie, na zboczu Monte Santa. Jako kapitan armii austriackiej zajmowałem ze swoimi ludźmi pewien odcinek, mając naprzeciw siebie włoskich bersagliarów. Przez dwa tygodnie lały ciągle deszcze, ołowiane zaś niebo nastrojało nas wszystkich na ton smutny i beznadziejny. Sądzę, że to samo odczuwali nasi przeciwnicy, bowiem wymiana strzałów odbywała się nader rzadko i czasami cały dzień schodził wśród martwej ciszy.

Pewnego dnia w okopach przeciwnika zauważyliśmy pewne ożywienie. Uszu naszych dochodził brzęk łańcuchów, jakieś głuchoe odgłosy i w niespełna pół

godziny rozległy się pierwsze salwy małych armatek górskich, skierowane w naszą stronę. Była to zapowiedź ostrej walki i wobec tego gotowaliśmy się do niej z całym przejęciem. Po pierwszych jednak salwach okazało się, że niedługo będziemy mogli utrzymać pozycję. Zasypywani gruzem i odłamkami skał rozpoczęliśmy ogień karabinowy, który niewiele szkody wyrządzał stronie przeciwnej. Na zapytanie nasze ze sztabu głównego nadeszła odpowiedź, ażeby za wszelką cenę utrzymać daną pozycję przez trzy dni. Rozkaz — to rozkaz! Każdy z nas przeto machnął ręką na wszelkie sprawy, wiążące go ze światem, zacisnął zęby i gotował się na śmierć.

Tak minęły dwa dni. Bombardowani noc i dzień bez przerwy nie spaliśmy, nie jedli, powstrzymując jedynie ogniem karabinowym możliwy wypad przeciwnika. Twarze nam poczerniały, oczy powpadały w głąb czaszki, osłabłe nogi sprzeciwiały się nakazom woli. Pod koniec trzeciego dnia poczułem, że jeśli nie położę się spać, to dostanę pomieszania zmysłów. Od ciągłego huku armat ciekła mi krew z uszu, a przed oczyma pojawiały się ogniste plamy. Poruczywszy tedy zastępstwo jednemu z kolegów, udałem się do swej kawerny czyli izby w okopach. Zajmowałem ją sam jeden i przyznam się, że urządzona była z pewnego rodzaju „wojennym” komfortem. Pod ścianą stało łóżko z materacem, obok krzesło, na środku stół pokryty materia, na ścianie zaś wisiała półeczka naśladowająca kredens. Drzwi do kawerny zamykane były na skobel.

Stanąwszy w drzwiach zapaliłem ślepą latarkę elektryczną, bowiem pora była późna i ruszyłem naprzód. Skoro jednak wzrok mój padł na łóżko, stanąłem jak wryty. Oto wyobraźcie sobie moi państwo, że ujrzałem na moim własnym łóżku siebie samego z twarzą zbryzganą krwią i piersiami zniekształconymi w tak straszny sposób, że nagie żebra, przebiwszy skórę, wyłaziły na wierzch. Widząc to po prostu tchu nie mogłem złapać. Wreszcie ocknąwszy się, krzyknąłem na ordynansa- Chciałem sprawdzić, czy przypadkiem nie ulegam omamieniu.

Po chwili posłyszałem spieszne kroki i do kawerny mojej wbiegł ordynans. Bez słowa uniosłem rękę i wskazałem na łóżko.

—Boże! Pan kapitan!?

Żołnierz przysiadł ze strachu, rzucając oczyma to na mnie, to na mego sobowtóra, spoczywającego w łóżku. Wreszcie wrzasnął raz jeszcze i uciekł.

Sobowtór zniknął.

Zbytecznym jest chyba dodawać, że tej nocy nie spałem w kawernie i dobrze uczyniłem. Nad ranem pocisk armatni rozwalil ścianę, pod którą stało moje łóżko i zasypał je całkowicie gruzami. Niewątpliwie, gdybym, nie zważając na widzenie, położył się spać, byłbym już od dawna na tamtym świecie. Dlatego też niechaj pan mówi, co się panu podoba, a ja twierdzić będę, że duchy są i basta!

Opowiadanie majora wywarło na wszystkich pewne wrażenie. Nawet ksiądz Piotr, przerwawszy rozmowę z panem Szymańskim, przysłuchiwał się ciekawie.

Rozpoczęła się długa i żywa rozmowa na temat istnienia duchów i możliwości porozumiewania się z niemi.

Od dłuższego już czasu pani Niuta czekała niecierpliwie końca dysputy.

Kolacja była skończona i należało dać hasło powstania. Skorzystawszy tedy, że ksiądz Piotr przestał mówić, powstała szybko, nie chcąc dopuścić do nowych sporów i opowiadań roznamiętnionych tematem słuchaczy.

Wtem piekielny hałas tłukącej się porcelany zwrócił uwagę wszystkich.

Jeden z usługujących lokai stał właśnie z przechyloną w rękach tacą, mając u nóg olbrzymią górę skorup. Odwróciwszy głowę w stronę drzwi, prowadzących do kuchni, trząsł się ze strachu, nie mogąc wymówić słowa.

Wszyscy spojrzeli odruchowo w tym kierunku i wszystkim serca poczęły spieszniej uderzać.

Do sali jadalnej w pałacu grabowskim prowadziło troje drzwi. Jedne wiodły na korytarz, drugie do kuchni przez kredens, a trzecie do hallu. Otóż w każdych drzwiach stało po dwóch zamaskowanych ludzi z rewolwerami wycelowanymi w rękach.

Milczenie, jakie zapadło na ten widok przy stole, przerwał nagle chrapliwy głos jednego z nich;

—Ręce do góry!

## Rozdział VI.

Posłusznie spełniono rozkaz. Na twarzach kobiet wystąpiło przerażenie. Mężczyźni pobledli, a niektórzy z nich, młodszy wiekiem, zerwali się z miejsc, sięgając pośpiesznie do kieszeni. Skierowane natychmiast w ich stronę lufy rewolwerów ostudziły zapęły wojownicze, zmuszając ich do pozostania na miejscu i podniesienia rąk.

Pan Czerski, którego przerażenie równoznaczne było ze zdumieniem, przeklął ślinę, poruszył głową i, wodząc dookoła osłupiałym wzrokiem, bąknął pod nosem:

—Co to? Napad?!

Spiorunowany jednak wzrokiem herszta, który wystąpił na środek pokoju, zamilkł.

Stefan, trzymając ręce wzniesione ku górze, przeklinał siebie, że nie zabrał, wbrew swemu przyzwyczajeniu żadnej broni, jadąc do Grabowa. Co prawda użytek byłby wątpliwy, bowiem zbyt raptowne wtargnięcie bandytów uniemożliwiało wszelką obronę. W każdym razie mając broń w ręku można było celnym strzałem rozbić lampę elektryczną, zwisającą w kształcie kuli nad stołem biesiadnym, a wówczas w ciemnościach walka byłaby łatwiejszą.

Wtem zagrzmiął nagle pojedynczy wystrzał i talerz, stojący przed majorem Tabor-Taborskim rozprysnął się na drobne kawałki.

—Pierwsze ostrzeżenie, panie majorze, — przemówił człowiek, stojący na środku pokoju. — Niech pan lewej ręki nie chowa pod stołem, bo może być źle!

Oficer uśmiechnął się blado i spełnił posłusznie rozkaz.

—Ma pan dobre oko! — odparł.

—Do usług pana majora! — Skłonił się szarmancko herszt bandy — zawsze mi to ludzie mówią, których wysyłam na tamten świat.

Nie życzę jednak tego panu majorowi. W ogóle nikomu nic nie grozi! Proszę się nie obawiać! Weźmiemy tylko trochę pieniędzy i kosztowności i pożegnamy państwa uprzejmie. Hola! Stop! Dokąd pan idzie ?!

Pytanie to zwrócone było do Stefana, który trzymając wciąż ręce wzniesione ku górze, powstał nagle z miejsca i, przedfilowawszy dookoła stołu, w milczeniu zmierzał ku hersztowi. Ten ostatni, nie widząc groźnych ku sobie zamiarów, czekał cierpliwie, będąc zdziwionym niemniej od reszty zgromadzonych osób.

Wreszcie Stefan zatrzymał się przed samą lufą rewolweru i, spoglądając z uśmiechem w oczy bandyty, rzekł:

—Napady tego rodzaju nie przewidują, o ile mi wiadomo, przepisu zabraniającego palenia papierosów. Ponieważ zaś jestem namiętym palaczem, więc bądź pan łaskaw sięgnąć do mojej kieszeni, wyjąć stamtąd papierośnicę i poczęstować mnie i siebie dobrym papierosem. Przy sposobności może pan wziąć portfel, przy czym żałuję, że jest tam dzisiaj niewiele pieniędzy.

Oszupienie ogarnęło wszystkich, zaś niektórym z gości wydawało się, że Stefan oszalał. Zdumiony herszt nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy też zabić śmiałka. Przez chwilę palec na cynglu nacisnął lekko sprężynkę i życie Stefana zawisło na włosku. Spodziewał się tego decydując się na krok podobny celem uratowania uprzejmych i zacnych gospodarzy przed bezczelną grabieżą. Gdyby jednak wolno mu było obejrzeć się, z pewnością serce jego uderzyłoby silnie i radośnie. Ujrzałby oczy Tereni, wpatrzone w niego z bezmiernym lękiem i przerażeniem. Stopień zaś tych uczuć był tak wielki, że mogła je przeżywać jedynie kobieta, która kocha.

Nastąpiła długa minuta ciszy.

Wreszcie herszt bandy, któremu wybryk Stefana spodobał się niezmiernie i zaimponował, parsknął śmiechem i lewą ręką uderzył kordialnie Czamburskiego po ramieniu.

—To mi się podoba! Ma pan nerwy jak druty! W której kieszeni są papierosy?

—W lewej bocznej marynarki! — Odparł cichym głosem Stefan.

Chwila działania nadeszła. Temu, co się stało, nikt nie mógł przeszkodzić, bowiem ruchy Stefana były tak szybkie, że oko nie mogło za nimi nadążyć. Bandyta nie był na to przygotowany. Wystarczył jeden moment, w którym wzrok jego podążył za ręką szukającą papierosów, kiedy Stefan opuścił nagle z rozmachem swoje ręce, uderzając, lewą w rewolwer, który natychmiast upadł na ziemię, prawą zaś, zwiniętą w pięść, bijąc bandytę po głowie. Uderzenie było tak potężne, że opryszek zachwiał się gwałtownie, poczem ostatnim błyskiem świadomości zrozumiawszy, że jest rozbrojony, niezdarnym ruchem schylił się po broń. Uprzedził go jednak Stefan i porwawszy lewą ręką rewolwer, ujął prawą pod pachy ślaniającego się herszta, czyniąc z niego coś w rodzaju tarczy, chro-

niącej go od kul pozostałych opryszków.

Strzały z obu stron zagrzmiały równocześnie. Stefanowi przyszedł z pomocą major Tabor-Taborski, który oprzytomniawszy z podziwu i zorientowawszy się w nowej sytuacji, natychmiast zerwał się "na równe nogi, strzelając do biegnących z pomocą hersztowi bandytów.

Pozostali biesiadnicy siedzieli bez ruchu przy stole, ogarnięci trwożnym osłupieniem. Ocaliło to niejednemu z nich życie, bowiem kule przelatywały tuż nad ich głowami, uderzając w przeciwległe ściany lub rozbijając kosztowne kryształy, stojące na wspianiałym kredensie.

Wystrzeliwszy cały magazyn, Stefan cofnął się w stronę okna, ciągnąc za sobą herszta, który bronił się rozpaczliwie, nie mogąc dać jednak rady silniejszemu znacznie przeciwnikowi. Tymczasem celne strzały majora Tabor-Taborskiego spowodowały załamanie się odwagi wśród opryszków, którzy widząc dwóch ze swoich leżących na ziemi i uwięzionego herszta, rzucili się do ucieczki.

Wtenczas z bezwładu ocknęła się służba, bojaźliwie kryjąca się dotąd pomiędzy meblami jadalni. Jakby mszcząc się za przestrach i przerażenie wszyscy lokaje w liczbie trzech rzucili się razem w stronę hallu w ślad za uciekającą bandą. Major Tabor-Taborski, cudem niedraśnięty nawet, aczkolwiek narażony był niemal na pewną śmierć, stojąc w miejscu, gdzie z trzech stron jednocześnie strzelano do niego, popędził za nimi, porywając za sobą Zamińskiego i Szymańskiego.

Pozostali zerwali się od stołu i pośpieszyli do Stefana. Mężczyźni otoczyli ciasnym półkolem herszta bandytów, który ponury wzrok utkwivszy w ziemi, stał nieruchomo, trzymany pod ramię przez Stefana. U nóg ich tworzyła się kałuża krwi. Obaj prawie jednocześnie spojrzeli na siebie. Żaden z nich nie czuł bólu, a więc nie mógł być rannym.

Wtem ku wielkiemu zdziwieniu obecnych Terenia zbliżyła się do więźnia.

— Pan jest ranny! — Rzekła, wskazując na rękę.

Bandyta uniósł skrwawioną dłoń i wzruszył ramionami.

— Nawet nie czułem tego.

Poczem, przyjrawszy się bliżej ranie, zaklął:

—Psiakrew! Cała ręka na wylot przestrelona! To na pewno jeden z kamratów tak mnie urządził!

—Niech pan pozwoli! Obandażuję panu!

—Zbytek łaski! Nie trzeba!

Terenia, nie słuchając go, podeszła do stołu i zwilżyła własną chusteczkę wodą z karafki. Opryszek zachnął się gniewnie i syknął przez zęby:

—Najpierw biją, a potem lulają!

Jednak pozwolił sobie zawiązać, a nawet oceniając postępek Tereni, dodał łagodniejszym głosem:

—Dziękuję panience!

Wtem stanął przed nim pan Czerski, cały drżący ze wzburzenia i gniewu.

—Jak się nazywasz, łajdaku?!

Bandyta uniósł hardo głowę i błysnął wściekle oczyma.

—Ja panu nie wymyślam! Jakiem prawem pan mi wymyśla?!

Na Czerskiego uderzyły ognie.

—Psem jesteś parszywym! Grabieżcą cudzego mienia!

—Oj, panie! Jak ja tu rozpuszczę język, to damom uszy popuchną! Nie jestem byle kto, żeby mną gębę można było wycierać! Nazywam się Alojzy Kłak!

Ta wiadomość na pewien moment sparaliżowała wszystkich, bowiem nazwisko groźnego bandyty nie było nikomu obcym. Były dezertier wojskowy w randze sierżanta piechoty wsławił się niejednym napadem, o którym szeroko rozpisywały się gazety. Niejako specjalnością jego były dwory ziemiańskie. W czasie napadu po rycersku postępował z ofiarami, nie czyniąc nikomu krzywdy. Biada jednak śmiałkowi, któryby poważił się stawić opór. Szereg przykładów był tego dowodem i zawsze strzał bandyty okazywał się śmiertelnym.

Chwilowe osłupienie, jakie wzbudziło brzmienie nazwiska bandyty, osłabiło na moment czujność mężczyzn. Skorzystał z tego po mistrzowsku Alojzy Kłak. Nagłym ruchem wyszarpnął ramię z uścisku Stefana, rozbił głową olbrzymią szybę w oknie i w następnej sekundzie zniknął, pozostawiając w rękach usiłującego zatrzymać go Czamburskiego strzęp rękawa od marynarki.

Stefan otworzył okno i wychylił się na zewnątrz.

W ciemnościach nocy zabrzmiał nagle głos Kłaka:

—Panie! Ej, panie! Niech pan się schowa i zaniecha gonitwy! Mam zapasowy rewolwer!

—Kłamiesz!

To mówiąc Stefan skoczył na blat okienny i zgiął się jak tygrys do skoku. Ruch jego nóg, protest towarzystwa i strzał bandyty były dziełem jednej sekundy. Ręce Stefana, wyciągnięte do skoku, zwisły bezwładnie wzdłuż ciała, a on sam runął w tył, uderzając głową o twardą, dębową posadzkę.

Wstrząs, spowodowany upadkiem i piekący ból w boku, pozbawił go na chwilę przytomności. Nie czuł, kiedy dziesiątek rąk podniósł go i ułożył na miękkiej otomanie. Nie czuł, kiedy zerwano zeń zwierzchnie ubranie, chcąc dobrać się rany. Dopiero okład z zimnej wody, położony na czole, zmusił go do otworzenia oczu.

Ujrzał nad sobą przesłódką twarzyczkę Tereni i oczy zalane łzami. W głosie jej drgała przejmująca rozpacz.

—Jezus Mar ja! Jezus Maria!

Stefan uśmiechnął się z wysiłkiem, pełen radosnego szczęścia, po czym zemdlał powtórnie.

Wąziutki promień słońca, przedostający się przez wółprzymknięte okiennice, uporczywie zaglądał Stefanowi w oczy, budząc go z głębokiego snu. Chory ze zdziwieniem rozejrzał się po pokoju, zastawionym mnóstwem lekarstw, ban-

daży i gumowych pęcherzy z lodem. Tuż przy łóżku, na wielkim skórzanym fotelu siedziała pani Czamburska. Oczy miała zamknięte, oddech równy i spokojny. Spała.

Stefan spojrział z tkliwością na matkę i uniósł się na łokciu. Czuł w sobie chęć do życia, tętniącą całą gamą radosnych uczuć i nagły przypływ młodych sił.

—Mamo!

Cisza.

—Mamo! — Zawołał nieco głośniejsze.

Pani Czamburska ocknęła się. Z niezwykłą w jej wieku żywością pochyliła się nad synem.

—Śpij, kochanie, śpij!

Stefan ucałował jej ręce i rzekł:

—Mamo! Czuję się zupełnie zdrow. Jak długo leżałem?

—Dwa tygodnie.

—Co takiego?

—Tak, moje dziecko! Byłeś ciężko chory i myśleliśmy już...

Głos pani Czamburskiej załamał się i w oczach błysnęły łzy. Stefan poruszył się żywo.

—Ależ to nie do wiary! Całe dwa tygodnie?

—Postrzał, chwała Bogu, okazał się lekkim i ranny bok zoperował ci chirurg, którego sprowadziłam z Warszawy. Dzięki jednak uderzeniu głową o posadzkę ze znacznej wysokości dostałeś wstrząsu mózgowego i cały czas miałeś malignę!

—A... ten Kłak uciekł?

—Uciekł, synku! Po drodze zastrzelił jednego z fernali pana Czerskiego, który usiłował go zatrzymać.

Stefan błysnął gniewnie oczyma.

—Jeszcze się zobaczymy, a wówczas nie ucieknie mi tak łatwo! Będę ostrożniejszy!

—Daj spokój, synku! To bardzo niebezpieczny człowiek! Na jego głowę wyznaczona jest od dawna duża nagroda i nikt nie może jej zdobyć. Zawsze zdążył uciec i zemścić się!

—Mamo! Pić mi się chce!

—Zaraz, synku!

Stefan podążył wzrokiem za ręką matki, zmierzającą ku małemu stolikowi, na którym stała karafka z wodą, dwie szklanki i wysmukły wazonik z bukietem przepysznych, pensowych róż. Ujrzawszy kwiaty, Stefan wpatrzył się w nie błyszczącymi oczyma, a serce poczęło mu bić żywiej, pełne trwożnej nadziei.

—Mamo! Kto przyniósł te kwiaty?

Pani Czamburska z uśmiechem spojrzała na niego.

—Ktoś, kto przez cały czas choroby codziennie dowiadywał się o twoje zdrowie i bardzo się cieszył tego dnia, kiedy doktorzy oświadczyli, że niebezpieczeństwo minęło.

Stefan rzucił nieśmiałe pytanie:



—Panna Terenia Molińska?

—Tak, synku!

Błogie upojenie ogarnęło Stefana. Myśl, że ukochana dziewczyna obdarza go sympatią i troskliwością, przysyłając kwiaty i dopytując o jego zdrowie, napełniła go radosną nadzieją.

Wtem ktoś zapukał do pokoju. Stefan usiadł na łóżku i rzeźkim głosem zawołał:

—Wejść!

Z poza drzwi wyłoniła się uśmiechnięta twarz pana Czerskiego. Stary obywatel często odwiedzał chorego, będąc niezmiernie wdzięcznym za uratowanie jego mienia przed grabieżą.

Widząc Stefana, siedzącego na łóżku i śmiejącego się wesoło, wyciągnął doń w rozradowaniu obie ręce.

—Panie Stefanie! Co ja widzę! Jakże się cieszę!

Zaczem, przywitawszy się z panią Czamburską, ciągnął dalej:

—Doprawdy, wielka to dla mnie przyjemność widzieć pana powracającego do zdrowia! Tyle zmartwienia mieliśmy z panem! Dwa tygodnie gadał pan głupstwa, bredził w gorączce i na nikogo nie chciał patrzeć! Wciąż pan skakał z okna i łapał tego łotra!

—Przyjdzie czas, kiedy go nareszcie złapiemy!

Pan Czerski pokiwał z powątpiewaniem głową.

—Taki gatunek ludzi prędzej życie sobie odbierze, aniżeli złoży broń. Pan wie, po postrzeleniu pana Kłak, uciekając przez park, zabił jednego z moich fernali, który go na samym parkanie złapał za nogę!

—Przyjdzie czas i na niego!

—Ma pan rację! Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie! Cała policja w naszym powiecie postawiona jest na nogi. Urządzane są patrole nocne, obławy w małych miasteczkach, ale jak do tej pory, wszystko bez skutku. Być może, że Kłak przeniósł się do innych okolic. Ale — ale! Byłbym zapomniał! Mam dla pana cały szereg nowin. Przede wszystkim nasz kochany doktor Zamiński wybiera się całkiem serio w podróż na Marsa, zachęcony rezultatem wycieczki księżycowej jego holenderskich kolegów. Rakiety planetarną ufundował mu genialny wynalazca promieni zielonych, nasz rodak Wiktor Kęski, który za swój patent dostał z Ameryki dwa miliony dolarów.

—Za pozwoleniem — przerwał mu Stefan — o jakich to promieniach mowa?

—Ach, zapomniałem, że pan i o tern nie wie! Doktor Kęski zbudował aparat, który wydaje z siebie zielone promienie. Ma to niesłychane znaczenie dla medycyny, a szczególnie znajdzie szerokie zastosowanie w dziedzinie chirurgii. Promienie te, skierowane na serce, zamierzające w czasie dokonywania operacji, pobudzają je do życia i nasycają energią, równającą się energii zdrowego człowieka. Dzięki temu nie będziemy się więcej spotykali z wypadkami śmierci na stole operacyjnym. A więc ma pan już dwie sensacje. Trzecią jest zapadnięcie się wyspy sycylijskiej w morze śródziemne. Cała katastrofa trwała zaledwie trzy

minuty. W tej chwili międzynarodowe komisje uczonych badają tę sprawę, bowiem nikt nie mógł ustalić przyczyny powstania strasznego kataklizmu. Najdziwniejszym zaś jest fakt, że żaden aparat sejsmograficzny<sup>31)</sup> nie zanotował w tym czasie najmniejszych wstrząśnień.

—Mówił pan o tern z naszym księdzem biskupem?

Pan Czerski spojrział ze zdziwieniem na Stefana.

—Dlaczego?

—Bo to woda na jego młyn, jest on bowiem specjalistą w wyciąganiu wniosków, stwierdzających bliskość końca świata.

—A pan nie wierzy?

Stefan roześmiał się wesoło.

—Sąsiedzie kochany! Beż to mieliśmy przepowiedni, które nie sprawdziły się nawet w dziesiątej części. Ileż katastrof brano za oznaki zbliżającego się końca świata, a jednak istniejemy bez przerwy i będziemy istnieć, mam wrażenie, jeszcze parę dziesiątków tysięcy lat. Nie zdaje mi się, ażeby okres naszego obecnego istnienia miał być krótszym od okresów jurajskiego, kredowego, łupanego, kamienia i t. d.\*<sup>32)</sup>

—Słuchając pana, pomimo woli zgadzam się z jego zdaniem, a jednak bardzo wiele słuszności widzę również w słowach księdza Piotra.

—Nasz ksiądz umie ślicznie mówić. Ma duży talent krasomówczy — zauważył z uśmiechem Stefan.

—I z tym się zgodzę! No, ale czas na mnie! Całuję rączki szanownej pani! Ściskam pana, panie Stefanie! Polecamy się gorąco, jak tylko zacznie pan chodzić!

To mówiąc pan Czerski wyszedł.

Stefan zwrócił się ku matce.

—Mamo, co słyhać z Jerzym? Dawno go już nie widziałem!

—Był tutaj dwa razy na początku twojej choroby, a potem musiał wyjechać na skutek polecenia rządu. Obecnie bawi w Rumunii i za dwa dni ma przyjechać. Połóż się jedna! i odpocznij, bo za dużo dzisiaj rozmawiałeś. Może ci to zaszkodzić.

Minął tydzień. Stefan codziennie podnosił się z łóżka i spacerował dwie godziny po pokojach Siódmego dnia zapragnął wyjść na dwór i życzeniu jego stało się zadość. Ubrany ciepło, ze względu na dosyć chłodny, po długotrwałych deszczach, ranek, wyszedł do parku, a stamtąd na drogę wiodącą do Chojnowa. Orzeźwiający, ostre powietrze odurzyło go nieco. W głowie czuł lekki zamęt a w piersiach dziwną próżnię. Było mu jednak wesoło i radośnie na duszy.

Chojnowskie pola rozpościerały się przed nim szerokimi płachtami pługów

<sup>31</sup> \*) Przyrząd czuły na najdrobniejsze wstrząśnienie ziemi nawet w najodleglejszych częściach świata.

<sup>32</sup> \*) Są to nazwy okresów, w których tworzyła się skorupa ziemska, a z których każdy trwał bardzo długo.

rzysk. Na samym widnokręgu majaczyły z poza zieleni drzew kontury zabudowań folwarcznych i dworu. Na skraju lasu ciągnącego się wzdłuż granicy Chojnowa i Winnej Góry, sześć par pługów odwalało świeże skiby pachnącej ziemi, przygotowując teren pod zasiew.

Na ścieżce, po której szedł Stefan, ukazała się jakaś postać. Był to stary, przygarbiony ksiądz z rozwichrzoną na wietrze srebrną czupryną i niezwykle sympatyczną twarzą. Szedł naprzeciw Stefana, rozglądając się ciekawie dokoła.

Ujrzawszy go Stefan, od razu domyślił się, że ma przed sobą następcę księdza Piotra.

Początkowo miał zamiar minąć go w milczeniu, nie mając ochoty do dysput w stylu wiejsko-proboszczowskim, jednak, pociągnięty szlachetnymi rysami twarzy nowego księdza, postanowił zawrzeć znajomość. Nowy ksiądz ułatwił mu zresztą sytuację, gdyż, mijając Stefana, pierwszy pochylił głowę i rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

Stefan żywo zdjął kapelusz i odparł:

— Na wieki wieków! Najmocniej przepraszam, że zatrzymuję księdza, ale mam wrażenie, że ksiądz jest naszym nowym proboszczem.

Ksiądz zatrzymał się i wyciągnął rękę.

— Nie myli się pan! Łaniewski jestem !

Stefan wymienił swoje nazwisko, wywołując tem zdumienie i podziw.

— Właśnie o panu myślałem! Właśnie o panu! Bardzo rad jestem, że mogę pana poznać! Słyszałem przecież tyle o pańskiej odwadze i bohaterstwie ! Siedzę tu już tydzień w Winnej Górze i wszyscy o niczym innym nie mówią, tylko o panu!

Stefan machnął lekceważąco ręką.

— Z nudów, księżę proboszczu, z nudów ! Dzisiejsi ludzie potrzebują codzien nowej sensacji! Nie wystarcza im praca i własne towarzystwo. Zresztą na moim miejscu każdy by tak postąpił. Chodziło tylko o to, kto pierwszy wpadnie na myśl podobną.

— Albo kto pierwszy zdecyduje się — odparł ksiądz powoli.

— Byli i tacy. W czasie napadu kilku z nich zerwało się, sięgając do kieszeni po rewolwery, lecz dali temu pokój, mając pod nosami lufy browningów.

Ksiądz przyjrzał się bacznie Stefanowi, poczem rzekł, łagodnie się uśmiechając:

— Nie wygląda pan na zawadiakę, szukającego ustawicznie guza, dlatego czyn pański, na pierwszy rzut oka tak niezrozumiały i wprost niesamowity, uważam teraz za bardziej bohaterski!

Stefan nie lubił słuchać pochwał o sobie, toteż zmienił temat rozmowy i po kwadransie miłej pogawędki pożegnał księdza, który śpieszył się na plebanję.

Słońce powoli posuwało się ku górze. Stefan szedł wolnym krokiem, opuściwszy nisko głowę. Na skrócie drogi, tuż za lasem, zatrzymał się i usiadł na przydrożnym kamieniu. Przydługi spacer zmęczył go bowiem, a w przestrzelnym boku odczuwał lekki ból. Odpocząwszy chwilę postanowił wracać do domu

i podniósł się ostrożnie przy pomocy laski, nie chcąc, przy skurczu mięśni, nadwierać niedostatecznie zabliznionej rany. Wtem postyszał nagle czyjś młody, radosny głos:

— Co ja widzę? Pan chodzi?

Stefan podniósł głowę. Przed nim stała Terenia, wpatrując się w niego błyszczącymi oczyma.

— Panna Terenia! Boże! Co za szczęście!

Z niezwykłą czułością ucałował jej rękę, poczem ciągnął dalej:

— Co pani tu porabia? Nigdy tu pani nie spotykałem!

— Dzień jest tak ładny, że wyszłam na spacer i ani się nie obejrzałam, jak przekroczyłam granicę Chojnowa i znalazłam się w Winnej Górze! Jak się pan czuje?

— Znakomicie! Uzdrowił mnie widok pąsowych róż!

Terenia odwróciła zarumienioną twarzyczkę.

— Dawno pan wstał? — Usiłowała zmienić temat rozmowy.

— Tydzień temu. Dajmy jednak spokój mojemu zdrowiu! W pani towarzystwie nieboszczyk z pewnością począłby się uśmiechać!

Terenia zaśmiała się z zakłopotaniem.

— Taką mam moc uzdrowicielską?

— W oczach, które świecą jak gwiazdy — odparł z przekonaniem Stefan.

Poczem dodał:

— Bardzo mnie pani żałowała?

— Wszyscy to samo czuli, co ja, ponieważ poświęcił się pan dla wszystkich — odparła wymijająco Terenia.

— Ach, Boże! Ja chcę wiedzieć, co pani czuła!

— Serce kobiety jest tajemnicą! — Zadeklamowała żartobliwie.

— Zostawmy odwieczne prawdy w spokoju. Chcę raz spojrzeć w pani serduszko i wiedzieć, co ono czuje!

Terenia milczała. Stefan delikatnie przyciągnął ją ku sobie. W dziewczynie zamarło serce i łuna krwistego rumieńca pokryła śnieżną biel jej czoła.

— Kochasz mnie, Tereniu, prawda?

Promiennym wzrokiem spojrzała na niego.

— Kocham!

## Rozdział VII.

Ostatnie burze jesienne tego roku odznaczały się niezwykłą gwałtownością. Olbrzymie deszcze spowodowały w wielu miejscowościach wylewy rzek, zatapiając uprawne pola, wsie i miasteczka. Od piorunów spłonęło mnóstwo budynków i wielu ludzi przypłaciło życiem chęć ratowania mienia swego przed

ogniem.

W tym czasie trzęsienia ziemi i trąby powietrzne niesłychanie często powtarzały się w różnych miejscach globu ziemskiego. Prawie we wszystkich częściach świata klimat uległ gwałtownym przemianom. Nowa Zelandia, Szpicberg i Alaska tonęły w powodzi kwiatów i podzwrotnikowych roślin. Słońce prażyło tam niemiłosiernie, przyczym temperatura w cieniu dochodziła do trzydziestu ośmiu stopni.

Dziwniejsze jeszcze historie działy się na biegunie północnym. Tam, gdzie zwykle przez sześć miesięcy królowała ponura, ciemna noc, rozgościł się rozśmiany słońcem dzień. Olbrzymie pola lodowe od wieków drzemiące w niepokalanej bieli śniegów, roztajały pod wpływem gorących promieni słonecznych i ruszyły naprzód z groźnym pomrukiem.

Tymczasem Afryka podzwrotnikowa prześladowana była przejmującymi chłodami i lodowatymi podmuchami wichrów.

Potężne, poszarpane zwały chmur nie- dopuszczały promieni słonecznych do ziemi, ściemniając światło dnia i wprowadzając w żalostny nastrój drżących z zimna murzynów, przywykłych do tropikalnej temperatury.

Najmniej stosunkowo ucierpiała na zmianach klimatycznych Europa. Wyjątek stanowiły jedynie Włochy, przeżywające okres wzmożonej działalności wulkanów. Ostatni wybuch Wezuwiusza zniszczył całkowicie Neapol. Słynne miasto zamieniło się w jedną olbrzymią, zastygłą bryłę lawy.

Na koniec Azja, a zwłaszcza Japonia cierpiała na ustawiczne wybuchy olbrzymich gejzerów, których charakterystyczną cechą było to, że woda z nich wypływająca dochodziła do stu stopni ciepła. Wskutek tego na długi czas ziemia przestawała rodzić w miejscu, gdzie rozlewał się gejzer. Nie obywano się przy tym bez śmiertelnych poparzeń i co miesiąc parę dziesiątków tysięcy ludzi umierało w straszliwych męczarniach.

Taki był stan zjawisk na szerokim świecie, kiedy Niemcy wypowiedziały wojnę Polsce. Od samego początku po mistrzowsku poprowadzony atak gazowy ze strony Niemców przeniósł wszelką akcję wojenną na terytorium polskie. W pierwszym rzędzie najwięcej ucierpiały miasta, znajdujące się w pobliżu granicy. Zatrute niezwykle silnymi gazami powietrze powodowało co dzień tysiące zgonów wśród nieszczęśliwych mieszkańców. Prawdziwe spustoszenia czyniły potężne Zeppeliny, przewożące w swych gondolach baterie bomb, napełnionych trującymi gazami. Dopiero brawurowe natarcie eskadry polskich helikopterów powstrzymało na chwilę triumfalny pochód Niemców. Rząd polski zyskał kilkadziesiąt godzin czasu na zmobilizowanie swoich sił zbrojnych i poczynienie odpowiednich przygotowań wojennych.

Stefana wojna zastała w Winnej Górze. Wezwanie do wojska doręczono mu właśnie tego dnia, kiedy miały się odbyć w Chojnowie jego oficjalne zaręczyny z Terenią. Niezwykle tern strapiony zapakował swoje przybory podróżne, ubrał się w mundur i pojechał autem do Chojnowa. Przyjęto go tam jak zwykle serdecznie, przyczym rozkaz natychmiastowego stawienia się Stefana w szeregach pułku

wywarł na wszystkich przygnębiające wrażenie. Panna Terenia Molińska rzuciła mu się przed odjazdem na szyję, nie bacząc na przyglądających się domowników i, podnosząc ku niemu załzawione oczy, wyszeptwała:

— Ale wrócisz do mnie, prawda?

Głęboko wzruszony Stefan ucałował ją gorąco, pożegnał się z rodzicami, poczem zaklął w duszy na swój los i odjechał.

W Warszawie czekała go niespodzianka w postaci nominacji na dowódcę baterii zenitowej, broniącej lewego brzegu Wisły przed spodziewanymi atakami aeroplanów niemieckich.

W kilka godzin po przyjeździe Stefan spotkał Jerzego przed gmachem sztabu generalnego- Bracia przywitali się ze sobą serdecznie, poczem Stefan, uśmiechając się ze szczęścia, rzekł:

— Powinszuj mi, braciszku! Dziś miały być moje zaręczyny, które jedynie dlatego nie doszły do skutku, że otrzymałem rozkaz natychmiastowego stawienia się w pułku!

Jerzy zbladł i zapytał dziwnie drżącym głosem:

— Żenisz się? Z kim?

— Z panną Terenią Molińską, córką naszych sąsiadów!

Przez pewną chwilę Jerzy stał bez ruchu, jakby nie rozumiejąc słów wyrzeczonych przez brata. Zaczem westchnął głęboko, jak człowiek zbudzony ze snu, otworzył szeroko oczy, roześmiał się nagle i rzucił Stefanowi na szyję.

— Serdecznie, bardzo serdecznie ci winszuję! Zdrowia, szczęścia, pomyślności i w ogóle wszystkiego, czego pragniesz!

Uściskawszy go mocno, Jerzy cofnął się na krok od Stefana i, przypatrując mu się bacznie rzucił pytanie:

— A gdzie Ida?

Stefan wzruszył ramionami.

— Pojęcia nie mam! Przypuszczałem, że ty wiesz o tym!

Jerzy pokiwał smutnie głową.

— Dwa tygodnie jej szukam bez żadnego skutku. Jestem doprawdy niespokojny o nią!

Stefan spróbował go uspokoić.

— Może wyjechała na wieś do krewnych. Rodzinę ma przecież tak liczną, że my nawet dziesiątej części nie znamy.

— I ja tak myślę! — Przyznał Jerzy — a jednak, radbym ją zobaczyć i upewnić się, że jest w dobrym zdrowiu.

Wtem jakiś oficer, przechodząc koło braci, spojrzał na nich, zasalutował i zawołał z uśmiechem:

— Sługa najniższy, braciszku mili!

Z radości wielkiej serce we mnie kwili!

Czamburscy spojrzeli jednocześnie na nieproszonego poetę i obaj wybuchnęli śmiechem. Przed nimi stał porucznik Szalski, tworzący na poczekaniu dalszy ciąg wiersza:

—Szaleństwo wojny psuje nam spotkanie  
I zamiast tonąć w szampana potokach,  
Na posterunku każdy swoim stanie,  
Ty przy armacie, on i ja — w obłokach!

—Daj spokój kleceni wierszy — przerwał mu Jerzy — bo trudno będzie się z tobą dogadać! Bardzo dobrze się stało, żeśmy się spotkali. Należy bowiem aparaty swoje poddać surowej lustracji. Czeka nas niezadługo podróż i małe zeknięcie się z nieprzyjacielem.

—Rozkaz? — wyprężył się Szalski.

—Jeszcze nie, ale dano mi dzisiaj do zrozumienia, że należy się każdej chwili spodziewać startu. Dobrze zrobimy zatem, jeśli zaraz pojedziemy do hangarów!

—Zegnaj nam, zegnaj, szlachetny Stefanie!

Płacz tylko po nas oraz szloch zostanie!

—zadeklamował żartobliwie Szalski, wyciągając rękę do Stefana.

Ten, nie mogąc słuchać poważnie dziwacznych wierszy Szalskiego, roześmiał się i rzekł, naśladowując go wybornie:

—Miast z karabinu strzelaj wierszykami,  
Zwycięstwo wówczas będzie tylko z nami!

—Dobrze powiedziane — odparł Szalski, odchodząc — nie wiedziałem, że mam w tobie tak poważnego konkurenta w wierszowaniu!

Stefan pozostał sam i bez celu ruszył naprzód. Nie spieszył się nigdzie, toteż wolnym krokiem przechodził z ulicy na ulicę, obserwując wszędzie gorączkowy ruch, wylęknione twarze i częste przemarsze batalionów gazowych, śpieszących na front. Chłopcy z gazetami wykrzykiwali co chwila o zbombardowaniu Katowic, masowym wytruciu gazowym okolic nadgranicznych oraz przyłączeniu się Rumunii, która stanęła po stronie Polski, tworząc jednolity front sprzymierzonych przeciw teutońskiej przemocy. Jedna zwłaszcza wiadomość wstrząsnęła Stefanem do głębi. Rozwydrzony i rozagitowany tłum w Gdańsku podpalił gmach konsulatu polskiego, a samego konsula rozerwał żywcem na strzępy, poczem, uformowawszy pochód uliczny, ogłosił przyłączenie się do Niemiec. Senat gdański wbrew traktatowi, zatwierdził uchwałę ulicy, wywołując tym oburzenie w całej Polsce. W trzy godziny później spotkała jednak wolne miasto zasłużona kara. Kilkanaście polskich okrętów wojennych zakotwiczonych w Gdyni, na telegraficzny rozkaz rządu polskiego, wypłynęło na morze, skierowało działa w stronę Gdańska i w ciągu paru godzin połowa miasta została zrównana z ziemią.

Tymczasem Liga Narodów, obalamucona przez dyplomację niemiecką, zachowywała chłodną rezerwę w stosunku do wypadków rozgrywających się w Polsce. Dopiero zbombardowanie Gdańska spowodowało szereg filo - niemieckich wystąpień w formie całej masy not, jakimi zasypany został rząd polski. Po tej ofensywie papierowej miał nastąpić odwet za Gdańsk ze strony Niemców.

Od trzech dni Stefan stał na posterunku, wypatrując pilnie przez lunetę nieboskłon. Trzeciego dnia o godzinie jedenastej przed południem radio obwieściło

wszystkim mieszkańcom Warszawy zbliżanie się wielkiej flotyli samolotów niemieckich.

Od trzech dni Stefan stał na posterunku. Trzeciego dnia o godzinie jedenastej przed południem radio obwieściło wszystkim mieszkańcom Warszawy zbliżanie się wielkiej flotyli samolotów niemieckich.

Pomimo doskonałego stanu baterii zenitowych oraz licznych eskadr powietrznych, gotowych do boju i niezliczonej ilości masek przeciwgazowych, rozdawanych przez instruktorów wojskowych na ulicach miasta, pewien niepokój ogarnął warszawiaków. Rząd polski nie mógł się zdecydować na walkę powietrzną poza obrębem stolicy, ze względu na brak czasu, potrzebnego na zmobilizowanie wszystkich pilotów z całej Polski. Zbyt raptowne najście Niemców zastało armię polską słabo przygotowaną do obrony i dlatego nieodzownym było współdziałanie baterii zenitowych z samolotami.

Flotylla niemiecka składała się z sześciu olbrzymich rozmiarów zeppelinów, osiemnastu samolotów rakietowych i czterdziestu samolotów zwykłych. Potężny warkot motorów dał się słyszeć już o godzinie drugiej popołudniu. Wtedy zwinne eskadry polskich helikopterów (t. j. samolotów mogących się wznosić prostopadle do góry) wystartowały z lotniska mokotowskiego, wzbijając się kolejno w błękit nieba i zataczając wielkie koła nad miastem, niczym rój pszczoł broniących dostępu do ula. Lśniące lufy ukrytych armat zenitowych skierowały swe paszcze w stronę nadlatującego nieprzyjaciela.

Pierwsze głuche trzaski karabinów maszynowych, znajdujących się w samolotach obu stron wojujących, dały znak, że bitwa się rozpoczęła. Olbrzymi zeppelin, przodujący całej flotyli niemieckiej, wypuścił w tej chwili ogromne masy dymu, układającego się w potężne — skręcone zwoje zasłaniając się w ten sposób przed strzałami polskich armat. Te ostatnie milczały jednak, chcąc dopuścić nieprzyjaciela bliżej i tern boleśniej go zranić.

Powietrze drżało od warkotu motorów. Upłynął kwadrans długi jak wieczność. Pierwsza bomba niemiecka uderzyła w dom, stojący samotnie na końcu ulicy Czerniakowskiej. Rozległ się ogłuszający buk, brzęk wybitych szyb i uciekający z tego miejsca ludzie poczuli słodko-kwaśny zapach ulatniającego się gazu.

W tej chwili jeden z raketowców niemieckich, szybki jak strzała, błysnął w słońcu obitymi blachą skrzydłami, wywrócił kozła w powietrzu i począł spadać prostopadle ku ziemi, zestrzelony celnym strzałem z polskiego helikoptera. Pilot niemiecki, trafiony kulą w twarz, wypuścił z rąk stery. Obserwator, siedzący poza nim, usiłował się uratować, wyskakując z samolotu. Spadochron rozwinął się prawidłowo i gnany wiatrem, tanecznymi ruchy zbliżał się ku środkowi miasta.

Wraz z uderzeniem pierwszej bomby niemieckiej odezwały się polskie armaty. Bitwa rozgorzała z całą gwałtownością. Głuchy ryk armat, warkot motorów, podziemny kuk miotanych bomb i zjadliwy rechot karabinów maszynowych zlewały się w piekielną symfonię niesamowitych dźwięków. Straże ogniowe z jękiem syren samochodowych mknęły szalonym pędem po opustoszałych uli-



cach. Na rogach ulic stały karetki sanitarne, gotowe przyjść z pomocą zatrutym gazami mieszkańcom.

Stefan, otrzymawszy rozkaz natychmiastowego rozpoczęcia ognia, nie zmarnował pierwszego strzału. Wybrawszy sobie jeden z mniejszych zeppelinów, sunący majestatycznie tuż nad lewym brzegiem Wisły, a więc przez to nastawiony wybornie na strzał jego baterii, spokojnie zmierzył odległość zapomocą skalomierza, obliczył przypuszczalną krzywiznę, po której odbywał się lot zeppelinu, poczem nastawił działo w żądanym kierunku i dał ognia. Wynik przeszedł najśmielsze jego oczekiwania. Zeppelin dosłownie pękł na dwoje, zapalił się i runął w dół.

Podobny los spotkał drugi sterowiec, któremu strzały armatnie baterii majora Sulskiego, ukrytej po drugiej stronie Warszawy, strzaskały obie gondole. Uwolniony ze znacznego ciężaru zeppelin poszybował w górę i tam, miotany wiatrem, posuwał się to w tę, to w ową stronę, jak ponure widmo wojny powietrznej.

Pomimo jednak zwycięstw nad zeppelinami sytuacja polskich eskadr nie przedstawiała się najlepiej. Dwanaście helikopterów leżało już strzaskanych na ziemi, zestrzelonych celnymi pociskami małych armatek, ustawionych na pokładach zeppelinowych gondol. Zwłaszcza pierwszy zeppelin, olbrzymiego kształtu i potwornej wprost długości, bielejący z oddali nazwą „Deutschland”, siał zniszczenie dookoła siebie, będąc zabezpieczony od strzałów baterii polskich z dołu ze względu na zasłony dymowe. Którykolwiek z pilotów polskich znalazł się w jego pobliżu, znajdował śmierć od jednego strzału. Stefan obserwował to przez lunetę i klął z wściekłości, nie mogąc doczekać się upragnionej chwili, kiedy zeppelin zbliżył się do niego. Jednak olbrzym powietrzny, mając widać dokładne dane o rozmieszczeniu baterii zenitowych, starannie omijał linie obstrzałów, zwracając jedynie uwagę na dokuczliwe jak osy, polskie helikoptery.

Wtem na widnokręgu nieba ukazał się samotny punkt, który rósł z przerażającą szybkością. Był to polski aeroplan „Batory”, chluba i duma całego narodu, zaopatrzony w dziesięć motorów o sile dziesięciu tysięcy koni parowych, o rozpiętości skrzydeł osiemdziesiąt metrów i długości kadłuba czterdzieści metrów. Olbrzym ten mieścił w sobie stu ludzi załogi, z których każdy miał do dyspozycji karabin maszynowy. Otrzymaawszy rozkaz radiowy z Warszawy „Batory” opuścił swe spokojne leże w Dęblinie i całą siłą swych potężnych motorów pospieszył na pomoc stolicy.

Wmieszanie się „Batorego” do bitwy miało charakter rozstrzygający. Zasypani tysiącami kul ze stu kulomiotów Niemcy poczęli się cofać w popłochu, nie próbując nawet zmierzyć swych sił z olbrzymem powietrznym, który zionął ogniem bez przerwy. Co chwila jakiś pilot niemiecki wypuszczał z rąk stery, chwycił się za głowę i konał z imieniem Grety lub Ilzy na ustach. Pozostawiony sam sobie samolot spadał natychmiast na ziemię, grzebiąc częstokroć pod swymi szczątkami nieszczęśliwego obserwatora, Jeśli ten nie zdążył w porę wyskoczyć. Było i tak, że przy pomocy spadochronu obserwator miał nadzieję uratować swe życie; znalazłszy się jednak w powietrzu, wpadł w strefę morderczego ognia i ginął,

przeszyty kulami. Wówczas trup nieszczęśliwego bujał długo w słońcu, wytrzeszczając pełne przedśmiertnej grozy oczy i szczerząc zęby w kurczowym uśmiechu.

Tymczasem bomby rzucone z zeppelinów zrujnowały już kilkanaście ulic w Warszawie, szerząc popłoch wśród przerażonych śmiertelnie mieszkańców. Imponujący „Deutschland” nie dopuszczając do siebie na bliską odległość polskich helikopterów, przodował w bombardowaniu. Kilkakrotnie Stefan usiłował go dosięgnąć, lecz pociski jego przelatywały obok, nie czyniąc zeppelinowi najmniejszej krzywdy. Zbyt duża odległość uniemożliwiała celność strzału.

W pewnej chwili jeden z polskich helikopterów wzbił się nagle w górę i znieruchomiał w powietrzu na przeciąg paru sekund, w prostej linii nad niemieckim olbrzymem. Z tej strony zeppelin bezpieczny był jak dziecko. W następnym momencie Stefan ujrzał przez lunetę, jak z helikoptera oddzielił się czarny punkcik z miejsca, gdzie zwykle siedzi obserwator. Przez pewien czas punkcik rósł w oczach z szaloną szybkością, po czym nagle rozwinął się zbawczy spadochron, ratując od strasznej śmierci nieszczęśliwego lotnika. Znieruchomiały helikopter pochylił się wtedy dziobem ku ziemi i sunął złowrogo w kierunku grzbietu zeppelinu.

Stefan patrzył zdziwiony, nie mogąc zrozumieć dziwnego manewru pilota.

Minęło dziesięć sekund. Helikopter pruł powietrze na kształt furii piekielnej, przyczem szybkość jego motoru potęgowana była dziesięciokrotnie szybkością spadania w dół.

Stefanowi zadrżały ręce, trzymające lunetę. Zanim zdążył zrozumieć, było już po wszystkim. Helikopter wbił się w grzbiet olbrzymiego zeppelinu, którego wnętrze pochłonęło go całkowicie. Nastąpił szalony wybuch wodoru zmieszanego z benzyną. „Deutschland” stanął w płomieniach i począł gwałtownie opaść. Wszystko to stało się tak szybko, że zanim Niemcy, siedzący w gondolach, pomyśleli o ratunku, było już za późno. Olbrzymia kupa pogiętego żelastwa i tłącej się jeszcze tkaniny była grobem wspólnym najeźdźców i bohaterskiego polskiego pilota.

Zguba najwspanialszego zeppelinu wywarła przygnębiające wrażenie na Niemców. Morderczy ogień „Batorego” i zdwojona zaciekłość polskich helikopterów dokonały reszty. Flotyła niemiecka poczęła się cofać. Pierwsze pomknęły w stronę Niemiec szybkie, jak błyskawica, samoloty rakietowe. Za nimi, ostrzeliwując się gęsto, samoloty zwykle, a na ostatku trzy pozostałe zeppeliny.

Majestatyczny „Batory” groźnie warcząc swymi dziesięcioma motorami, gnał je przed sobą, jak jastrząb stado płochliwych ptaków. Z boków i z góry atakowały ustępującego wroga kąśliwe jak osy polskie helikoptery.

I jak mija burza wiosenna, po której wschodzi promienne słońce, budząc wszędzie radość i wesele, tak minął pierwszy atak Niemców, wyrывая z piersi warszawiaków westchnienie ulgi.

Była to jednak dopiero przegrywka do pierwszego aktu ostatniej na świecie wojny.



„Albowiem nastąpią dni, kiedy będzie wielki ucisk, jaki nie był od początku świata aż dotąd, ani będzie.

A gdyby nie były skrócone owe dni, żadne ciało nie byłoby zachowane: ale dla wybranych będą skrócone owe dni.

Wtedy gdyby wam kto rzekł: Oto tu jest Chrystus, albo gdzieindziej: nie wierzcie. Albowiem powstaną fałszywi Chrystusowie, i fałszywi prorocy, i czynić będą znaki wielkie, i cuda, tak żeby w błąd wprowadzeni byli (jeżeli może być) i wybrani. Oto wam powiedziałem. Jeśliby tedy wam rzekli: Oto na puszczy jest, nie wychodźcie: oto w tajemnych gmachach, nie wierzcie.”\*)<sup>33</sup>

### **Antychryst w Moskwie — wielkie znaki i cuda**

Na ulicach Moskwy wrzał ruch gorączkowy i praca. Zamiatano trotuary i jezdnie, przystrajano girlandami latarnie uliczne, zawieszano na rogach transparency powitalne i co dziwniejsze, wyrzucano z dawniejszych kościołów i cerkwi stoły, szafy biblioteczne, krzesła, przywracając świątyniom dawniejszy ich wygląd i ustawiając znowu jakieś tam ołtarze czy nawet ambony. Bóg miał znowu w tern miejscu zapanować. Ale tym Bogiem nie był nasz Bóg w niebie. Tym bogiem był człowiek, dziwną obdarzony mocą. Nikt go nie znał, i nikt nic bliższego nie mógł powiedzieć, skąd ten dziwny człowiek pochodził. Tyle tylko wiedziano, że przybywał z dalekiego wschodu.

Z ust do ust podawano sobie wiadomości, że we wszystkich większych miastach po drodze z Nerczyńska do Moskwy zatrzymywał się po kilka dni. Nauczał wprawdzie ludzi, jak mają żyć, przywracał wzrok ślepym, uzdrawiał chorych, wskrzeszał zabitych, powoływał do życia dawno umarłych, chodząc po cmentarzach. Lecz biada temu, kto nie chciał uwierzyć! Tego niemiłosiernie na miejscu samym wzrokiem uśmiercał. Wszystkim już było wiadomym, że człowiek ten przywracał religię w Rosji za zgodą Wielkiego Komitetu Czerwonej Gwiazdy. Wszystkim było też wiadomo że, najwyższa władza upokorzyła się przed nim, pozwalając jawnie oddawać mu cześć boską! Co prawda wielu nie rozumiało tego, jak i rozumieć nie mogli dziwnego miana, którym ten dziwny człowiek sam siebie darzył.

Zwać się bowiem kazał Antychrystem. Stąd jeszcze większe powstało pomieszanie. Bo jeżeli jest Antychrystem, jakże może być przyjacielem religii i jakże może być opiekunem kościołów. Antychryst to przecież tyle, co przeciwnik Jezusa Chrystusa, a więc przeciwnik Boga.

Ale przed tym Antychrystem upokorzyła się jak wiadomo najwyższa władza sowiecka, Wielki Komitet Czerwonej Gwiazdy. I to wystarczyło wielu, by

<sup>33</sup> Te słowa ewangelji apostoła św. Mateusza o końcu świata uważaliśmy za stosowne przytoczyć naszym czytelnikom, zanim przystąpimy do dalszego ciągu powieści.

uspokoić powstające wątpliwości.

Powoli na placach i ulicach, wiodących do Kremlu, zaczęły się gromadzić tłumy ludzi, bowiem godzina przyjazdu Antychrysta miała nadejść niebawem.

Mównice na placach otoczone były kordonami czerwonego wojska. Z mównic tych Antychryst miał nauczać lud moskiewski i wzbudzać miłość ku sobie. Chodziły również między ludem słuchy, że sam dyktator Łukin począł gorliwie cześć oddawać Antychrystowi a z nim zastęp co najprzedniejszych komisarzy Rosji Sowieckiej. Niezwykła ta nowina wywierała wszędzie wielkie wrażenie, czyniąc serca ludzkie bardziej skłonne- mi do przyjęcia nowej wiary.

Na placu Lenina tuż obok mównicy stał pewien człowiek zjadliwie uśmiechnięty. Był to Iwan Pietrow, zasłużony działacz komunistyczny, piastujący godność komisarza jednego z okręgów Wielkiej Moskwy. Sercem jego targła wściekłość na bezrozumne — jak sam w myśli nazywał — postanowienia Wielkiego Komitetu Czerwonej Gwiazdy.

„Albowiem nastąpią dni, kiedy będzie wielki ucisk, jaki nie był od początku świata aż dotąd, ani będzie.

A gdyby nie były skrócone owe dni, żadne ciało nie byłoby zachowane: ale dla wybranych będą skrócone owe dni.

Wtedy gdyby wam kto rzekł: Oto tu jest Chrystus, albo gdzieindziej: nie wierzcie. Albowiem powstaną fałszywi Chrystusowie, i fałszywi prorocy, i czynić będą znaki wielkie, i cuda, tak żeby w błąd wprowadzeni byli (jeżeli może być) i wybrani. Oto wam powiedziałem. Jeśliby tedy wam rzekli: Oto na puszczy jest, nie wychodźcie: oto w tajemnych gmachach, nie wierzcie."<sup>34</sup>

On, Pietrow, nie tak łatwo ustąpi! Od śmiertelnego ciosu, jaki przygotował na Antychrysta, żadna potęga na świecie nic zdoła tego oszusta uchronić! Iwan Pietrow nie miał na myśli rewolweru ani sztyletu. Wiedział doskonale, że jeden ruch podejrzany z jego strony spowoduje natychmiastowe aresztowanie i okrutną śmierć w lochach czerezwyczałki z rąk jego własnych przyjaciół. Dyscyplina czeki stworzyła z nich maszyny, posłuszne jedynie woli dyktatora.

Śmiertelny cios Piętrowa polegał na okryciu Antychrysta śmiesznością.

Był to mądry, a chytry plan. Pietrow wiedział, że człowiek okryty śmiesznością nie może rządzić narodem, a tern bardziej żądać wiary w siebie. Słyszając o rzekomych cudach Antychrysta przyprowadził ze sobą chłopca zżartego przez wstrętą chorobę i postanowił zażądać uzdrowienia na oczach wielu tysięcy ludzi. Przez myśl mu nie przeszło, że wynik może być inny, aniżeli on sobie wyobrażał. Okiem duszy widział już Antychrysta, bladego z przerażenia wobec niemożności przywrócenia chłopcu pierwotnego wyglądu i urągliwy śmiech tłumów, wyszydających tego wielkiego człowieka z Wschodu.

Raptowne poruszenie wśród zebranych ludzi dało mu znać, że chwila decydująca nadeszła. Triumfalnym pochodem zbliżał się do placu Lenina Antychryst,

<sup>34</sup> \*)Słowa ewangelji apostoła św. Mateusza o końcu świata

wiodąc za sobą w orszaku czerwonych komisarzy i szalejące z zachwyty tłumy. Skoro samochód zatrzymał się przed trybuną. Iwan Pietrow ujrzał człowieka wysokiego wzrostu, który szybkim krokiem wszedł po schodkach na mównicę i stamtąd władczy ruchem ręki nakazał ciszę. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, Iwan Pietrow, porwawszy za ramię chłopaka, wdarł się jak burza na górę, odtrąciwszy potężnym uderzeniem pięści zastępującego mu drogę czekistę.

— Towarzyszu proroku! — Ryknął umyślnie całą siłą płuc, ażeby wszyscy mogli go usłyszeć — oto stoi przed wami nieszczęśliwy ojciec, który błaga o uzdrowienie syna! Przypatrz mu się dobrze.

Zaczem zerwał gwałtownym ruchem kaptur, zakrywający twarz chłopca.

W samej rzeczy widok był przerażający. Krwawe owrzodzenia tworzyły straszliwą maskę na pół stoczonego przez robactwo trupa.

Iwan Pietrow skłamał, przedstawiając się jako ojciec biednego chłopca, widział go bowiem poraż pierwszy w życiu. Prostu idąc tego dnia na powitanie Antychrysta, wstąpił do szpitala i, w związku ze swoim planem, wybrał sobie jedną z najbardziej beznadziejnych ofiar strasznej choroby.

Nastąpiła cisza. Zastygli w bezruchu wszyscy, nawet czekisci, goniący Piętrowa. Rzecz sama w sobie wydawała się tak zuchwałą i straszną, że nikt nie śmiał odetchnąć. Jeden Pietrow uśmiechał się triumfująco.

Antychryst stał nieruchomo jak spiżowy posąg, utkwivszy mocne spojrzenie w oczach Piętrowa. Naraz usta jego drgnęły i głęboki, basowy głos Antychrysta zabrzmiał w powietrzu:

—Dlaczego kłamiesz? Ten chłopiec nie jest twoim synem!

Pietrow zmieszał się. Nie przewidywał podobnego obrotu sprawy. Poniekąd ogarnęło go zdumienie, skąd ten człowiek mógł wiedzieć, że on nie jest ojcem. Chcąc tedy pokryć rosnące w sobie zdenerwowanie, wykrzyknął na wpół z gniewem:

—Co to ma do rzeczy! My wszyscy jesteśmy braćmi wielkiej republiki sowieckiej. Temu chłopcu życzę, tak jak swojemu synowi!

Antychryst uśmiechnął się lekko.

—Wielka jest w tobie miłość dla ogółu!

—Cudu chcę! — Domagał się Pietrow beczelnie.

—Będiesz go miał! — Odparł Antychryst obojętnie, poczem dodał, zwracając się do tłumów: — Przypatrzcie się im dobrze! Oto macie przed sobą dwóch ludzi, z których jeden przyszedł do mnie, ażeby ujrzeć prawdę moich słów. Bądźcie zatem świadkami i pamiętajcie o tern!

Zaczem zbliżył się wolnym krokiem do chłopca i ująwszy głowę jego oburącz, spojrzał w jedyne, pozostałe w jego twarzy oko.

Pietrow skamieniał. Skamienieli wszyscy.

Oto ręce Antychrysta, spoczawszy na uszach nieszczęśliwego chłopca, zsunęły się lekko na ramiona. Wtedy ujrzeni wszyscy, że krwawy strzęp, wiszący z lewej strony głowy, zniknął, a na jego miejscu znajdowało się zdrowe ucho. Powoli, centymetr za centymetrem przesuwały się ręce Antychrysta po twarzy

chłopca i gdziekolwiek palce jego spoczęły, tara ohydne owrzodzenia znikwały bez śladu. Po chwili zdumionym oczom obecnym ukazała się zdrowa, uśmiechnięta twarz.

Coś jakby jęk przeleciało nad tłumem i zamarło w oddali. Ludziom wydawało się, że śnią. Oto na ich oczach dokonał się cud! Wierzyć nie mogli. W epoce radia, samolotów raketowych i trzeźwych hasel rewolucyjnych wyraźny cud!?!

Pietrow poczuł, że serce poczyna mu bić jak szalone. Uczuł się nagle samotny i mały. Przeraził się tej potęgi, która zajaśniała mu w oczach błyskawicą cudownego uzdrowienia. Raptowny szloch zadławił mu w gardle. Stary komunista zachwiał się na nogach, upadł ciężko na kolana i wybuchnął strasznym płaczem.

Wówczas oszalały tłumy.

## Rozdział VIII

Po odparciu ataku na Warszawę nastąpiła długotrwała cisza w działaniach wojennych. Czas ten rząd polski wyzyskał znakomicie, W ciągu dwóch tygodni zmobilizowano dwa miliony wyborowego żołnierza, przygotowano do boju cztery tysiące samolotów i pięćset nowego typu helikopterów. Stanowiło to poważną siłę przeciw pięciomilionowej armii niemieckiej, wyposażonej w najnowsze zdobycze techniki nowoczesnej, tanki, aparaty do gazów trujących i olbrzymią flotyllę powietrzną. Wynik wojny, jak z tego widać, byłby jednak niewątpliwie korzystny dla Niemiec, gdyby nie pomoc Rumuni, udzielona Polsce. Działająca w ścisłym porozumieniu z polskim sztabem generalnym półtoramilionowa armia rumuńska pokrywała mniej, więcej różnicę stanu liczebnego między wojującymi stronami. Największy nacisk położono na sprawność polskich batalionów gazowych, które otrzymały rozkaz natychmiastowego wymarszu w stronę granicy niemieckiej celem odrzucenia nieprzyjaciela na jego obszary. Straszliwa bowiem działalność gazów zatruwała na długi czas powietrze w okolicach działań wojennych, powodując mnóstwo zgonów i niszcząc warsztaty rolnicze. Przesycone wylęgami ziarno pszeniczne i żytnie stawało się niezdatne do użycia, a nawet siano z łąk miało posmak piołunu i było wprost zabójcze dla koni. Groziła więc z tej strony największa klęska wojny — głód. Rozumieli to dobrze Niemcy, że w razie przeniesienia działań wojennych wewnątrz Niemiec, może ich spotkać podobny los pod wpływem polskich gazów i wszelkimi siłami parli naprzód, trwając słusznie w przekonaniu, że tylko w ten sposób będą mogli osiągnąć szybkie zwycięstwo, nie narażając ojczyzny swojej na okropności wojny.

Tymczasem Stefan odprowadzał na miejsce wiecznego spoczynku śmiertelne szczątki pierwszego ze swojej paczki kolegów, kapitana Mieczysława Brody. Dzielny pilot był właśnie tym, który rozkazawszy obserwatorowi swemu ratować

się parzy pomocy spadochronu.

Spowodował zderzenie się helikoptera z zeppelinem „Deutschland” i przyczynił się tym do osiągnięcia zwycięstwa nad flotyllą niemiecką. Była to bohaterska ofiara, poświęcenie się na ołtarzu umiłowanej ojczyzny. Warszawa tłumnie odprowadziła zwłoki nieszczęśliwego lotnika na cmentarz, przystroiła grób jego niezliczoną ilością wieńców, a minister udekorował trumnę najwyższym odznaczeniem wojennym.

Po skończonym pogrzebie Stefan, otrzymawszy zezwolenie władz przełożonych, udał się autem do Winnej Góry. Aczkolwiek majątek jego nie leżał na szlaku flotyli niemieckiej, Stefan był jednak niespokojny o los swoich najbliższych, albowiem jakiś zabłąkany lotnik niemiecki, zboczywszy z drogi, mógł rzucić kilka bomb z zemsty za nieudany atak na Warszawę. Stefanowi znane były dobrze z historii polskiej bezmyślne okrucieństwa Niemców, słynnych w czasie dawnej wielkiej wojny z zatopienia „Lusitanji”, bombardowania Kalisza i masowego zabójstwa cywilnych mieszkańców.

Na szczęście obawy Stefana okazały się płonne. O żadnym wypadku w Winnej Górze, ani też w najbliższych okolicach nikt nie słyszał. Uściskawszy matkę i zamieniwszy kilka słów z rządcą, Stefan odjechał pełnym gazem do Chojnowa, pragnąc kilka godzin urlopu spędzić w towarzystwie narzeczonej.

Ukochaną dziewczynę spotkał na ganku dworu chojnowskiego. Zatrzymawszy auto, jednym skokiem znalazł się przy niej.

—Stef! Tak się bałam o ciebie !

Czamburski zajrzał jej głęboko w oczy i uśmiech roztkliwienia zawitał na jego usta.

— Kociątko moje! Słoneczko złociste! Naprawdę bałaś się o mnie?!

—Ty myślisz, że ja nie potrafię kochać? — Szepnęła z wyrzutem Terenia.

Stefan udał zdziwienie.

—Co takie bobo anielskie może wiedzieć o miłości?

—Nic nie potrzebuje wiedzieć! Wystarczy, że kocha!

—Prawdziwie ?

—Prawdziwie!

—Szczerze?

—Szczerze!

—Na śmierć i życie?— Głos Stefana zadrżał lekko z upojenia.

—Na śmierć i życie!— Odparła wolno Terenia, patrząc nań poważnym wzrokiem.

Wówczas on porwał ją na ręce, uniósł jak piórko do góry i przytulając silnie do szerokiej piersi, jął chodzić dookoła klombu, wołając pełnym szczęścia głosem:

—Moja Terenia! Moja! Moja!

Nagle głos jakiś męski zabrzmiał ze schodów ganku:

—Co wy tam wyprawiacie? Co to za szaleństwa?

Był to pan Moliński, który od dłuższego czasu obserwował młodą parę z

rozzewnieniem w oczach.

Ujrzawszy go Stefan postawił ostrożnie Terenię na ziemię, poczem podbiegł do przysłego teścia i ucałował go serdecznie w oba policzki.

—Taki rad jestem, taki rad, że widzę państwa całych i zdrowych J

—Nic nam tu złego się nie stało — odparł pan Moliński, oddając pocałunki — byliśmy tylko wszyscy niespokojni o pana, a szczególnie ta mała! Chodziło sobie biedactwo z kąta w kąt i płakało: Oni mi go zabijają! Oni mi go zabijają!

Tutaj stary pan mrugnął filuternie okiem i ciągnął dalej:

—Spróbowałem jej wytłumaczyć, że sobie znajdzie innego Stefana, że świat nie kończy się na panu, ale gdzie tam! Skoczyła mi do oczu, wypominając, że już zapomniałem, jak to się w matce kochałem, że zatraciłem zmysł miłości na stare lata, że ona oszaleje, jak pana zabijają, i że ja jestem bez serca! Prawda, Tereniu?

Zarumienione dziewczę rzuciło się ojcu na szyję.

—Mógłby choć tatuś nie opowiadać tego przy mnie.

Pan Moliński pokręcił głową i odparł uśmiechając się czule:

—Córuchno moja! Stary jestem jak sama powiadasz, nie mam prawa głosu w tej sprawie, ale ci to powiem, że nie należy się nigdy wstydzić prawdziwej i szlachetnej miłości, bo mniemasz nic piękniejszego ponad to na świecie.

W tej chwili na ganku ukazała się pani Molińska, która, powitawszy Stefana serdecznie, poprosiła wszystkich na podwieczorek. Tymczasem pan Moliński, idąc obok Stefana, oznajmił mu, że przez radio słyszeli odgłosy bitwy nad Warszawą, a potężny warkot paru- set walczących ze sobą samolotów sprawiał wprost niesamowite wrażenie.

— Myśleliśmy wszyscy — kończył stary pan, wchodząc do jadalni — że bitwa ta stanie się grobem dla Warszawy, ponieważ speaker (czytaj spiker t. j. zapowiadacz radiowy) w pewnym momencie przerwał nadawanie. Chwila ciszy wywarła na nas przygnębiające wrażenie. Najgorzej jest być pozbawionym wszelkich wiadomości. Człowiek wówczas puszcza się na rozmaite domysły i zdaje mu się, że świat się kończył

—Atak na Warszawę — rzekł Stefan, skoro wszyscy zajęli miejsca przy stole — zastał nas zupełnie nieprzygotowanych. W ogóle wypowiedzenie wojny przez Niemców było niespodzianką dla naszego rządu, który, obstawiony traktatami, wierzył święcie w ich moc i trwałość. Dopiero dzisiaj otworzyły się wszystkim oczy. Całe szczęście, że jesteśmy w możności nie dopuścić więcej do podobnych bitew nad Warszawą, ponieważ posiadamy doskonale wyposażoną armii i potężne lotnictwo. Brak nam było tylko czasu na zmobilizowanie się. Obecnie jesteśmy gotowi.

— A gdzież Liga Narodów? Gdzież hasła powszechnego rozbrojenia i pokoju? — Zawołał pan Moliński.

Stefan wzruszył ramionami.

— Gdyby Liga Narodów miała do swego rozporządzenia paromilionową armię żołnierzy, ślepo jej posłusznych, możeby wówczas idea Wilsona nie uległa spaczeniu i każde państwo brałoby ją głęboko pod uwagę. Dzięki jednak



brakowi widomej siły fizycznej Liga Narodów stała się czarną giełdą interesów międzynarodowych!

—Ma pan rację! — Przyznał Moliński — brutalności ludzkiej nie wystarcza jeszcze nakaz moralny. Musi być bomba, granat i pięść!

—No, ale dosyć smutnych tematów na dzisiaj! Tereniu, nastaw radio na muzykę taneczną. Godzi się trochę poweselić, skoro tak miłego gościa mamy w domu!

Po chwili metalowy głośnik, lśniący nieruchomo w kącie pokoju, zabrzmiał wesołymi tonami. Mimowolnie twarze obecnych uśmiechnęły się, a Terenia zaczęła nucić półgłosem, spoglądając uszczęśliwionym wzrokiem na Stefana. Wtem muzyka nagle urwała, dały się słyszeć przez moment gwizdy i wycia powietrzne, poczem donośny, spiżowy głos speakera warszawskiego zabrzmiał w całym pokoju:

—Halo! Hilo! Polskie Radio Warszawa! Przerywamy na pewien czas podawaną w tej chwili muzykę, ponieważ otrzymaliśmy przed chwilą wiadomość niesłychanej wagi! Oto powrócił z Marsa w swoim pocisku raketowym, uczony wszechświatowej sławy, nasza chluba i duma, pan profesor Tadeusz Zamiński. Wylądowanie nastąpiło dwadzieścia pięć minut temu na lotnisku mokotowskim. Po porozumieniu się telefonicznie z naszym znakomitym uczonym uzyskaliśmy od niego przyrzeczenie, że za godzinę podzieli się z naszymi radiosłuchaczami wrażeniami ze swej podróży międzyplanetarnej.

Pan Moliński spojrział zdumiony na Stefana.

—Co on mówi?

—To niesłychane! — Wykrzyknął Stefan. — Co prawda po ostatniej podróży na księżyc uczonych holenderskich gotów jestem we wszystko uwierzyć, a jednak te wyprawy międzyplanetarne mają taki posmak baśni, że człowiek prosto nie wie, jak się do nich ustosunkować!

—Tatusiu! Jak tam musi być ładnie! — zawołała panna Terenia.

—Gdzie?

—Tam, gdzie był pan profesor Zaminski! Na Marsie!

—Ono! Widzę, że moja córuś miałaby niekłamaną ochotę tam pofrunąć! — Zaśmiał się pan Moliński.

—Tak, ale z nim! — Odparła Terenia, wskazując na Stefana.

Wszyscy zaśmiali się zgodnie, poczem Stefan, zbliżywszy się do narzeczonej, złożył na jej rączce pocałunek i rzekł:

—Wobec tego przyrzekam ci podróż poślubną na Marsa!

Pan Moliński pokiwał głową.

—Dawniej młodym parom wystarczało Lago Maggiore, Wenecja i Neapol. Dzisiaj zachciewa im się Marsa i Księżyca. Co będzie później?

—Będą jeździli na poszukiwanie nieznanych gwiazd. Sądzę, iż wszechświat jest tak olbrzymi, że nie zabraknie nigdy nowej sensacji! — Zaśmiał się Stefan.

Gawęda trwała w dalszym ciągu, przyczym wszyscy przysunęli się z fotelami do głośnika radiowego, nie chcąc uronić bodaj jednego słowa z zapowiedzianego

odczytu profesora Zamińskiego. Szybko minęła godzina i głos speakera zapowiedział z niecierpliwością oczekiwany odczyt.

Ku zdumieniu obecnych profesor Zamiński przemówił w języku francuskim.

— Niechaj mi rodacy moi wybaczą, że w tym wypadku nie będę się posługiwał ojczystym językiem, bowiem nowiny, które mam do zakomunikowania, należą do całej ludzkości, a zatem wszyscy je powinni zrozumieć. Przedewszystkiem nie mogę się powstrzymać od wyrażenia swego zdumienia, które przejęło mnie do głębi na widok zawieruchy wojennej. Czyście poszaleli? Czy niema nic pilniejszego do roboty na ziemi, jak wzajemna rzeź i masowe morderstwa?! W imię czego?! Czy skrawek jakiegokolwiek ziemi ma być koniecznie zbryzgany krwią niewinnych ludzi?! Nie wiem jeszcze, kto jest winowajcą, ale narazie wiem jedno: miał być pokój powszechny i rozbrojenie! Gdzie ono jest?! Gdzie słowo narodów?! Stoimy w obliczu nowej epoki w dziejach ludzkości! Epoki zdobywania wszechświata! Nawiązanie łączności międzyplanetarnej z Marsem i księżycem stanowi olbrzymi krok naprzód w dziedzinie naszego życia! Nie należy zatem niszczyć życia! Nie należy go unicestwiać! **Cały wszechświat należy do was, a więc nie bijcie się o marny skrawek ziemi! Unieście wzrok ku gwiazdom! Zaniechajcie przelewa krwi!** Może mój głos dojdzie do uszu ludzi, mogących przeszkodzić wojnie. Oby tak było! Wówczas zastanówcie się nad tym, com tu powiedział i energię kipiącą w narodach oraz geniusz ludzki skierujcie ku zdobywaniu nowych światów! Będzie to bardziej ludzkie i bardziej godne człowieka!

A teraz przejdziemy do mojej podróży na Marsa. Dzięki ofiarności mego znakomitego kolegi pana Wiktora Kęskiego, wynalazcy słynnych promieni zielonych, mogłem osiem dni temu o godzinie jedenastej w nocy wystartować z lotniska warszawskiego w pocisku raketowym, nabytym od uczonych holenderskich, którzy odbyli na nim swój lot na księżyc. Samolot nasz w kształcie długiego pocisku torpedy, specjalnie przystosowany do warunków lotu międzyplanetarnego, pokryty został specjalnego gatunku metalem, przeciwdziałającym rozgrzewaniu się powierzchni, skutkiem szalonej szybkości, jaką aparat nasz rozwijał w przestrzeni międzyplanetarnej. Dość powiedzieć, że przestrzeń pięćdziesięciu pięciu milionów kilometrów przebyliśmy w ciągu sześćdziesięciu czterech godzin. Szybkość ta byłaby nie do pomyślenia przy normalnym oporze naszego ziemskiego powietrza, atoli w próżni kosmicznej szybkość nie zna ograniczeń, o ile aparat zabezpieczony jest dostatecznie przed spalaniem się. Olśniewającym jest widok Marsa w miarę zbliżania się ku niemu. Sądzę, iż zbytecznym byłoby przytaczać w tym miejscu dane naukowe, tyżące się tej planety, ponieważ znane są one wszystkim od dawna. Powiem tylko, że warunki życia na Marsie są niesłychanie podobne do warunków na ziemi. Nawet doba marsowa różni się od naszej tylko o pół godziny. Mogę stwierdzić, że na Marsie nie znaleźliśmy życia ludzkiego i zwierzęcego, aczkolwiek przelataliśmy olbrzymie przestrzenie, celem dokonania obliczeń i pomiarów. Jesteśmy zatem jako ludzie samotni w wielkim wszechświecie, bo trudno przypuszczać, by wycieczki

międzyplanetarne miały znaleźć ślady życia ludzkiego na innej planecie 1

Odczyt był skończony. Wszyscy milcząc spojrzeli po sobie. Pierwszy odezwał się Stefan:

—Gdybym nie znał osobiście Za- mińskiego i nie słyszał jego głosu, to- bym myślał, że ktoś żartuje sobie z nas! Dziwne są to historie!

—Dziwne i straszne! — Odparła pani domu, patrząc poważnym wzrokiem przed siebie.

—Dlaczego straszne, mamusiu? — Zapytała Terenia cichym głosem.

—Pomyśl tylko, dziecino! Olbrzymi szafir nieba, miliony gwiazd błyszczących i maleńki pocisk raketowy, prujący przestrzeń bez końca! Wystarczy jakaś mała niedokładność motoru, jakiś defekt w nabojach wybuchowych i ludzie, znajdujący się w środku takiej maszyny, nigdy już ziemi nie ujrzą. Ciała ich, zamknięte w metalowej łupinie, jakoby w metalowej trumnie, będą wieki całe błąkać się w nieprzeniknionych przestworzach!

—Hm! Perspektywa niezbyt miła! — przyznał pan Moliński, uśmiechając się na pół smutnie. — Ja tam zawsze wolę spocząć w poświęconej ziemi na cmentarzu katolickim, a nie wiercić się pomiędzy gwiazdami!

Stefan otworzył usta, ażeby coś powiedzieć, gdy nagle potężny warkot samolotu rozległ się na dworze. Wszyscy spojrzeli na siebie z pewnego rodzaju zmieszaniem, bowiem echa niedawnej bitwy pod Warszawą nasunęły domysł, że napad eskadry niemieckiej mógł się powtórzyć. Pierwszy wybiegł z pokoju Stefan i, znalazłszy się na ganku, uniósł głowę do góry, przypatrując się niebu. Za nim pośpieszył pan Moliński, uzbrojony w potężnych rozmiarów lornetkę. Obawy ich okazały się jednak płonne. Nad dworem chojnowskim zataczał szerokie kręgi helikopter Jerzego, szukając widocznie miejsca na wylądowanie. W pewnym momencie zręczny pilot opuścił stery, zmniejszył powierzchnię skrzydeł i łagodnym ruchem splanował na ziemię, tuż obok klombu. Obaj panowie pośpieszyli na powitanie miłego gościa, przy czym Stefan poznał przyszłego teścia z bratem, który uniewinnił się gorąco, przepraszając za raptowne najście.

—Byłem w Winnej Górze — mówił Jerzy, idąc z nimi ku domowi — i powiedziano mi tam, że Stefan znajduje się w Chojnowie, a ponieważ nie miałem jeszcze zaszczytu być przedstawionym narzeczonej brata, przeto postanowiłem wykorzystać nadarżającą się okazję, albowiem w czasie wojny człowiek nie- pewny jest jutra!

—Pocziwy z ciebie chłopak — odparł Stefan, klepiąc przyjaźnie brata po ramieniu — ale sądzę, że przeżyjesz tę wojnę i na pewno jeszcze niejedną!

— Pan brał udział w bitwie nad Warszawą? — zapytał Moliński.

—Tak jest, brałem udział, ale nie wiele mogłem zrobić!

—Dlaczego?

—Niestety, zdołałem tylko stracić dwa samoloty niemieckie!

Słuchacze zaśmiali się zgodnie, przy czym Stefan dodał w formie wyjaśnienia:

—Krwiożerczość braciszka mego byłaby przerażającą, gdyby udawało mu się

to wszystko, co zamierzał dokonać. Jestem pewny, że w bitwie nad Warszawą miał ochotę rozgromić sam jeden całą flotyllę nieprzyjacielską!

Panie stały już na ganku. Jerzy witając się z nimi, był zaskoczony niezwykłą urodą Tereni. Rozpromieniony wzrok jego skierował się w stronę Stefana, wywołując w nim uczucie zadowolenia i pewnej dumy męskiej. Po kilku słowach powitania całe towarzystwo skierowało się do parku.

—To musi być okropne, panie kapitanie — zagadnęła pani domu — ostrzeliwać kogoś w powietrzu i być ostrzeliwanym!

—Nie, proszę pani. Człowiek przyzwyczaja się do tego nader szybko! Sądzę, iż daleko większe wrażenia mają ci, którym na głowy spadają bomby! W ogóle straszne rzeczy, jak je pani nazywa, będą się działy dopiero za kilka tygodni,

—Spodziewa się pan nowej bitwy?— Zapytał pan Moliński.

—Gorzej! Spodziewam się nowej, wojny, a właściwie całego szeregu wojen! Osoba owego tajemniczego, cudotwórczą siłą osławionego wielkoluda w Rosji, który wywiera obecnie potężny wpływ nie tylko na Rosję, ale na całą ludność i władze polityczne, nasuwa przypuszczenie, że nie będzie on oszczędzał Polski, wiernej swoim katolickim, religijnym tradycjom i Rzymowi. Na wypadek zaś wojny z Rosją znajdziemy się w niezwykle ciężkim położeniu. Dwuznaczne stanowisko Francji, która jakoby nie chciała wypowiedzieć się za nami, każe przypuszczać, że pomoc będzie wątpliwa. Pozostawieni zaś sami sobie będziemy musieli wyteńczyć wszystkie siły i ponieść niezliczone ofiary, ażeby utrzymać niepodległość!

—Zapomina pan o naszych sprzymierzeńcach — zauważył pan Moliński.

—O Rumuni i Jugosławii nie zapominałem, są to jednak niewielkie pomoce, tern bardziej, że same będą musiały walczyć w obronie swoich granic.

Po półgodzinnym spacerze całe towarzystwo wolnym krokiem udało się ku domowi. W tej chwili z pod ganku zaturkotała jakaś bryczka, kierując się powoli w stronę podwórza.

—Ktoś przyjechał, mamó! — Zauważyła Terenia.

— Widzę to, moje dziecko! Z pewnością ksiądz proboszcz czeka na nas w domu, bo zapowiadał swoją wizytę.

—W takim razie uśmiechnął się radośnie pan Moliński — będziemy mieli bridge'a!

—Tatusiu! Pan Stefan chyba nie będzie grał! — Szepnęła z wyrzutem Terenia, patrząc na ojca.

—Ach, prawda! Przepraszam cię za chwilę strachu, córuś moja! Nikt nie myśli pozbawiać cię towarzystwa narzeczonego. Matka zastąpi wybornie pana Stefana przy zielonym stoliku.

W salonie czekał już na gospodarzy domu ksiądz proboszcz, który po przywitaniu się zawołał:

—Wyobraźcie sobie moi pań co za przeżycie miałem w chwili! Oto siedzę sobie w waszym salonie, czekając na was, bowiem służba powiedziała mi, żeście

poszli na spacer i zaraz wrócić, gdy nagle ze stołowego pokoju rozlega się głos:

—Halo! Halo! Polskie Radio Warszawa!

Ponieważ z natury człowiek jest ciekawy, przeto pozwoliłem sobie na przejście do stołowego pokoju, celem posłuchania nowin. I oto słyszę, że jakiś podejrzany prorok w Rosji uzdrawia ludzi, co było stwierdzone przez wielotysięczne tłumy i specjalny komitet lekarski. Wśród ludności panuje ogromne wzburzenie umysłów!

— Czy się przypadkiem ksiądz dobrodziej nie przesłyszał? — Zauważył z uśmiechem pan Moliński.

—Nic podobnego Najwyraźniej powiedziane było, że fakt uzdrowienia nie podlega żadnej dyskusji, a przecież i w Rosji znajdują się ludzie, którzyby można wierzyć! Są tam przedstawiciele niektórych mocarstw, misje handlowe, profesorowie europejskich uniwersytetów i wszyscy oni byli świadkami tej niebywałej historii! Co tu o tern myśleć ?

—W takim razie zaczyna to być ciekawe! Omamienie jakieś zbiorowe.

Ksiądz pokiwał głową i rozłożył ręce.

—Nie mówmy więcej na ten temat, bośmy tam nie byli! Dużo takich historii zanotowała ludzkość i wiele z nich okazało się fałszywymi.

—Jednak — zakończył Moliński, niechętny takich zagadnień — jednak pewniejsze są karty, a zatem prosimy do stolika!

## Rozdział IX.

Od pół roku szalała straszliwa burza wojenna nad nieszczęśliwą Polską. Podstępnie, cicho, bez wypowiedzenia wojny armię sowieckie przekroczyły pewnego dnia granice i w ciągu paru godzin zajęły szereg wsi i miasteczek pomimo bohaterskiego oporu ze strony polskiego korpusu ochrony pogranicza. Za regularnymi armiami sowieków posuwały się dzikie hordy Tunguzów, Czukczów, Mongołów i innych plemion Wielkiej Azji, która z uniesieniem przyjęła religię nowego proroka i na kształt rozszalałego żywiołu runęła na Europę. Antychryst, rozumiejąc i oceniając potęgę tych hord, polegającą na oszalamiającej liczbie, bowiem wynosiła ona aż czterdzieści milionów ludzi obojga płci, polecił kierownictwu armii sowieckich utworzenie olbrzymiej intendentury, mającej na celu wyżywienie Azjatów. Zachwyty religijny i wiara w Antychrysta jako nowego Mesjasza, Wielkiego Wybawiciela Ludzkości z Nędzy i Głodu sprawiła, że armię sowiecką, jak również i niesforne tłumy szły do bitwy z pieśnią na ustach, nieprzytomne z nadmiaru szczęścia służenia Antychrystowi. Częste zadziwiające wypadki uzdrowień i łudzące cuda nowego proroka umacniały wiarę w niego.

Polskie wojsko, ujęte w dwa żelazne kleszcze dwóch potęg europejskich — Niemiec i Rosji — gonilo ostatkami sił. Rumuna od dawna zajęta i okupowana

przez Niemcy, nie mogła dać żadnej pomocy, za wyjątkiem piątej armii, liczącej trzysta tysięcy wyborowego żołnierza oraz dwudziestu trzech eskadr lotniczych, które to siły zbrojne przekroczyły granicę Polski, nie chcąc poddać się Niemcom i walcząc w dalszym ciągu z nimi w obronie nowej ojczyzny i w imię odzyskania niepodległości swego państwa. Jugosławia sama potrzebowała pomocy, bowiem małe jej siły nie były w stanie sprostać niemieckiej przemocy.

Tymczasem świat cały przeżywał podobne historie.

Ameryka znajdowała się w przededniu zatargu z Anglią, pragnąc wydrzeć jej przewagę i panowanie na morzach i oceanach. Wielki kapitał amerykański, chcąc podnieść swoje dywidendy i zagarnąć nowe rynki zbytu w olbrzymich koloniach angielskich bez ryzyka żadnej konkurencji, parł do wojny, nie szczędząc środków pieniężnych i nakłaniając rząd Stanów Zjednoczonych do zerwania stosunków. Nieomal cała prasa amerykańska, znajdująca się w rękach wielkiego koncernu kapitalistów świata, zręcznie obmyślanymi artykułami wzbudzała nienawiść do Anglików wśród szerokich warstw ludności obu Ameryk. Dziennikarze i literaci, często o głośnych nazwiskach, zaprzędali swe sumienia i serca Wielkiemu Koncernowi, olśnieni strumieniem złota, który spływał na nich za szerzenie hasła wojennych.

Od czasu śmierci Gandhiego Indie stawały się coraz trudniejszymi do opanowania. Siedemdziesiąt tysięcy Anglików nie mogło utrzymać w korbach posłuszeństwa trzystu Miljonów ludności, podniecanych ustawicznie przez tajnych wysłanników sowieckich. Z chwilą zaś zjawienia się w Rosji Antychrysta agitacja sowiecka przeniosła się na grunt religijny, osiągając na tym polu niebywałe powodzenie dzięki szczególnemu nastawieniu umysłów u zagorzałych Hinduśców. Pragnienie zdobycia niezależności złączyło się ściśle z pragnieniem nowej wiary. Lamowie tybetańscy, wysłani umyślnie w tym celu do Indii, wykładali naukę Antychrysta niezliczonym rzeszom hinduskim i porozumiewali się z nimi nader szybko, dzięki pokrewieństwu swoich natur wschodnich. Potęga Anglii poczęła się chwiać w swych posiadłościach kolonialnych. Wykorzystała tę okazję Ameryka i ją popierała ruch rewolucyjny w Indiach, nie szczędząc dolarów. Spowodowało to ostatecznie zerwanie stosunków przez Anglię, która ogłosiła blokadę Rosji i wypowiedziała wojnę Stanom Zjednoczonym. W dwa tygodnie po wymianie ostatecznych not między obu anglosaskimi narodami na olbrzymich obszarach mórz i oceanów ponuro zahuczały armaty.

W roześmianej słońcem Hiszpanii wojenne burze światowe znalazły wdzięczne echo. Republikański rząd hiszpański nie mógł zapomnieć urazy do Francji za jej polityczne stanowisko. Z drugiej strony działały również namowy płynące z Sowietów, które po obaleniu monarchii ugruntowały sobie znaczne wpływy w niższych sferach ludności hiszpańskiej. Drobną zatarg graniczny w Maroku między francuską Legią Cudzoziemską i strażnikami hiszpańskimi był powodem do wybuchu wojny, którą Francja podjęła z właściwym sobie temperamentem, nie mogąc zgodzić się na zajęcie całego Maroka przez Hiszpanów.

Na pozostałe narody europejskie padł jakby trujący czar wojny. Wyciągano z lamusa starych wspomnień różne urazy historyczne, przypominano sobie nawzajem krzywdy lat minionych i na takich podstawach stwarzano sobie orientację polityczną bieżącej doby. Doprowadziło to do tego, że Włochy uderzyły na dogorywającą już pod naporem wojsk niemieckich Jugosławię. Albania zawarła sojusz z Bułgarią, napadła razem z nią na Turcję, zaatakowaną prawie jednocześnie z drugiej strony przez Grecję. Wreszcie we Francji germanofilskie poglądy uległy zmianie, dzięki niesłychanym wysiłkom polskiej dyplomacji i francuskie samoloty skierowały się na Berlin.

W ten sposób cała Europa, a raczej cały świat pogrążył się w chaosie wojny. Strzelano do siebie z armat i kulomiotów, truto się gazami, bombardowano nawzajem stolice, gubiąc miliony istnień ludzkich, niszcząc dobytek swój i cudzy i szerząc najstraszliwsze epidemie wojny — choroby i głód. Zaciętość w walkach była tak olbrzymia i tak wszyscy zajęci byli zbrodnią mordowania bliźnich, że mało kto zwracał uwagę na dziwne zjawiska, jakie poczęły się ukazywać z wybuchem wojny wszechświatowej. Ponowne trzęsienie ziemi w Nikaragui, zapadnięcie się w ocean Atlantycki wysp Azorskich, olbrzymie powodzie w Kongo, straszliwa plaga szarańczy w Azji Mniejszej, obsunięcie się w wodę miasta Cagliari na wyspie Sardynii oraz szalone wstrząsy dna morskiego na Adriatyku przechodziły bez wrażenia. Nieliczne tylko grupy uczonych różnych narodowości notowały skrętnie powyższe wypadki, usiłując zrozumieć przyczyny ich powstania i wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski. Nawet śmiertelna choroba papieża i zapowiedź przyszłego konklawe kardynałów zginęły w ogólnym chaosie wiadomości wojennych.

Położenie Polski przedstawiało się bardzo poważnie. Mając do czynienia z dwudziestokroć liczniejszym wrogiem, musiała się jeszcze ciężko borykać z rozkładem wewnętrznym w postaci niezadowolonych żywiołów i wszelkiego rodzaju szumowin, wszczynających rozruchy. Szumowiny pilnie słuchały nowej nauki Antychrysta, wypowiedzianej ustami tajnych emisariuszy sowieckich, popieranym gorliwie przez sekty religijne, które jawnie uznały w Antychryście prawdziwego Boga. W bardzo wielu miejscowościach poczęły wybuchać bunty podbechtanego chłopstwa: palono dwory, zabijano dziedziców, prześladowano urzędników, wyrąbywano lasy i t. d.

### **Czerwone promienie**

Warszawa wyglądała jak obóz wojenny. Budowano naokoło niej okopy, wkopywano w ziemię kozły z drutem kolczastym, po którym przebiegał prąd elektryczny wysokiego napięcia, zakładano na polach miny oraz ustawiano maszyny, służące do wypuszczania gazów i zasłon dymowych. Niezliczone ilości helikopterów i samolotów bojowych uzbrojono w najnowszy systemy bomby,

które przy wybuchu wzniecały pożar i zatrwały powietrze śmiertelnymi wyziewami. Wszystkie te przygotowania świadczyły, że ostateczna walka o wolność miała się rozstrzygnąć w samej Warszawie. Na wschód i zachód od stolicy znajdowały się główne siły armii polskiej, powstrzymujące gwałtowny napór wrogów od strony Berlina i Moskwy. Wiadomości z obu frontów były jednak niepomyślne i dlatego rząd polski, zdając sobie sprawę z całej grozy położenia, dokładał wszelkich starań, ażeby Warszawa stała się twierdzą, o którą zastępy sowiecko-niemieckie mogłyby się rozbić, jak fala o brzeg skalny. Wszystkiego rodzaju wynalazki techniczne, mające pewną wartość w akcji wojennej, znalazły swoje zastosowanie, jako groźne niespodzianki dla przeciwników.

Atoli stosowane przez Sowiety słynne promienie czerwone, zwane inaczej promieniami śmierci, niejedno najdzielniejsze serce napełniały zwątpieniem i rozpaczą. W odległości jednego kilometra, gdziekolwiek padły owe straszliwe promienie, wypuszczane z olbrzymich reflektorów, pozostały jedynie zgliszcza i popiół. Trupy żołnierzy, zamordowanych w ten sposób, przedstawiały sobą garść zwęglonego pyłu. Działalność tych promieni niczym nie ustępowała działalności najlepszej spalarni zwłok, a nawet przewyższała ją pod względem czasu, wystarczały bowiem w zupełności dwie minuty na to, co w krematorium trwało od dwóch do czterech godzin. Walka z nimi była beznadziejna, a właściwie niemożliwa, to też armia sowiecka posuwała się szybko naprzód, siejąc grozę i przerażenie. Wszystko, co utrzymało się przy życiu i znalazło się poza linią frontu, ginęło w okrutny sposób pod zalewem mongolskich hord. Bywały jednak wypadki wyznania wiary w Antychrysta i takich ludzi prorok wcielał w szeregi armii regularnej, obiecując im szczęśliwe życie po zburzeniu Rzymu i podboju Europy.

W zdobytych miastach i wsiach Antychryst jakoby otaczał pieczę gmachy kościołów, cerkwi, bóżnic i minaretów tureckich. Zmieniał jednak przybranie świątyni: a więc usuwał krzyże, obrazy świętych, wyrzucał monstrancje z Przenajświętszym Sakramentem, wprowadzając natomiast na ołtarze swoje godło, przedstawiające na czarnym polu promieniste słońce, w obrębie którego tkwiły skrzyżowane młot i sierp. Szereg księży - odstępców odprawiał przed takimi ołtarzami nabożeństwa, wpajając w lud wiarę w boskość Antychrysta i głosząc nadejście szczęśliwej epoki dla pracujących i nieszczęśliwych. Byli jednak duchowni, stojący wiernie przy Chrystusie i tych los był straszny, oddawano ich bowiem jako jeńców w ręce mongolskich hord. Na zajętych obszarach piastowali władzę, z rozkazu Antychrysta, Azjaci, dopuszczający się względem Europejczyków niesłychanych okrucieństw i bezceństw. Z mężczyzn zrobiono niewolników, przyczym życie ich było jednym pasmem codziennych udręczeń i męczarni. Los kobiet był naprawdę wołający o pomstę do nieba.

Dziećmi zajmowały się specjalne urzędy sowieckie, zaszczepiając im naukę Antychrysta i wychowując na przyszłych obywateli Republiki Ludzkości.

Niezwykłej surowości zarządzenia władz sowieckich i okrucieństwa Azjatów łagodzone były odpowiednim postępowaniem Antychrysta, usiłującego zdobyć



sobie w ten sposób serca pokonanych narodów. Obecność jego tak silny wywierała urok, że nie było jeszcze człowieka, któryby mógł mu się oprzeć, patrząc nań własnymi oczyma. Doniosłą rolę spełniały tu nadzwyczajne, zadziwiające znaki, przypominające łądząco cuda, które Antychryst chętnie i z łatwością wykonywał, budząc tern zrozumiały zachwyt i pociągając ludzi ku sobie. Dzięki tym pozor- nym cudom wielu ludzi zbłądziło na manowce, stając się wyznawcami nowej religii. Tym działo się dobrze.

Tymczasem Jerzy Czamburski, na rozkaz władz przełożonych szykował się ze swoją eskadrą helikopterów do odlotu w stronę Lidy, bowiem ostatnie komu- nikaty wojenne doniosły, że front w tern miejscu został przerwany i Lidzie gro- ziło zajęcie każdej nieomal godziny. Rząd polski postanowił przeto wysłać w tym celu sześć eskadr lotniczych z gazowemi bombami i cztery pociągi pancerne. Jerzy wespół z gromadką swoich przyjaciół wyruszał do bitwy pełen zapału i nadziei zwycięstwa, nie dając wiary pogłoskom o śmiertcionośnych promieniach sowieckich.

Na froncie niemieckim poprawiło się nieco, bowiem straszliwa masakra Niemców pod Kaliszem dzięki polskim batalionom gazowym i brawurowemu natarciu helikopterów powstrzymała na chwilę zwycięski pochód Teutonów. Dodało to otuchy zalęknionym sercom i podniosło ducha waleczności w armii polskiej.

Niebezpieczeństwo jednak wciąż było wielkie. W tym czasie, kiedy polskie eskadry helikopterów wyruszyły z lotniska warszawskiego, kierując się na Bia- łystok i Grodno, Lida, Nowogródek i Słonim zostały zajęte przez wojska Anty- chrysta. Jerzy dowiedział się o tym w Grodnie, gdzie polskie eskadry wylądow- wały, celem nabrania benzyny. Nie było więc poco lecieć dalej i eskadry heli- kopterów, po zameldowaniu się u dowódcy armii, pozostały na miejscu, oczekując dalszych rozkazów.

Minęły dwa dni. Zdziesiątkowana promieniami czerwonymi armia polska okopała się na linii Grodno-Białystok, z rozpaczliwą odwagą powstrzymując gwałtowny napór wroga. Nikt nie myślał o zwycięstwie, ani też o ucieczce. Każdy zdawał sobie jasno sprawę, że śmierci i hańby uniknąć nie zdoła.

W godzinach popołudniowych Jerzy znajdował się na lotnisku w Grodnie, oczekując powrotu porucznika Szalskiego, który wysłany został jako wywiad lotniczy w kierunku linii okopów nieprzyjacielskich- W pewnej chwili specjalne aparaty, ustawione na lotnisku, uchwyciły warczenie motoru, niewidocznego jeszcze na horyzoncie, skutkiem zbyt wielkiego oddalenia. Warczenie było jed- nak zbyt potężnym, jak na jeden motor, w obawie więc, że Szalski ścigany jest przez samoloty sowieckie, Jerzy dał rozkaz wzlotu swojej eskadrze, chcąc rato- wać przyjaciela.

Obawy Jerzego okazały się słuszne. Po dziesięciu minutach szalonego lotu ujrzano w oddali helikopter Szalskiego, osaczony ze wszystkich stron przez sa- moloty sowieckie i ostrzeliwany gęsto ogniem z kulomiotów. Na widok zbliża- jącej się polskiej eskadry nieprzyjaciel cofnął się na wschód, pozostawiając w

spokoju Szalskiego, który skierował się natychmiast w stronę lotniska Grodzieńskiego. Po wylądowaniu aparatów, Jerzy opuścił się ostatni i podbiegł do maszyny Szalskiego. Przeczucia go nie zawiodły. Szalski leżał z zakrwawioną twarzą na kierownicy, a martwy obserwator wisiał przez pół na poręczy kadłuba samolotu, przymocowany skórzanym pasem bezpieczeństwa. Ze strzaskanej głowy nieszczęśliwego obserwatora spadały co parę sekund drobne płaty mózgu.

Porwawszy Szalskiego w ramiona Jerzy, przy pomocy kolegów, wyniósł go z maszyny i położył na ziemi, alarmując jednocześnie karetkę Czerwonego Krzyża, znajdującą się zawsze w pogotowiu na każdym lotnisku.

Rana Szarskiego okazała się, na szczęście, nie beznadziejną, aczkolwiek głęboki postrzał głowy wymagał natychmiastowej operacji. Nie zwlekając tedy ani chwili Jerzy, po założeniu Szalskiemu przez lekarza pogotowia prowizorycznego opatrunku, odwiózł go do szpitala.

Wszystkie jednak szpitale w Grodnie były przepełnione, a lekarze, przepracowani ponad miarę, dokonywali po dwadzieścia operacji dziennie. Jerzy począł tracić nadzieję, że uda mu się uratować Szarskiego, którego twarz bladła coraz bardziej, przybierając trupi odcień, gdy jeden z sanitariuszy zwrócił mu uwagę, że na stacji stoją cztery pociągi pancerne i do jednego z nich przyczepiony jest wagon chirurgiczny. W tej chwili Jerzy kazał tam jechać.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności naczelnny lekarz znajdował się w wagonie i Szalskiego bezzwłocznie położono na stół operacyjny. Jerzy stanął z boku, pragnąc wykonać obowiązek i korzystając z oprzytomnienia rannego, wydobyć zeń potrzebne wiadomości, dotyczące się rekonesansu.

Przy małym stoliku pod oknem jakaś młoda sanitariuszka przygotowywała przyrządy chirurgiczne, niezbędne do operacji. W pewnym momencie odwróciła się, pomagając doktorowi naciągnąć biały fartuch i mimochodem spojrzała na Jerzego. Ten ostatni drgnął i postąpił krok naprzód. Serce w piersiach poczęło mu bić jak szalone i spazm gwałtownej radości schwycił go za gardło. Bez słowa wyciągnął ręce, nie spuszczać wzroku z oniemiałej również ze zdumienia sanitariuszki.

Była to bowiem Ida.

Czterdzieści pięć minut trwała operacja. Przez cały ten czas Jerzy drżał z niecierpliwości, oczekując momentu, kiedy ukochaną będzie mógł przycisnąć do stęsknionego serca. Wreszcie operacja była skończona i ranny z obandażowaną głową, wciąż jeszcze nie odzyskując przytomności złożony został na nosze i przeniesiony do oddziału dla chorych. Naczelnny lekarz, zdjawszy fartuch i ściągawszy z rąk sterylizowane rękawiczki, zwrócił się do Idy ze słowami:

—Może pani będzie łaskawa sprzątnąć stół operacyjny, umyć i posegregować narzędzia, bowiem każdej minuty możemy się spodziewać podobnej operacji, Czasy są teraz gorące. Ja idę na dworzec napić się czarnej kawy. Za piętnaście minut będę z powrotem.

Poczem wyszedł.

Ida i Jerzy pozostali sami. Nie panując nad sobą młody kapitan zbliżył się do

niej i rozjaśnionym wzrokiem zajął jej głęboko w oczy.

—Iduś! Kochanie ty moje! Nareszcie cię widzę! Iduś! Gdzie byłaś! Co robiłaś przez ten długi czas?

Młoda kobieta wyszeptała splotiona:

—Kochałam i tęskniłam!

—Za kim?!

—Za tobą!

—Boże! Jaki ja jestem szczęśliwy!

Wtem gwałtowny ryk armat wstrząsnął całym miastem. Na widnokręgu wystrzeliły ku niebu długie języki ognia, zaterkotały raptem setki kulomiotów i rozległ się potężny jak grom, huk kilkakrotnych eksplozji. Ziemia drgnęła w posadach i z wielu okien z brzękiem posypało się szkło. Panika ogarnęła miasto. Myśl, że nieprzyjaciel bombarduje Grodno, przeraziła wszystkich do tego stopnia, że w mgnieniu oka opustoszały ulice. Między miastem a nieprzyjacielem znajdowały się linie okopów polskich. Musiało zatem nastąpić ponowne przewrwanie frontu, jak to miało miejsce pod Lida, przyczym popłoch był tym większy, że nie spodziewano się w tak krótkim czasie ofensywy wojsk sowieckich.

W kilka minut po olbrzymich eksplozjach dowództwo frontu otrzymało telefoniczną wiadomość z okopów, że saperzy sowieccy zdołali naprawić zerwany tor kolejowy na linii Lida-Grodno i puścili pełną parą pociąg pancerny, zawierający straszliwą maszynę z reflektorem do wytwarzania śmiertelnych promieni czerwonych. Zjawienie się tego potwora wojny wywołało szereg klęsk na froncie. Przedewszystkiem eksplodowały wszystkie wozy z amunicją, na które padły piekielne promienie. Wszystko, co znalazło się w ich zasięgu, zostało ogarnięte pożarem i zwęglone. Z dwóch pułków piechoty, znajdujących się w pobliżu toru kolejowego, nie pozostało ani śladu. Dokonawszy tego zniszczenia pancerny pociąg sowiecki przedarłszy się przez bont, pędził z olbrzymią szybkością w stronę stacji kolejowej w Grodnie.

Dowództwo frontu wydało natychmiast rozkaz dwóm polskim pancernym pociągom wyruszenia naprzeciw nieprzyjaciela. Pozytem dwie eskadry helikopterów wyleciały naprzód, celem zbombardowania toru.

Było już jednak za późno. Sowiecki pociąg pancerny gnał naprzód jak wichur, zbliżając się do stacji.

Ida i Jerzy, usłyszawszy eksplozję wozów z amunicją i basowy ryk armat, wybiegli z wagonu na peron, gdzie wpadli w wir ogarniętych paniką ludzi. Służba kolejowa, na rozkaz władz, szykowała pociągi do Warszawy. Pancerki polskie gotowe były już do odjazdu na front, atoli olbrzymi tłum mieszkańców Grodna pokrył mrowiem głów wszystkie tory, zdobywając szturmem miejsca w wagonach i domagając się natychmiastowego wyruszenia do Warszawy. Wynikły z tego powodu formalne walki na pięści między żołnierzami i ludnością cywilną, lecz zbyt szczupłe siły wojskowe nie mogły opanować sytuacji.

Jerzy, zorientowawszy się w mgnieniu oka, wciągnął gwałtownie Idę do środka wagonu, zatrzasnął drzwi i, opuściwszy okno, stanął w nim z rewolwerem

w ręku. Dwóch śmiałków usiłujących pomimo protestu Jerzego, wdrzeć się do wagonu opatrunkowego, przypłaciło życiem swoją gwałtowność. Powstrzymało to nieco napór innych, którzy jęli szturmować do następnego wagonu.

Wtem z daleka ukazały się potężne reflektory panczerki sowieckiej. Rozległ się piekielny wrzask kilkudziesięciu tysięcy przerażonych ludzi. Spostrzegłszy niebezpieczeństwo tłum wpadł w obłęd. Czołgano się pod wagony, jakby tam można było znaleźć ratunek Zaterkotały nagle kulomioty z polskich pancerek.

Olbrzym sowiecki zatrzymał się w niewielkiej odległości od stacji i po chwili zabłysnął nad nim czerwony reflektor.

Rozszalało się piekło. Gdziekolwiek padły czerwone promienie, tam wytryskiwał ogień, jakby pod uderzeniem tysiąca błyskawic. Cały dworzec i okoliczne domy stanęły w płomieniach. Straszliwy reflektor, obracając się szybko, lizał czerwonymi promieniami dachy i ściany domów, zaglądał w okna, stapiając momentalnie szyby i wywołując pożar wewnątrz. Niektóre wagony poczęły się palić. W obrębie czerwonych smug ludzie padali jak muchy, przy czym ubrania na nich płonęły jasnym płomieniem i w ciągu bez mała paru minut tysiące zwęglonych trupów pokrywały wszystkie tory i peron stacyjny.

Jerzy, przerażony działalnością strasznych promieni, wychylił się gwałtownie z okna, obserwując pilnie piekielny reflektor. Był on zwrócony do niego bokiem i to ocaliło mu życie. Przy bliższym spojrzeniu czerwone promienie okazały się smugami białego światła, w którym poruszał się z szaloną szybkością jakiś czerwony pył. Obserwując to zjawisko Jerzy poczuł nagle, że Ida szarpie go gwałtownie za rękaw.

—Jerzy! Na miłość Boską! Jerzy!

Odwrócił się przerażony.

—Nie wychylaj się! Zginiesz!

W tej chwili dach nad ich głowami począł trzeszczeć, paląc się jasnym płomieniem. Czasu było niewiele. Należało postawić wszystko na kartę, ażeby ratować życie. Jerzy skoczył jak żbik ku Idzie, porwał ją na ręce i, szarpnąwszy wściekle drzwiami, wyskoczył na peron. Jedyńm ratunkiem przed czerwonymi promieniami był budynek stacyjny, skąd można było podziemnym wejściem dostać się do miasta, albo przeczekać chwile grozy, ponieważ grube, żelazo-betonowe mury były dostateczną ochroną przed ogniem. Należało Jednak przebiec przez tor, ażeby znaleźć się na stacji.

W pewnym momencie Jerzy potknął się, przeskakując przez szyny i upadł. Skoro się podniósł, straszny ból w kostce unieruchomił go zupełnie. Mógł jedynie posuwać się naprzód skacząc na jednej nodze. Krzyknął tedy z rozpaczą:

—Biegnij szybko do podziemnego wejścia! Ja zdążę za tobą!

Oszalała z przestachu Ida pomknęła naprzód. Jerzy, kołyszając rękoma dla zachowani równowagi, skakał za nią. Wtem zatrzymał się i, wyciągając ręce ze zgrozy, jęknął przeraźliwie.

Oto Ida dostała się w obręb czerwonych promieni. Cała jej postać dziwnie jakoś zmalęła, skurczyła się w sobie i zapaliła się jasnym płomieniem.

—Przekleństwo! — Ryknął Jerzy — przekleństwo!

Nie zwracając uwagi na ból nadwerżonej nogi kilkoma skokami dopędził nieszczęśliwą i opuścił się obok niej na kolana, usiłując zerwaną z ramion swoich kurtką skórzaną stłumić płonące ubranie Idy.

Wtem czerwona smuga światła padła mu na twarz, poczem zsunęła się wzdłuż jego postaci. Jerzy poczuł piekielny ból w prawym policzku, jak przy dotknięciu rozpalonym żelazem. W następnej sekundzie ubranie jego stanęło w ogniu. Nie ten jednak ogień był straszny. Dopiero teraz Jerzy pojął działalność owych strasznych, czerwonych promieni. Szalona męka tkwiła w nim samym. Czuł piekący ból ciała od wewnątrz. Serce biło nierówno, głos zamarł, oddech był utrudniony. Zdawało mu się, że zamiast krwi w żyłach płynął w nich roztopiony ołów. W głowie powstał chaos, myśli rwały się na strzępy. W końcach palców rąk i nóg poczuł dziwne klucie. Ostatnim błyskiem świadomości zrozumiał, że grozi mu śmierć. Próbował zerwać się i uciekać lecz, mimo strasznego natężenia woli, nie mógł zdobyć się na żaden wysiłek.

Nagle otoczyła go niezwykła jasność. Zniknęły z przed oczu zarysy płonącej stacji kolejowej, wagony, śmiertcionośne błyski czerwonego reflektora i trupy pomordowanych w bestialski sposób ludzi. Do uszu przestały dochodzić odgłosy walki kulomiotowej, ryki armat i potężny łoskot walących się budynków stacyjnych. Zdawało mu się, że stanął na wprost słońca i że ono olśniło go miljonem niezwykle jasnych tęcz. Ból przestał istnieć. Czuł się właściwie dobrze. Był poniekąd zdziwiony tym, co się z nim dzieje. Usiłował nawet zebrać myśli i zorientować się w tej nowej sytuacji.

Zanim jednak zrozumiał, — przestał myśleć!

## Rozdział X.

Śmierć brata i zajęcie Grodna przez wojska sowieckie głęboko wstrząsnęły Stefanem. Jego wrodzona ufność w lepsze czasy i wiara w zwycięstwo Polski zostały mocno zachwiane. Przyglądając się popłochowi, jaki zapanował w Warszawie na wieść o klęsce, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że zguba Polski była nieunikniona. Znadto wszyscy byli przemęczeni i penderwowani, ażeby mogli stawić się twardy opór ubliżającemu się nieprzyjacielowi. Zresztą straszliwa moc piekielnych promieni czerwonych stwarzała położenie beznadziejne i najodważniejszemu wytrącała broń z ręki. Pozytem bunty ukraińskie w Małopolsce Wschodniej, zajęcie Pomorza przez Niemcy i ustawiczne rozruchy chłopów, którzy masowo poczęli wyznawać naukę Antychrysta, pogłębiały rozpaczliwość położenia.

Z ciężkim sercem Stefan, otrzymawszy dwudniowy urlop, udał się samochodem do Winnej Góry, ażeby zawiadomić matkę o nieszczęściu, jakie ich spotkało. Dojeżdżając boczną drogą do majątku, ujrzał z daleka olbrzymi słup czarnego dymu. Tknięty złem przeczuciem przyspieszył biegu i po chwili znalazł się w obrębie zabudowań folwarcznych.

To, co ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach.

Budynki były już na wpół rozebrane. Kilkudziesięciu chłopów o nieznanym zawadiackich twarzach ładowało pospiesznie belki i deski na wozy, do których zaprzęgnięte były jego najlepsze konie. Z otwartej na oścież obory wyprowadzano krowy, gnając je przed siebie. Na środku podwórza leżały zmasakrowane w okrutny sposób ciała dwóch policjantów i kilku z parobków, którzy widocznie chcieli bronić mienia dziedzicowego.

Zjawienie się Stefana w samochodzie wywołało popłoch. Ci, co byli z wsi, jęli uciekać, nie czekając na załadowanie wozów i bijąc silnie konie razami dworskich batów. Inni jednakże — którzy niewiedomo skąd się wzięli — stłoczyli się w gromadę, spoglądając z pode łba na Stefana. Ten, tłumiąc wściekłość wysiłkiem woli, podszedł do nich spokojnym krokiem.

—Zostawić to wszystko i pójść sobie precz! — Rzucił twardo.

Odpowiedziało mu ponure milczenie.

— Słyszeliście mój rozkaz?!

Wtem z gromady podszedł do niego olbrzymi chłop, który wzrostem przewyższał go o pół głowy.

—Pan dziedzic nie ma tu nic do gadania! — Zahuczał głębokim basem — lepiej uciekać zagranicę, bo może źle się skończyć. Tu wszystko nasze!

Stefan spojrzał mu prosto w oczy.

—Kto wy? Czy kupiliście ode mnie majątek ?

—Nie kupiłem.

—Jesteście więc złodziejem!

—Złodziejem nie jestem, ale ta ziemia będzie moją!

— Jesteście złodziejem!

To mówiąc Stefan błyskawicznym ciosem pięści trzasnął go w zęby. Olbrzym zachwiał się gwałtownie, machnął rękoma i upadł ciężko na ziemię. W tej chwili cała gromada posunęła się naprzód z widocznym zamiarem rzucenia się na Stefana. W ręku tego ostatniego zamigotał nagle niklowany browning.

—Precz!

—Kupą bracia, kupą! Z tyłu na niego!

Kilka kłonic dębowych ze świstem przecięło powietrze. Stefan nacisnął cyngiel, biorąc na cel najbliższych napastników. Dwunasto-strzałowy browning zaterkotał nagle z metalicznym trzaskiem. Kilku chłopów runęło na ziemię, pławiąc się we krwi. Inni zatrzymali się w ataku, poczem, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, rozbiegli się, krzycząc przeraźliwie:

—Zabijają! Rany Boskie! Zabijają!

Stefan szybko rozejrzał się wokoło.

Sześciu chłopów, w tern 2 z jego wioski, leżało na ziemi, rżąc, wzdychając i plując krwią. Nagle z głębi parku zastukał kulomiot. Stefan jednym skokiem znalazł się przy samochodzie i z bocznej skrytki wyjął ręczny granat oraz cztery zapasowe magazyny do browninga, poczem pobiegł w stronę parku, kryjąc się starannie między drzewami.

W pewnym miejscu pod osłoną olbrzymiego jałowca, upiększającego zakręt głównej alei, stał na ziemi kulomiot, zwrócony lufą ku dworowi. Obok klęczało trzech ludzi: dwóch w płaszczu wojskowym, oraz dwóch chłopaków wiejskich, lat powyżej dwudziestu. Rozpoczynali właśnie na pałac ogień, założywszy nową taśmę naboju. Stefan ogarnął tę scenę jednym rzutem oka, poczerń skierował wzrok ku dworowi. Tam była jego matka. Nie wiedział, czy żyje, czy jest ranna, czy jest ktoś przy niej, kto może ją bronić. Owładnęło nim szaleństwo walki.

Podbiegłszy jeszcze kilka kroków, z szerokim rozmachem rzucił granat, celując prosto w kulomiot.

Skutek był straszny. Rozległ się ogłuszający huk. Ku niebu wzbil się tuman kurzu i żwiru. Olbrzymi jałowiec, rozerwany wybuchem granatu, pokrył ziemię połamanymi gałęziami na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych. W miejscu, gdzie stał kulomiot wraz z obsługą, utworzył się olbrzymi lej, naokoło którego leżały krwawe strzępy ciał napastników. Przykro zrobiło mu się na sercu, choć walczył w obronie najdroższych sobie ludzi. Ale i ci zabici to rodacy, bracia, choć zbuntowani. Lecz kto wojuje mieczem, od miecza ginie.

Droga była wolna. Stefan szybko popędził naprzód i po chwili wpadł na ganek. Ktoś od wewnątrz zaczął gwałtownie otwierać drzwi, wołając głośno:

—Na Boga! Pan dziedzic! Jesteśmy uratowani!

Był to rządcą. Za nim stało dwóch praktykantów rolnych z dubeltówkami w rękach.

Stefan, nie witając się z nikim, zawołał:

—Gdzie matka moja?

—Starszą panią wysłałem dziś rano do Warszawy, — odparł rządcą — dowiedziałem się bowiem w nocy o zamierzonym napadzie na dwór, podsłuchawszy przypadkowo rozmowę sojuszników zbuntowanego chłopstwa. Pomimo sprowadzenia policji byleby jednak źle z nami. Biednych policjantów szumowiny z pobliskiego miasta pozabijały, a my, ratując życie własne, schroniliśmy się we dworze. Te łajdaki przytaszczyły z posterunku policji karabin maszynowy i zaczęły nas ostrzeliwać!

—Czy zdążyli co podpalić?

—Dwie sterty pszenicy na polu! Teraz naokoło nas wszystko palą, i grabią. Kto z naszych ludzi do nich się nie przyłącza, tego mordują. Wczoraj w nocy napadli na plebanię. Ale garstka wiernych ułatwiła w ostatniej chwili proboszczowi ucieczkę do Chojnowa. Plebanię spalono, służbę w okrutny sposób pomordowano, a z kościoła wyrzucono krzyże i obrazy święte. Organiście, który usiłował stawić się opór, siekierą rozłupano głowę. Straszne przeżywamy czasy, panie dziedzicu I

—A z Chojnowa mieliście wiadomości?

—Nie mieliśmy żadnych.

—W takim razie przyjadę tu jutro rano, ażeby wspólnie naradzić się z panem i przedsięwziąć pewne środki, mające na celu ochronę majątku. W tej chwili udam się do Chojnowa, ponieważ jestem niespokojny o los mojej narzeczonej ( Dowidzenia panom I

To mówiąc Stefan pobiegł da podwórze i wskoczył do auta. Olbrzymia maszyna zawarczała potężnie i ruszyła z miejsca wielkim pędem.

W Chojnowie czekała Stefana niespodzianka. We dworze nie zastał nikogo.

Na podwórzu zaś rządca w otoczeniu uzbrojonych w dubeltówki parobków zakomunikował mu, że państwo Molińscy wraz z księdzem wyjechali do Warszawy, przyczym pan Moliński obiecał wrócić za dwa dni do Chojnowa.

Stefanowi nie pozostało nic innego, jak tylko wrócić do Warszawy, co też niezwłocznie uczynił, otrzymawszy uprzednio od rządcy adres państwa Molińskich.

Wjeżdżając na roгатki miejskie Stefan ujrzał majora Rujskiego i zatrzymawszy auto zaprosił go, uprzejmie do wnętrza. Niezwykle wzburzona i blada twarz przyjaciela zwróciła jego uwagę.

—Majorze I Chorzy jesteście? Co się wam stało?

Rulski spojrział na niego ze zdziwieniem.

—Jak widać z brzmienia waszych słów, nie znacie jeszcze najświeższej wiadomości z frontu!

—Na Boga! Mówcie prędzej! Znowu nieszczęście?

—Koniec Polski, ot co! Przed pół godziną otrzymaliśmy w sztabie telegramy : Poznań, Kalisz, Częstochowa i Kraków zostały zajęte przez Niemców. W całym kraju burzą przez agentów i wszczynają rewolucję. Brześć n/B. zdobyli bolszewicy! Lwów dogorywa! Aeroplany niemiecko-sowieckie bombardują obecnie Łódź i Lublin! Nasze wojska ogarnięte paniką — cofają się na całej Linii! Wierzajcie mi, że zajęcie Warszawy jest kwestią jednego tygodnia! Jeżeli nam Bóg nie dopomoże — zginęliśmy !

Tymczasem równorzędnie z burzą wojenną, jaka targnęła całym światem, działy się w dalszym ciągu inne rzeczy, godne uwagi i straszliwe w swoich skutkach. W ogólnym zamęcie wojen nikt jeszcze nie doceniał przedziwnych zjawisk, które w krótkich odstępach czasu nawiedzały glob ziemski. Blask gwiazd na niebie uległ stopniowo znacznemu zaciemnieniu, a promienie słońca stały się bardziej nikłe i mniej gorące. Skutkiem tego pogodny dzień słoneczny nie dawał tego ciepła, co dawniej, a noce stały się zimne i ciemne. Księżyc z każdą nocą przybierał odcień czerwonawy, przy czym kontury jego osłonięte były zawsze lekką mgłą, W niektórych morzach i oceanach dawały znak życia podziemne wulkany, których istnienia nie domyślali się nawet najwięksi uczeni świata. W ten sposób cały archipelag Wysp Koralowych na oceanie Spokojnym w pewnej godzinie zanurzył się pod wodę, tworząc w tym miejscu olbrzymi lej



wrzącej lawy. Na wybrzeżu morza Czarnego olbrzymia góra Czatyrdah wyleciała w powietrze, zionąc ogniem i kłębamii czarnego dymu.

Skutkiem różnych tego rodzaju przewrotów, jak również częstego spadania meteorów, resztki rozbitych planet, które, przy zderzeniu się z ziemią, pokrywały nieraz przestrzenie wielokilometrowe potężnymi zwałami kamieni, miażdżąc domy i zabijając ludzi i zwierzęta, na znękaną ludzkość spadło nowe nieszczęście w postaci głodu. Nieomal we wszystkich stolicach świata urządzone pochody zgłodniałych biedaków znajdowały krwawy koniec. Duchowieństwo traciło coraz bardziej wpływy. Poprzez lądy i morza do najodleglejszych zakątków świata poczęła przenikać nauka Antychrysta, zwiastującego, jak tyłu innych, przed nim już bliską jutrzenkę życia ubogim i upośledzonym. Hasła te przyjmowane były z uniesieniem, bo tłum był wygłodniały. Równocześnie załamywały się państwa. Różnice narodowościowe i przynależności państwowej stawały się dla tych biednych ustawicznie w błąd wprowadzanych ludzi coraz bardziej niezrozumiałymi. Marsz głodnych kiszek jednoczył wszystkie ludności różnych krajów w jeden wielki, zwarty tłum, wrogo usposobiony do swego własnego państwa i ludzi, którym życie pozornie układało się jakoby lepiej i pomyślniej.

Wszelkie wysiłki rządów całego świata, zmierzające do utrzymania porządku i obrony przed bezładem, utrudniały niezmiernie wojny, które nieomal wszystkie państwa toczyły ze sobą, oddając na pastwę gazów trujących i armat najlepszych swoich ludzi. Było więc rzeczą jasną i łatwą do przewidzenia, że w niedługim czasie rządy świata przejdą w ręce szumowin ulicy. Oznaczało to przegraną wojnę i upadek danego kraju pod każdym względem. Rozumieli to dobrze prezydenci poszczególnych państw i w porozumieniu z Wielkim Koncernem Świata jęli radzić nad zażegnaniem groźnego położenia. Pierwszym krokiem do ocalenia prawa i własności było zawieszenie broni między wszystkimi wojującymi państwami. Układy pokojowe rozbijały się jednak o sprzeciw ludzi, mających władzę w poszczególnych rządach, a niezdających sobie sprawy z istotnego stanu rzeczy. Następnie główne siedlisko zarazy społeczno-religijnej tkwiło w Rosji. Wysyłającej trujące dusze promienie na cały świat. Postać proroka, zwanego Antychrystem, urosła pod wpływem sprytnej propagandy do legendarnych rozmiarów. Nie było człowieka na kuli ziemskiej, któryby nie słyszał o nim i nie interesował się jego życiem i czynami. Bardzo wielu ludzi ulegało wpływom agitatorów wysłanych przez Antychrysta i widząc jego potęgę zastanawiało się poważnie nad zagadnieniem, czy w rzeczy samej ten Antychryst mimo wszystko nie jest naprawdę Bogiem. Pod wpływem tej agitacji przewrotnej coraz więcej ludzi odwracało się od Boga Prawdziwego. Wiara prawdziwa stawała się rzeczywiście malutką, słabiuchną i lekką jak nitka pajęczyny.

Duże też wrażenie wywierała na wszystkie narody świata ta okoliczność, że Żydzi masowo poczęli przyznawać się do Antychrysta. Wyglądało to tak, jak gdyby upatrywali w nim prawdziwego Mesjasza, którego oczekiwali cierpliwie przez sześć tysięcy lat.

Mężowie stanu postanowili tedy sparaliżować działalność Antychrysta, co

jednak przedstawiało niesłychaną trudność ze względu na opanowanie przez tajemniczego proroka Wielkiej Azji, która potęgą swej wielomilionowej ludności, ogarniętej religijną zagorzałością, wydawała się niepokonaną. W obliczu tedy nieobliczalnych nieszczęść Wielki Koncern Świata postanowił odbyć narady z poszczególnymi kierownikami państw. Na teren konferencji wybrano Sztokholm, najbardziej odpowiedni ze wszystkich stolic świata, ponieważ Szwecja, jak również sąsiednie państwo Norwegia, nie brały żadnego udziału w toczących się wojnach.

Od czasu postanowienia do czasu otwarcia konferencji upłynęły trzy miesiące.

W pięknym pałacu królewskim w Sztokholmie, oddanym do użytku Wielkiego Koncernu Świata zebrał się pewnego dnia potentaci Ameryki, Anglii, Australii, Indii Wschodnich i Europy. Majątek każdego z nich wyrażał się w zawrotnych sumach mld jardów dolarów. James Harriman z Ameryki, Oliver Gould z Indii Wschodnich, lord Norliff z Anglii, Jack Dumping z Australii i Paul Bolman, reprezentujący finansjerę europejską. Byli to niekoronowani królowie świata. Prócz nich znajdowało się pięciu delegatów państw europejskich. Nieliczny udział sfer dyplomatycznych nie martwił jednak zbyt kapitałistów, bowiem każdy z nich wiedział, że uchwały zapadłe na tern posiedzeniu muszą być uznane przez wszystkie państwa, bowiem cały świat korzystał z kapitałów Wielkiego Koncernu i był jego dłużnikiem.

Posiedzenie zagał James Harriman, wybrany zgodnie przez wszystkich na przewodniczącego. Przedstawivszy wszystkim grozę położenia i zbliżające się bankructwo Wielkiego Koncernu, otworzył dyskusję, udzielając głosu Oliverowi Gould. Ogorzały, barczysty mężczyzna lat około pięćdziesięciu, korzystając z zaproszenia, przemówił w te słowa:

—Niewesołe rzeczy będę wam opowiadał, panowie! Jako przedstawiciel Indii Wschodnich zmuszony jestem zakomunikować, że z kapitałów naszych nie pozostanie tam ani śladu. Władzę polityczną straciliśmy już od dawna, bowiem sfanatyzowane tłumy Indusów nie obawiają się naszej policji i wojska i nie przestrzegają żadnych zarządzeń. Gdyby zaś przyszło do zbrojnego starcia, to każdy chyba przyzna, że siedemdziesiąt tysięcy białych, aczkolwiek doskonale uzbrojonych, nigdy nie sprostą trzystu sześćdziesięciu milionom ludności tu-bylczej. Komunizm nie był dla nas strasznym, jednak komunizm w połączeniu z hasłami przewrotnymi tajemniczego Antychrysta z Rosji stawia nas w obliczu nader poważnego niebezpieczeństwa, co może poświadczyć obecny tu lord Norliff, jako przedstawiciel wygasłej już niestety władzy angielskiej w Indiach Wschodnich!

Następnie zabrał głos Paul Bolman:

—My, ludzie czynu, nie potrzebujemy dużo mówić! Stwierdzamy jedynie fakty i posiadamy zdolność wyciągania z nich odpowiednich wniosków! Faktem zaś jest, że pieniądz nasz może zniknąć. Majątki nasze ulegną zupełnej zagładzie. Wszelkie umowy staną się bezwartościowym świstkiem papieru. A zatem należy

ratować jeżeli już nie kapitał, to przynajmniej swój byt i spokojne życie. Mam przy sobie depesze szyfrowane\*)<sup>35</sup>, które stwierdzają, że republikańska Hiszpania już połączyła się z Sowietami, przyjmując nową religię i wprowadzając nowy ustrój. Francja pławi się we krwi, bowiem ludność nie chce już wojny i ciska gromy przekleństw na głowy członków swojego rządu. W stolicy zwycięskich Niemiec bez mała co dzień terkoczą kulomioty przy tłumieniu rozruchów komunistycznych. Polska, ta dzielna i bohaterska, tak dotychczas przez nas niedoceniana Polska, stanowiąca mur graniczny między Europą a Rosją, dogorywa niestety pod naporem wojsk sowieckich. Przeklęty wynalazek czerwonych promieni uniemożliwia porostu walkę z Wielkim Oszustem. Jedynym ratunkiem jest zaprzestanie natychmiastowe wszelkich innych wojen, a silne poparcie Polski, tego przedmurza naszego. Może uda się nam unieszkodliwić Wielkiego Oszusta, a przynajmniej powstrzymać jego pochód na Europę.

Mowa przedstawiciela finansów europejskich wywarła na zebranych mocne wrażenie. James Harriman kiwał potakująco głową. Lord Norliff spoglądał przychylnie na mówcę, ponieważ zaś nie było żadnych sprzeciwów, tedy należało udzielić głosu delegatom, celem przedsięwzięcia odpowiednich postanowień dla przeprowadzenia planu Paula Bolmana. Zanim jednak przewodniczący zdołał rzucić okiem na listę dopuszczonych do głosu delegatów, jeden z nich, liczący lat około trzydziestu, powstał nagle i przemówił w te słowa:

— Dziwne mi się wydały słowa szanownego przedmówcy p. Paula Bolmana. Słuchając jego mowy odniosłem silne wrażenie, że na obecnej konferencji nie chodzi o ratunek ludzkości przed zalewem Wielkiej Azji, o ochronę kultury i cywilizacji, o ocalenie milionów istnień ludzkich, zmuszonych za pomocą prawa mordować się wzajemnie, lecz chodzi wyłącznie o losy Wielkiego Koncernu, o kapitały w nim ulokowane, o dywidendy dla akcjonariuszy.

Zapomnieliście panowie — mówił delegat dalej — że położenie, jakie wytworzyło się w całym świecie, waszym jest dziełem! Wyście spowodowali wojny, wyście wywoływali rozruchy, które potrzebne wam były do pokonania przeciwnika, wyście obsadzali naczelne stanowiska w różnych państwach swoimi ludźmi, którzy ślepo wykonywali wasze postanowienia. Dla was nigdy nie istniała kultura i sztuka! Dla was niezrozumiałą była miłość ojczyzny, wiara w Boga, braterstwo ludzkości i szlachetność myśli ludzkiej! Ponad wszystkim, ponad uszanowaniem życia ludzkiego i wolności jednostki królował „dobry interes"! Jaką drogą i za pomocą jakiej ofiary ten interes ma być zrobiony — było to wam obojętne. Wyście pchnęli Niemców do wojny przeciw Polsce, a teraz chcecie ją ratować, tylko dlatego, bo zagrożone są wasze kapitały. Był czas, kiedyście zasilali swoimi pieniędzmi Sowiety, upatrując w tern dobry interes. Obecnie interes ten stał się dla was ponurem memento mori (pamiętaj o śmierci). Wierzajcie mi, że kapitały nieożywione twórczym duchem i miłością bliźniego, zawsze zginąć muszą! Kto nie odczuł nigdy litości, ten litości spodziewać się nie może! Był czas

<sup>35</sup> szyfr- tajny, umówiony sposób pisania

kiedyście spalili dwa miliony centnarów metrycznych pszenicy w Ameryce Południowej, chcąc uzyskać wyższą cenę na giełdzie. Nieomal w tejże samej godzinie jeden z przedstawicieli waszych w Brazylii kazał wrzucić do morza czterdzieści tysięcy worków kawy, ponieważ skutkiem urodzaju cena wydawała wam się nieodpowiednią. Tymczasem w Chinach dwa miliony ludzi umarło z głodu w ciągu paru miesięcy. Na ulicach wielkich miast tworzyły się pochody bezrobotnych, wołających o chleb. Wam jednak wyłącznie chodziło o dywidendę. Była to legalna zbrodnia (Legalna, ponieważ mieliście prawo nie dawać nikomu ze swoich dóbr. Przez to jednak staje się ona straszliwszą w swej grozie i niesamowitości waszych charakterów.

Rumieńce oburzenia wykwitły na twarzach członków Wielkiego Koncernu. Przewodniczący z błyskami gniewu w oczach zadzwonił energicznie, przerywając młodemu mówcy. Paul Bolman, nie mogąc zapanować nad sobą, wykrzyknął:

— Panie delegacie! Zebraliśmy się tutaj poto, ażeby radzić nad zażegnaniem groźnego dla nas wszystkich niebezpieczeństwa! Bądź pan tedy łaskaw w imieniu swojego państwa podać wnioski, zmierzające ku blokadzie Rosji i ocaleniu Warszawy, jako jedyne go kopca granicznego między Europą i Azją, a nie zajmować się krytyką działalności Wielkiego Koncernu!

Młody mówca uśmiechnął się blado.

— Przyjdzie czas i na obronę! Obecnie jednak musicie panowie wysłuchać mnie do końca; jeśli bowiem nie zmienicie swego rozumowania, historia będzie się powtarzać i za kilka lat spotka was to samo. Przyznam się wam szczerze, że nie żał mi waszych kapitałów, lecz czuję ból wielki na myśl, że miliony istnień ludzkich giną marnie, nie zdając sobie nawet sprawy, kto im broń morderczą wkłada do ręki i popycha na plac boju.

— Za pozwoleniem! — Przerwał przewodniczący — zwracam pańską uwagę, że niema pan prawa obrażać członków Wielkiego Koncernu nieuzasadnionymi podejrzeniami i przypisywać im zbrodni wojny!

Młody człowiek skrzyżował wolnym ruchem ręce na piersiach i wyprostował się dumnie.

— Panie przewodniczący! Nie obawiam się pańskiego gniewu! Wszystko to, co mówię, jest niestety, prawdziwym! Górami złota prawdy nikt nie przykryje!

Paul Bolman zerwał się nagle, uderzając pięścią w stół.

— Może nareszcie — wykrzyknął — powie pan, jakie państwo jest reprezentowane przez pana?!

— Mówię nie jako reprezentant państwa, lecz jako Głos człowieczeństwa i sumienia ludzkości.

Wśród obecnych zapanowało zdziwienie. Delegaci spojrzeli po sobie w milczeniu. Paul Bolman, drżąc z gniewu, wyrzekł chrapliwym głosem:

— Wypraszamy sobie podobne żarty! Może pan nam ostatecznie powie, kim pan jest? Może przedstawicielem tamtej strony?

— Nie mam z nimi nic wspólnego. Jestem tylko głosem cierpiącej ludzkości. Zabrzmiały śmiechy. Przewodniczący puknął się w czoło i machnął znacząco

ręką. Lord Norliff założył monokl i jął się przyglądać tajemniczemu mówcy, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność. Paul Bolman, siny na twarzy, odsunął z hałasem krzesło i, podszedłszy do drzwi, otworzył je na oścież.

—W takim razie... Ponieważ pan jest człowiekiem... Ponieważ pan sobie żarty z nas stroi... Dla takich niema wśród nas miejsca!

Młody człowiek skierował się posłusznie ku drzwiom, w progu jednak zatrzymał się na chwilę i, zwracając się do Bolmana, rzekł:

—Jeżeli słowo człowiek napawa pana takim obrzydzeniem, to czymże pan jest?!

To mówiąc wyszedł.

Paul Bolman, wracając na swoje miejsce, pienił się z wściekłości.

—Niesłychany skandal!... Słyszeliście panowie: Jestem głosem ludzkości! Jestem człowiekiem! Taki war jat chce być człowiekiem! Natychmiast wyrzuce ze służby urzędnika, który kontrolował listę zaproszonych delegatów!

W tym miejscu podniósł się przewodniczący i w imieniu organizacji konferencji przeprosił zebranych za niemiłe dla wszystkich zajście. Zaczem przystąpiono do dalszego toku obrad. Ponieważ sprawa uratowania Warszawy była rzeczą niezmierniej wagi, a bodaj czy nie jedynym ratunkiem w danej sytuacji, przeto jednomyślnie uchwalono olbrzymie kredyty dla Polski, a Paul Bolman posunął się nawet tak dalece, że nakłonił członków Wielkiego Koncernu do wyrażenia zgody na udzielenie bezzwrotnej zapomogi Polsce w wysokości pięciuset milionów dolarów. Dawało to możliwość stworzenia z Polski niezdobytej twierdzy, której nie mógłby pochłonąć żaden zalew rosyjsko-chińsko-mongolski. Ponieważ zaś groza położenia nakazywała największy pośpiech, przeto lord Norliff imieniem owego rządu i dworu królewskiego obiecał wysłać w najbliższym czasie do Polski czterdzieści pięć eskadr samolotów angielskich. Poza tym członkowie Wielkiego Koncernu cofnęli zasiłki i pożyczki przyznane Niemcom, zmuszając tern delegata Rzeszy do natychmiastowego zawieszenia broni i zaniechania działań wojennych. Naturalnie wojnę między Anglią i Ameryką uchwalono jak najszybciej zakończyć. W końcu wreszcie Paul Bolman wystąpił z wnioskiem o powołanie najwybitniejszych wojskowych świata celem opracowania blokady Rosji i Azji

Wtem na biurku przewodniczącego zadzwonił nagle telefon. James Harriman, przyłożywszy słuchawkę do ucha, położył ją po krótkiej chwili na widelkach, komunikując zebranym, że za chwilę zjawi się jego sekretarz z jakąś ważną nowiną.

Upłynęły dwie minuty pełne oczekiwania. Na twarzach obecnych znać było zaniepokojenie w przeczuciu nieszczęścia.

We drzwiach stanął sekretarz Jamesa Harrimana i podawszy mu telegram, stanął za jego krzesłem. Przewodniczący ze zmarszczonymi brwiami jął odczytywać tekst depešy i nagle trupia bladeść pokryła jego twarz. Zduszonym, chrapliwym głosem wyjaśnił:

— Panowie! To, czego się obawiałem najwięcej, stało się! Warszawa zdobyta

przez wojska sowieckie! W Berlinie rewolucja! W Paryżu szaleje czerwony terror! Wiedeń w ogniu! Panowie! Niema już Europy! Ratunek nasz przychodzi za późno!

## Rozdział XI

Losy świata były przesądzone. Znękana wojnami i wewnętrznym zamieszkami Europa próbowała się bronić przed zalewem wojsk Antychrysta, tworząc Europejskie Stany Zjednoczone i zapominając o wzajemnych urazach i nienawiściach narodowościowych. Zarażone jednak bakcylem komunizmu i błędne; wiary w „nowego boga” armie europejskie odmawiały posłuszeństwa swym rządóm, stając po stronie zbuntowanych tłumów. Wielokrotne próby zaprowadzenia porządku i ładu przy pomocy nielicznych jednostek zdrowo myślących i wiernych tradycjom kończyły się zazwyczaj klęską wobec niesłychanej ilości zwolenników Antychrysta.

W Niemczech generałowie von Hummel i von Mallstein rozszarpani zostali żywcem. Major von Obst okazał się marnym karierowiczem i, upatrując w Antychryście wielką przyszłość, zdradził haniebnie swą ojczyznę, stając na czele zbuntowanych przeciw rządowi oddziałów wojskowych.

Flota powietrzna Niemiec usiłująca stawić się opór wojskom sowieckim, wdzierającym się zuchwale w granice Rzeszy, została straszliwie zdziesiątkowana czerwonymi promieniami

Nadeszła chwila, w której wszystkie państwa spostrzegły, że byt ich został zagrożony. Obłęd religijny na punkcie nauki Antychrysta podsycali Żydzi, zwracając gniew ludów przeciwko Rzymowi jako stolicy namiestnika fałszywego, jak mówili Żydzi i ich sojusznicy, Boga. Było to po myśli polityki i wedle wskazówek tajnych Antychrysta, który rozumiał doskonale, iż ze zdobyciem Rzymu i obaleniem tronu papieskiego raz na zawsze usunie największą przeszkodę na swojej drodze do opanowania dusz ludzkich. Ugruntowawszy więc swoje stanowisko w Europie za pomocą zaufanych ludzi z Komitetu Czerwonej Gwiazdy, ruszył sam na czele głównej armii sowieckiej i międzynarodowych oddziałów wojskowych w kierunku Rzymu. Szły za nim olbrzymie tłumy.

Antychryst obwieścił wszystkim ludom Europy, że z chwilą zajęcia przez niego Rzymu najubożsi i najbardziej pokrzywdzeni przez los otrzymają najwyższe stanowiska. Głodnych nie będzie i Armie zostaną rozbrojone i broń zatopiona w oceanach. Wszelkie spory międzynarodowe rozstrzygane będą nie za pomocą pięści i karabinów, lecz ludzie sami wymierzać będą sprawiedliwość.

Program ten był oczywiście niewykonalny i urągał ludzkiemu rozsądkowi. Jakże miał nastąpić czas, w którym nie byłoby głodnych, skoro ludzie nie uprawiali ziemi, skoro w zacierzewieniu swym zniszczyli sprzęt gospodarczy i palili z lubością stogi i stodoły 1 Antychryst, rzekomy przy jacie! Pokoju, rzekomy

wróg pięści i karabinu, obiecywał tylko złote góry. Rzeczywistość Wyglądała inaczej. To, co Antychryst przynosił, było najokropniejszym nieszczęściem dla całej ludzkości. Drogi, którymi kroczyły jego wojska, pokryte były gęsto trupami i znaczone były beznadziejną ruiną i zgliszczami. W jednym dniu barbarzyńskie wojska Antychrysta niszczyły doszczętnie to, co całe pokolenia długimi wiekami pieczołowicie budowały i z czcią wielką pielęgnowały. Dążąc do obalenia Rzymu gotów był przelać ostatnią kropeczkę krwi na ziemi. Nie był to więc przyjaciel ubogich i uciemiężonych. Przeciwnie był to najgorszy wróg ludzkości i wszelkiej kultury. Bo szatan, jak mówi Pismo święte, jest zawsze duchem zniszczenia. Ale Indzie tego nie spostrzegali. Ogarnął ludzi obłęd. Szli za Antychrystem, prześladowali wiernych, mniemając, że przysługę czynią Bogu.

Zguba Rzymu zdawała się być nieuchronną !

Tymczasem cały świat tonął we krwi i pożarach. W obu Amerykach zaraza komunizmu i nowej wiary w Antychrysta wzmogła się znacznie na sile. Toczone zażarte wojny domowe, przy czym tak olbrzymie miasta, jak New York, Washington i Chicago całkowicie zostały opanowane przez zwolenników Antychrysta- Amerykańskim miliarderm oczywiście nic się nie stało! Pouciekali hydroplanami na wyspy oceanów i mórz południowych, ratując życie i kapitały. W Anglii dwór angielski wraz z rządem i parlamentem w popłochu opuszczał stolicę. Zbuntowani agitacją przewrotną marynarze, wywiesiwszy czerwone sztandary z godłem Antychrysta, zakuli w kajdany admiralicję i oficerów statku, na którym znajdowała się rodzina królewska. Wysadziwszy potem na ląd uwięzionych wraz z rodziną królewską i członkami rządu, oddali wszystkich pod sąd. Poczęli więc sądy sprawować ci, którzy uległszy namowom agentów Antychrysta połączyli się z wrogiem ojczyzny. Pod- sądnymi zaś, oskarżonymi o zdradę stanu stali się ludzie bardzo zasłużeni, którzy życie nieraz całe strawili na usługach ojczyzny. Ale takie już nastały czasy. Sprytna agitacja Antychrysta dokonała tego, że ludzie białe nazywali czarnym. Zbrodnię zasługą, cnotę przestępstwem i poczytywali sobie jeszcze za rzecz pochwały godną, gdy mordowali niewinnych i bezbronnych.

Jedyną twierdzą na wzburzonym oceanie zbrodni ludzkich były Włochy. W obliczu straszliwego niebezpieczeństwa dzielni południowcy gorączkowo przygotowywali się do obrony. Tu i owdzie wybuchające bunty uliczne, wywoływane przez wysłanników sowieckich, tłumione były z całą bezwzględnością. Ludność Włoch odznaczająca się żywą wiarą w Chrystusa i obdarzająca pasterza swego w Rzymie niezwykłą czcią i miłością, potępiała bardzo stanowczo hasła Antychrysta, i uważała go za wcielenie szatana. Powszechnie było wiadome, że losy świata rozstrzygnąć się mają pod Rzymem i dlatego ze wszystkich stron świata ściągały niedobitki armii przeróżnych państw i co lepsze żywioły społeczne, ocalałe z pogromów tu pod Rzym, chcąc wziąć udział w ostatecznej obronie Krzyża i Miłości.

Nagle jak grom z jasnego nieba spadła na wszystkich straszna nowina: papież Grzegorz XV ii umarł. Nieomal w przededniu walki o Wieczne Miasto pasterz

opuścił swą owczarnię. Fakt ten napęłnił wszystkich przerażeniem. Kościół bez głowy nie mógł się bronić!

Zwołano czym prędzej konklawe. Przy znikomej ilości kardynałów rozpoczęto wybory nowego papieża. Zachodziła jednak poważna trudność. Każdy bowiem wiedział, że w razie przegranej nowoobranego papieża czeka straszna śmierć męczeńska. Bali się również biedni kardynałowie — mówimy biedni, bo położenie ich było rzeczywiście pożałowania godne — szalonej odpowiedzialności wobec Boga i ludzi. Byli przecież tylko ludźmi. Nikt więc nie kwapił się do tiary papieskiej.

Był wtedy na dworze papieskim młody biskup z Polski, ksiądz Piotr, który, przyjechawszy na początku wojny powszechnej do Rzymu w sprawach kościelnych, nie mógł powrócić do ojczyzny skutkiem zamknięcia granic.

Ponieważ rząd włoski pod naciskiem głównego sztabu wojennego przystąpił do przymusowego wysiedlania cudzoziemców, przeto biskup Piotr przyjął obywatelstwo włoskie, nie chcąc jechać do Afryki, nieogarniętej jeszcze zawieruchą wojenną, gdzie znajdowało się sporo osób, spędzających czas biernie i w próżniactwie. Pełna energii i poświęcenia natura biskupa Piotra przeczuwała, że właśnie w tych czasach Stolica Apostolska będzie potrzebowała ludzi gotowych na wszystko i miłujących Boga i ludzkość. Obserwując wypadki, rozgrywające się na świecie, biskup Piotr głosił, że tylko niezachwiana wiara w prawdziwego Boga przeciwstawić się może przyciągającemu wpływowi Antychrysta i szaleństwom różnych bezbożników, korzystających z zamętu wszechświatowego. Wyjednał sobie osobne pozwolenie, biskup Piotr w kościołach rzymskich wygłaszał płomienne kazania, nawołując do opamiętania i jednając ludzi z Bogiem. Taką była potęga jego wymowy, takim żarem miłości przepojone były jego słowa, tak przedziwnie wzniosłe myśli roztaczał przed słuchaczami, że stawały się one w krótkim czasie pokarmem ich dusz i tłumy ogromne zapełniały świątynie, wyczekując niecierpliwie chwili, kiedy ksiądz Piotr wchodził na ambonę. Często zdarzały się wypadki nagłych zasłabnięć; często niejeden z ludzi porwany natchnionym kazaniem wybuchał rzewnym płaczem i padał krzyżem przed ołtarzem, wzywając miłosierdzia Bożego.

Wreszcie sława genialnego kaznodziei dotarła do uszu namiestnika Chrystusowego, który rozkazał stawić mu się przed swym obliczem. Jasna i szczerą twarz biskupa Piotra odrazu wzbudziła ku niemu zaufanie Ojca Świętego, a ponieważ w tym czasie papież często zapadał na zdrowiu, przeto biskup Piotr pielęgnował go w chorobie i spędzał z nim długie wieczory nad omawianiem groźącego świata Antychrystowego niebezpieczeństwa. Wielka inteligencja i przepojona żarem miłości do Chrystusa umysłowość młodego biskupa zdobyła mu serce papieża, który w ostatnich miesiącach swojego życia, obcując z nim całymi dniami, począł uważać go za męża opatrnościowego i uczynił swoim spowiednikiem. Kiedy zaś kardynałowie, porwani wymową księdza Piotra i jego niezgłębioną wiarą, jęli mu okazywać braterską życzliwość i uznanie, Ojciec Święty w dzień Bożego Narodzenia ofiarował mu kapelusze kardynalski.



W tym szykiem wyniesieniu młodego biskupa do godności kardynalskiej widzieli wszyscy kardynałowie jak gdyby palec Boży wskazujący następcę zmarłego Papieża. Gdy więc nadszedł dzień wyboru, kiedy wszyscy kardynałowie zdawali sobie sprawę, jakiego ducha wymaga straszne położenie świata i jakiego przeciwnika zbliżający się ku Rzymowi Antychryst, prawie wszyscy oddali swe głosy na kardynała Piotra, który obrany papieżem przybrał imię Piotra II.

Rzym oraz okolice jego wyglądały jak jeden wielki obóz wojenny. Przez ulice miasta ciągnęły oddziały wojskowe różnych armii, przy czym wybijały się mundury polskie, francuskie i rumuńskie. Na lotniskach rzymskich stały gotowe do odlotu samoloty włoskie, francuskie, belgijskie i niemieckie oraz niedobitki eskadr polskich helikopterów.

Od kilku dni Stefan Czamburski szukał na próżno Tereni, o której wiedział, że zdążyła uciec samolotem razem z rodzicami przed zajęciem Warszawy. Straszne przejścia zmieniły Stefana nie do poznania. Stał się małomówny, ponury, przy czym wychudł i szerniał. W czasie zdobywania Warszawy przez wojska sowieckie matka jego wraz z wielotysięczną rzeszą uchodźców zginęła pod działaniem czerwonych promieni. Stefan, będąc na służbie i ostrzeliwując ze swej baterii samoloty sowieckie, dowiedział się o tym od swego ordynansa, którego posłał do matki, celem umieszczenia jej w wielkim samolocie pasażerskim, odjeżdżającym do Włoch pod osłoną kilku jednostek bojowych z eskadry polskich helikopterów. Samolotów takich opuściło Warszawę ogółem dwieście, przy czym na lotniskach rozgrywały się wstrząsające sceny między szczęśliwymi wybrańcami losu, a oszalałym z przerażenia tłumem, skazanym na okrutną śmierć z ręki hord mongolskich. Stefan opuścił Warszawę jako jeden z ostatnich na samolocie „Stefan Batory”, który ostrzeliwując się gęsto atakującym go aeroplanom sowieckim. Bez żadnego wypadku dotarł do lotniska w Rzymie.

Było południe. Zbliżała się pora obiadowa. Stefan skręcił w ulicę Mussoliniego i wstąpił do restauracji Pałace Hotel. W olbrzymiej sali gwarno było i rojno. Nie odczuwało się zupełnie atmosfery nieszczęścia, jakie miało niezadługo nastąpić. Stefan zajął stolik pod oknem, skąd można było widzieć całą salę i gości wchodzących. Przeczucie go nie zawiodło. Nieopodal niego przy stoliku pod lustrem ujrzał nagle państwa Molińskich z Terenią. Młoda dziewczyna z okrzykiem szczęścia rzuciła się ku niemu. Radość obojga była tak wielka, a upojenie szczęściem tak silne, że zapomnieli o miejscu, w którym się znajdowali, o tysiącach oczu patrzących na nich ciekawie, czując jedynie swoją obecność. Wreszcie Stefan oprzytomniał pierwszy i, przywitawszy się serdecznie z rodzicami Tereni, zasiadł razem z nimi przy jednym stole.

—Szukaliśmy pana wszędzie — odezwał się pan Moliński wzruszonym głosem — aleśmy nigdzie nie mogli pana znaleźć! To biedactwo — dodał wskazując na Terenię — zapłakiwało się po kątach, myśląc, że pan został w Warszawie! Chwała Bogu, że znowu jesteśmy razem!

—Mało brakowało, żebyśmy się nigdy nie zobaczyli — odparł Stefan — to

bowiem, co się obecnie dzieje, przechodzi wszelkie wyobrażenia!

—Tak, ma pan słuszność! Piekło się rozpętało i niewiadomo, kiedy powrócą zwyczajne stosunki na ziemi.

—Jedyna nadzieja w Bogu! — Wtrąciła się do rozmowy pani Molińska. — Nie przypuszczam, ażeby Antychryst miał zapanować nad światem, a Rzym musiał mu ulec!

—Dużo nas tu jest, to prawda — westchnął Stefan. — Armie sprzymierzonych z nami niedobitków międzynarodowych obliczają na cztery miliony, lecz co to wszystko znaczy wobec przekłętego wynalazku czerwonych promieni, jakim rozporządzają Sowiety. Jeżeli przyjdzie do bitwy, to w rzeczy samej bez pomocy boskiej nic nie poradzimy!

—W bardzo nieszczęśliwych czasach zakwitła wasza miłość, moje dzieci — uśmiechnął się smutnie pan Moliński — nie macie ani gniazdka, ani przyszłości przed sobą świetlanej!

Przy stole zapanowało milczenie. W oczach Tereni zabłyśły łzy, a nikt nie znajdował słów pociechy i otuchy.

Wtem na ulicy powstał gwar i hałas. Słysząc było wyraźnie pojedyncze głosy, pełne zdumienia i zgrozy, pospieszny tupot nóg na asfalcie i przeraźliwy wrzask chłopców z gazetami. Na salę restauracyjną Pałace Hotelu wpadł nagle jakiś mężczyzna w uniformie oficera włoskiego i, wywijając gwałtownie trzymaną w ręku gazetą, jął wołać głośno wzburzonym głosem:

—Hańba! Zdrada! Hańba! Zdrada!

Wszyscy zerwali się od stolików i otoczyli tłumem przybyłego. Ten ostatni ciągnął dalej wrzaskliwie:

—Panowie! Wyszło niesłychane rozporządzenie nowoobranego papieża! Nie wolno się nam więcej bić! Na wszystkich, którzy z bronią w ręku wyjdą naprzeciw Antychrysta, rzucona będzie klątwa papieska! Hańba, panowie!

Wszyscy w niemym zdumieniu spojrzeli po sobie. Wiadomość była zaiste niesłychana. Jak to? Papież zdradzał Kościół i oddawał ludzkość w szpony Antychrysta i hord mongolskich?

Wtem z tłumu ktoś rzucił pytanie:

—A kto jest papieżem?

Oficer włoski zwrócił się w tym kierunku i z oburzeniem wykrzyknął:

—Jakiś cudzoziemiec! Włoch nigdy- by tego nie zrobił! Gazety piszą, że jest on narodowości polskiej! Przybrał imię Piotra Li-go i przepowiada koniec świata! Jeżeli Polacy tak potrafili bronić swej ojczyzny, jak ten papież Kościoła, to hańba im!

Wtem mówca, porwany potężnymi rękoma Czamburskiego, wyleciał w powietrze i na kształt pocisku armatniego przeleciawszy wysoko ponad głowami tłumu uderzył ciężko całym ciałem w olbrzymie zwierciadło, stojące opodal pod ścianą. Rozbite szkło posypało się z brzękiem na ziemię, przy czym Włoch, zalany krwią, stracił przytomność.

Naprzeciw oniemiałego tłumu stanął Stefan i, prostując się dumnie, krzyknął:

—Jestem oficerem polskim 1 Nie pozwolę nikomu obrażać mego kraju, ani munduru, który mam na sobie!

Nastała śmiertelna cisza. Wypadki tak szybko następowały po sobie, że nikt nie zdążył jeszcze zebrać myśli i zorientować się w ogólnym zamęcie. Stefan drżał cały ze wzburzenia, gotów rzucić się sam jeden na cały ten tłum, złożony z oficerów różnych armii. Tu i owdzie ktoś trzasnął gniewnie szablą, błyskając rozognionymi oczyma. Zbierało się na krwawą awanturę.

Wtem przewlekającą się ciszę przerwał nagle spokojny głos jakiegoś młodego księdza, który od dłuższego czasu stał w kącie sali przy stoliku, przysłuchując się uważnie wszystkiemu.

—Ludzie małej wiary! Ludzie wątego serca! Obrażacie się wzajemnie i chcecie się bić między sobą, kiedy wróg zbliża się do bram miasta, niosąc wam śmierć i zniszczenie! Nie waszą jest rzeczą sądzić papieża! Wie on dobrze, co czynił Jeżeli Bogu się spodoba, to i bez waszej pomocy Antychryst będzie zwyciężony! Każdy z was bronił swojej ojczyzny! Każdy z was walczył i zabijał! Czyście jednak w ten sposób ocalili wasze rodziny przed śmiercią, a ojczyznę przed niewolą? Cały świat ginie! Cały świat kłębi się i burzy!

Do Rzymu zbliża się wielomilionowa armia opętanych przez Antychrysta ludzi!

Cóż wart jest wasz oręż wobec takiej potęgi! Czas już skończyć z daremnym rozlewem krwi! Moc Boska nie objawi się przez was, bowiem nie jesteście tego godni. Moc Boska objawi się sama przez się! Trzeba tylko wierzyć i miłować!

Upłynęło długich jak wieki dni trzydzieści. Przez cały ten czas widmo Antychrysta unosiło się nad Rzymem, wprowadzając ludzi w stan zupełnego przygnębienia i zubożenia. Każdy wiedział, że nie ma gdzie uciekać. Cały świat zionął ogniem pożarów i spływał krwią ludzką. Ludność- Włoch opuszczała wsie i miasteczka i udawała się do stolicy, rozbijając obóz, jakiego jeszcze oko ludzkie nie oglądało. Miliony ludzi obozowały pod gołym niebem, ponieważ Rzym, aczkolwiek olbrzymi, nie mógł pomieścić w swych murach wszystkich uchodźców. Osobni wysłannicy papiescy wybierali wśród nieszczęśliwych tłumów młode matki z nieletnimi dziećmi i udzielali im pomieszczeń w Watykanie, którego sale na rozkaz papieża oddano do użytku nieszczęśliwych. Armia włoska wraz z armią międzynarodową czekały gotowe do boju, aczkolwiek stanowisko papieża w tej sprawie było wszystkim znane. Wielu ludzi nie wyobrażało sobie, w jaki sposób papież uniknie rozlewu krwi, ratując zarazem Kościół oraz unieszkodliwiając Antychrysta i nieprzeliczone tłumy Mongołów i wyznawców nowej wiary, ciągnących za nim na kształt szarańczy. Jedni więc gotowali się w skrytości ducha na bój śmiertelny, inni zaś zapełniali świątynie, szukając tam natchnienia i ukojenia.

Ponure wieści ze wschodu i północy napęły serca nieszczęśliwych trwogą i przerażeniem. Cała nieomal Lombardia została zbombardowana przez lotników sowieckich, stanowiących przednią straż głównej armii Antychrysta. Trjst był

już w rękach Mongołów. Olbrzymia flota angielska, występująca pod godłem Antychrysta, wpłynęła na morze Śródziemne, kierując się ku morzu Tyreńskiemu, z widocznym zamiarem zaatakowania Rzymu ze strony morza. Tak wielka była w tych czasach powaga papieża i szacunek dla jego rozporządzeń, że włoskie okręty wojenne nie przyjęły bitwy, cofając się w stronę portu Ostia. W kilka dni później widoczne w nocy olbrzymie łuny na horyzoncie dały znak przerażonym mieszkańcom Rzymu, że miasta bliższe stolicy stały się pastwą piekielnych promieni czerwonych. W ten sposób uległy zupełnemu zniszczeniu Parma, Bologna i Florencja. Niezliczone mnóstwo drobnych miasteczek i wsi poszło ich śladem. Armie Antychrysta posuwały się szybkim marszem dwoma szlakami: jeden prowadził przez Mediolan Bolonię i Florencję, drugi zaś przez Padwę, Ferrarę i Ankonę. Planem Antychrysta było połączenie obu armii w Perugii, skąd do Rzymu było już niedaleko.

Nastała wreszcie straszna chwila w dziejach ludzkości. Połączone armie Antychrysta stanęły pod Rzymem. Dowództwo sowieckie było zaskoczone biernością armii nieprzyjacielskiej i spokojem wielomilionowego tłumu ludności cywilnej, obozującej pod murami stolicy. Podejrzewając zasadzkę, wojska sowieckie nie posunęły się naprzód, lecz wysłały na zwiady kilkanaście eskadr samolotowych i rozpoczęły morderczy ogień kulomiotowy w kierunku stojącego nieruchomo nieprzyjaciela. Aczkolwiek trup padał gęsto, nikt nie ośmielił się porwać za broń i złamać rozkazu papieża. Oficerowie z pochmurnymi twarzami patrzyli obojętnie przed siebie, a tysiące samolotów włoskich i cudzoziemskich warczały potężnie całą siłą swych motorów, gotowe do boju, lecz tkwiące nieruchomo na rzymskich lotniskach.

Przedziwny spokój i bierność obrońców Rzymu ucieszyły Antychrysta, który znajdował się daleko poza linią frontową. Przeciwnik Chrystusowy słusznie mniemał, że będą go prosić o zmiłowanie i że w czasie układów będzie mógł okazać całemu światu nadzwyczajne zdolności swej własnej duszy i potęgę swej myśli. Upokorzenie się Kościoła przed nim więcej znaczyłoby dla jego pysznego zarozumiałego ducha aniżeli krwawe zwycięstwo, osiągnięte przemocą fizyczną. Rozkazawszy tedy przerwać ogień kulomiotowy i zabroniwszy rzucać bomby aeroplanom sowieckim, wsiadł ten dziwny przywódca biedoty, do luksusowego samochodu i kazał się zawieźć na czoło frontu, aby tam oczekiwać przybycia parlamentarzystów. Jednakże równocześnie dla pewności z tyłu za switą Antychrysta jechał olbrzymi samochód ciężarowy, na którym znajdował się straszliwy reflektor z czerwonymi promieniami śmierci.

Był jasny, słoneczny dzień. Na niebie nie było widać żadnej chmurki. Zegary na ratuszu i kościołach rzymskich wydzwoniły już południe, a papież nie opuszczał jeszcze swej kaplicy, leżąc krzyżem na kamiennej posadzce i modląc się żarliwie. Na olbrzymim placu bazyliki św. Piotra oczekiwała na papieża wspaniała procesja, urządzona z jego rozkazu. Wszyscy kardynałowie stawili się bez wyjątku, przyobleczeni w purpurę i inne odznaki swej godności. Setki księży

w komzach otaczały ich białym łańcuchem. Wspaniały baldachim trzymali szambelanowie papiescy, strojni w złoto i aksamity. Przodem uformowała się gwardia papieska w barwnych uniformach. Z tyłu za księżmi ciągnął się olbrzymi mimo niebezpiecznej i trwożnej chwili rozentuzjasmowany tłum ludności, gotów zasłonić swym piersiami papieża w razie potrzeby. Ludzie w tej procesji tak pogodnego byli usposobienia, że prawie radowali się możliwością męczeństwa.

Wreszcie przy dźwiękach trąb i fanfar, przy zastosowaniu olśniewającego ceremoniału dworu papieskiego ukazał się Piotr II, przybrany w szaty pontyfikalne. Podtrzymywany z obu stron przez asystujących kardynałów, trzymał podniesioną wysoko szczerozłotą monstrancję z Przenajświętszym Sakramentem.

Przeciwko wrogowi Chrystusa Papież wychodził z Chrystusem.

Wszyscy padli na kolana. W ciszy, która zaległa plac św. Piotra, błogosławiącym ruchem w znak krzyża uniosła się monstrancja w dłoniach Chrystusowego Namiestnika nad falą głów ludzkich, co się kornie schyliły przed Panem i Bogiem. Przez serca, opętane strachem i szarpane trwogą, przeszedł prąd wiary i nadziei, że z wyżyn Skały Piotrowej do ostatecznej rozprawy z Antychrystem występuje Ten, którego bramy piekielne nie przemogą, który odchodząc na mękę krzyżową rzucił swym Apostołom na pożegnanie słowa Boskiej pełne mocy; Ufajcie, Ja zwyciężyłem świat I

Wiara Papieża udzieliła się wszystkim. Tylko Chrystus mógł zwyciężyć Antychrysta.

Papież zaintonował *Te Deum* i stanął pod baldachimem. Uderzyły dzwony wszystkich kościołów Wiecznego Miasta. Przy potężnym śpiewie setek tysięcy wiernych pociągnęła procesja przez ulice, kierując się poza bramy miejskie w stronę obozu Antychrysta.

A w duszach tych, co znali dawne dzieje, zarysował się obraz chwili, kiedy przy schyłku państwa rzymskiego papież Leon Wielki dostojnością swej powagi powstrzymał przed bramami Rzymu mongolskie zastępy niezwyciężonego wodza Hunnów Attyli. Oto powtarzała się ta chwila dziejowa jakoby po raz drugi, ale tym razem burza ze wschodu szła z daleko straszniejszą mocą. Nie szło już teraz o sam Rzym, ale o cały świat, szło o to, czy po zniszczeniu ostatniej potęgi, jaką pozostało jeszcze papieństwo, ma ludzkość dostać się pod zupełną moc zwycięskiego dotąd Antychrysta.

Dawną Drogą Triumfalną zbliżyła się procesja ku obozowi straszego najeźdźcy.

Antychryst nie mógł ukryć swojej radości. Zbliżała się chwila jego triumfu. Największy jego wróg pierwszy przybywał do niego nie na czele wojsk, ale pokornie błagając o pokój na czele wylęknionej, śpiewającej procesji. Czy już nie zwyciężył? Czy już opoki Piotrowej nie rozwalił? Bo czymże ten władca watykański chciał się z nim zmierzyć? Śpiewem?

Procesja znalazła się w obliczu wojsk nieprzyjacielskich.

Baldachim Papieża zatrzymał się przed stojącym nieruchomo Antychrystem.

Dwaj ludzie, reprezentujący Dobro i Zło spojrzeli sobie w oczy. Pierwszy

modlił się cicho, przyciskając monstrancję do serca. Drugi milczał skrzyżowawszy dumnie ręce na piersiach.

Upłynęła długa jak wieczność chwila milczenia. Nagle Piotr II spojrział jasnym wzrokiem na Antychrysta i wyrzekł z mocą:

—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i

Antychryst uśmiechnął się wzgardliwie.

—Ty go chwalisz, ale nie ja — odparł cicho.

—Każdy chwalić Go musi, kto na świat przyszedł.

—Czy w krwi i upodleniu?

—To ty je przynosisz.

—A z czym ty przychodzisz?

—Z Miłością.

—Pokaż tę miłość.

—Jest przed tobą — w tej monstrancji.

—I ty w to wierzysz, że ten opłatek to Chrystus i że Chrystus jest Bogiem?

Piotr II spojrział w oczy Antychrysta i wyrzekł z mocą.

—Wierzę !

— I cóż tobie i światu z tej wiary? Gdzie moc twojego Chrystusa wobec mojej potęgi ? Czy wiesz, że samem dotknięciem mej ręki mogę zabić człowieka?

—Jeżeli Bóg ci pozwoli. On tylko jest Panem życia i śmierci.

—Mylisz się. Moją własną wolą to uczynię! Patrz: obok ciebie stoją dwaj kardynałowie. Spoglądają z lękiem ku mnie. Może przeczuwają nawet, co ich czeka. Ja ich uśmiercę mocą mej woli. Wierzysz?

—Nie wierzę.

—Kaź im się zbliżyć do mnie !

Piotr II spojrział kolejno na obu kardynałów i rzekł:

—Idźcie bez trwogi! Bóg jest z wami!

Dwaj starcy posunęli się kilka kroków naprzód i stanęli posłusznie przed Antychrystem. Ten położył swe ręce na ich głowach i przymknął oczy. Twarz mu zbieleła jak płótno, a zimny pot pokrył mu czoło.

Upłynęła chwila długa i męcząca. Tysiące par oczu z najbliższego otoczenia wpatrywało się z niepokojem w obu kardynałów, których oblicza bieleły z każdą sekundą. Wtem jednocześnie prawie westchnęli głęboko, zatrzepotali nagle rękoma i padli na ziemię.

Najbliżej stojących ogarnął lęk. Spoglądali z obłądnym przerażeniem na Antychrysta, który, zbliżywszy się do papieża, zapytał chrapliwym głosem:

— A teraz wierzysz?

— Wierzę, że wstaną. Ich śmierć jest tylko pozorna, a twoja moc — złudą. W Chrystusie Panu wstaną i przy moim boku stąpać po ziemi będą.

— A zatem jesteś szaleńcem, którego należy unieszkodliwić! — Krzyknął Antychryst, poczem dodał, zwracając się do swej świty:

— Towarzysze Czerny i Czerno do mnie!

Wezwani wybiegli z tłumu i stanął przed Antychrystem. Ten zaś wydał roz-

kaz:

— Cofnąć nasze wojska i oświetli te ornaty i purpury czerwonym reflektorem!

Cała procesja skamieniała. Kardynałowie ujeli krzyże wiszące na ich piersiach i rozpoczęli modlitwę za tych którzy mieli pod strasznymi promieniami skonać. Co młodszy klerycy biegi wraz z ludem, ażeby ochronić własne: ciałem papieża.

Piotr II wysunął się z pod baldachimu. Ruchem ręki zatrzymał biegnących i, stanąwszy na czele procesji, zaintonował mocnym głosem: *Salvum populum Tuum Domine!* — Ocal lud Twój, Panie! — Błagalne słowa tej potężnej pieśni pochwyliły tysięczne pień z uniesieniem i zachwytem.

Stojące pod murami Rzymu wojsko włoskie i międzynarodowe szykował się do ataku, śpiesząc na odsiecz papieżowi. Niezliczone eskadry samolotów uniosły się naraz z lotnisk rzymskich w stronę armii nieprzyjacielskiej

Rozkaz Antychrysta, który odjechał natychmiast poza linię własnych wojsk został wykonany w mgnieniu oka. Szeregi sowieckie cofnęły się do tyłu, po zostawiając naprzeciw procesji olbrzymi samochód ciężarowy z piekielnym reflektorem. Pomimo jaskrawego słońca promienie czerwone były tak silne, iż wszyscy bliżej i dalej stojący najwyraźniej widzieli czerwone smugi złowieszczo zniżające się ku procesji.

Pierwszy oświetlony został straszliwymi promieniami Papież.

Nastąpiła chwila grozy.

Piotr II stał wyprostowany, tulił monstrancję z Przenajświętszym Sakramentem do siebie i modlił się żarliwie! Coś jakby obłok zamajaczyło nagle nad jego głową. Patrzącym wydało się, że za chwilę szaty papieża zaśnią jasny: płomieniem.

Upłynęła minuta, potem druga i trzecia.

Piotr II stał nieporuszony, żywy i cały. Powoli skierowały się na procesję promienie oświetlające ją czerwonym blaskiem. Pieśń nabożna skonała na ustach. Wszyscy upadli na kolana, wznosząc z niemym błaganiem ręce ku górze.

Ale promienie czerwone okazały się bezsilne. Chrystus zwycięża!

W niemym osłupieniu patrzyły na to wojska sowieckie. Przyglądający się z daleka Antychryst wyskoczył z przekleństwem z limuzyny, wołając głośno:

— Reflektor zepsuty! Założyć nowy!

A wtedy stała się rzecz straszna! Mechanik sowiecki, kierujący rączką reflektora, widząc bezskuteczność swoich usiłowań i słysząc gniewny głos Antychrysta, przeraził się i szarpnął tak niezręcznie reflektorem, że skierował go mimo swej woli w kierunku wojsk sowieckich. W jednej chwili tysiące ludzi stanęły w ogniu, krzycząc i wyjąc przeraźliwie. Niewiadomo, jakie rozmiary przybrałaby ta klęska, gdyby nie przytomność umysłu Czernynga, który pierwszy dobiegł do maszyny i celnym strzałem z rewolweru zabił mechanika a następnie przekręcił korbówkę, gasząc w ten sposób reflektor.

Wówczas Piotr II drgnął i począł iść szybkim krokiem naprzeciw zbliżającego

się Antychrysta.

Obaj stanęli po chwili przed sobą, mierząc się wzajem oczyma.

Twarz Antychrysta była straszna. W kącikach ust widniała piana wściekłości. Całą jego postacią wstrząsały dreszcze szalonego gniewu.

Twarz papieża była blada, lecz groźna. Oczy zaś ciskały błyskawice.

Nagle papież uniósł wysoko nad głową monstrancję z Przenajświętszym Sakramentem, która zajaśniała w słońcu blaskami tęczy. Antychryst spojrział w górę i na twarzy jego odmalowało się zwierzęce przerażenie.

Straszliwa jasność olśniła wszystkich. Zdawało się, że niebiosa uległy rozdarciu, odsłaniając morze szalejących płomieni. Potężna błyskawica na kształt ognistego węża załśniła nad głową Antychrysta. Rozległ się ogłuszający grzmot, jakby od uderzenia tysiąca piorunów. Ziemia zakołysała się pod nogami ludzi, którzy upadli na twarz, nie mogąc znieść zabójczego światła.

Po kilkunastu sekundach oszołomienia, kiedy ziemia przestała drżeć w posadach, a niebiosa przybrały naturalną barwę, wszyscy unieśli głowy i spojrzeli na papieża. Piotr II stał z natchnioną twarzą, trzymając ku niebu podniesioną monstrancję.

U stóp zaś papieża, na miejscu, gdzie stał Antychryst, znajdowała się kałuża cuchnącej cieczy.

## Rozdział XII

Potężne trzęsienie ziemi, jakie towarzyszyło gromowi z jasnego nieba, zabijającemu Antychrysta, odczuł cały glob ziemski. Rozkołysane morza i oceany runęły na lądy, porywając w głębiny wód całe wsie i miasta nadbrzeżne. Olbrzymie góry zapadły się w czeluściach popękanej ziemi, rzeki zmieniły swe łóżyska, płynąc nowymi korytami, ponieważ na miejsce dawnych wystąpiły nowe lądy. Olbrzymie wichry i huragany rozpętały się w całym świecie, wyrывая z korzeniami ogromne drzewa, rujnując budynki i zatapiając okręty.

Wieść o strasznym zgonie Antychrysta lotem błyskawicy obiegła kulę ziemską, podawana przez stacje radiowe. Wszystkie narody ogarnął lęk przed Namiestnikiem Chrystusa, który niewzruszoną swą wiarą tak widzialnie potrafił ujawnić moc Chrystusową nad mocami piekła. Nawet najbardziej zatwardziali zbrodniarze moralni opamiętali się, widząc śmierć swego duchownego wodza i zupełny pogrom wojsk sowieckich pod Rzymem. Niemniej wstrząsające wrażenie wywarła wieść o tern, że obaj kardynałowie, którzy pod działaniem sił tajemnych Antychrysta, padli na ziemię jak martwi, wrócili do życia, tak jak przepowiedział Papież. Moc Chrystusowego Kościoła i jego widomej Głowy zajaśniała w całym blasku i odsłoniła przed obalamuconym światem całą różnicę między złudnymi cudami Antychrysta a cudami Bożej Wszechmocy. W świetle



tego Chrystusowego zwycięstwa nad Antychrystem dusze ludzkie, dotąd zdjęte obłądnym strachem, ujrzały naocznie, że szatan jest nie tylko niszczycielem, ale i uwodzicielem.

Skutkiem niesłychanych kataklizmów ziemskich i ustawicznych drgań dna morskiego całą nieomal flotę angielską, walczącą pod godłem Antychrysta, pochłonęło morze Śródziemne. Niezliczone hordy Mongołów i Azjatów, przerażone oczywistym cudem, który w ich oczach się objawił, otrzymały błogosławieństwo z rąk papieskich i oddały się całkowicie na usługi Rzymu, przyjmując chrzest i wiarę świętą. Pozbawiona tak potężnego sojusznika armia sowiecka musiała szukać ocalenia w ucieczce. Poważna część zdrowszych elementów, doznawszy olśnienia, zerwała ze swoją ideologią i pojednała się z Bogiem.

Niesłychany triumf Papieża odbił się głośnie echem w najdalszych zakątkach świata. Wszędzie przywracano kościoły, ustawiano krzyże i obrazy święte i modlono się gorliwie, błagając o przebaczenie. Najwięcej rozpaczali Żydzi, którzy przeszli na katolicyzm i całymi dniami gromadnie zapełniali świątynie, leżąc krzyżem przed ołtarzami i posypując głowy popiołem.

Wśród modlących się żarliwie ludów znaleźli się jednak i tacy, którzy usiłowali zaprzeczać prawdzie i zaprowadzać poprzedni stan rzeczy. Skutkiem tego trwały w dalszym ciągu zamieszki i wojny domowe, aczkolwiek zwolennicy Antychrysta i ustroju sowieckiego tracili coraz bardziej na sile, ponosząc klęski za klęską.

Chcąc uratować ludzkość przed zupełnym zdzczeniem oraz zaprowadzić miłość między narodami, Papież Piotr II postanowił dokonać wiekopomnego czynu. Oto w nielicznej asyście duchowieństwa i gromadki wiernych udał się w objazd całego świata, pragnąc osobiście naprawić zło, wyrządzone ludziom przez Antychrysta.

Po wyjeździe Papieża Rzym począł się wyludniać. Każdy wracał do swej ojczyzny, pokrzepiony moralnie, z jasną nadzieją w przyszłość. Goście z Polski również sposobili się do powrotu, bowiem jeszcze przed odjazdem Papieża zawarty został w Rzymie między tymczasowymi przedstawicielami Niemiec, Rosji i Polski pakt wieczystej przyjaźni. Przyczynił się do tego Piotr U, pamiętając o swej nieszczęśliwej ojczyźnie.

Państwo Molińscy wraz z córką i Stefanem powrócili do Warszawy. Podróż ich trwała przeszło tydzień, bowiem w wielu miejscowościach tory kolejowe były pozrywane i trzeba było czekać na ich naprawę,

Stolica Polski przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. Tysiące domów leżało w gruzach, mosty na Wiśle były pozmywane, a nieomal wszystkie ulice zaścierały trupy okrutnie pomordowanych mieszkańców. W samym mieście i okolicach grasowały jeszcze luźne bandy niedobitków armii sowieckiej i miejscowych komunistów, atoli wyłapywane one były przez ludność i wojsko i rozstrzeliwane na miejscu zbrodni. Do zaprowadzenia ładu i porządku znacznie przyczyniła się flotylla polskich helikopterów, przybyłych z Rzymu oraz organizacja ocalonych z pogromu oficerów i żołnierzy, która dobrowolnie przyjęła na

siebie obowiązki milicji obywatelskiej.

Dziwnym trafem ocalał dwór w Chojnowie, aczkolwiek wszystkie okoliczne majątki były straszliwie spustoszone, a budynki puszczone z dymem. Według relacji jednego z fernali, który jedyny z całej służby chojnowskiej pozostał przy życiu, zaraz po zajęciu Warszawy dwór w Chojnowie ze względu na swe położenie wybrany był przez okręgową centralę komunistyczną jako lokal biurowy okręgowej organizacji komunistycznej. Na czele tej organizacji stanął Alojzy Klak, znany bandyta i gorący zwolennik Antychrysta. W czasie paniki, która ogarnęła załogi sowieckie w podbitych krajach na wieść o strasznej klęsce pod Rzymem i niesamowitej śmierci Antychrysta, miejscowa ludność folwarczna tęskniąca z upragnieniem powrotu dziedziców, wyrżnęła całą jaczejkę, i zabiła Kłaka. W ten sposób pomściła jego okrucieństwa.

Państwo Molińscy, doprowadziwszy do porządku dwór, zamieszkali w Chojnowie, a Stefan udał się konno do Winnej Góry, chcąc zobaczyć swoje gospodarstwo.

Czekała go bolesna niespodzianka: zastał tylko niebo i ziemię. Ani jeden budynek nie ocalał. Na miejscu dworu czerniała kupa zgliszcz. Wróciwszy więc do Chojnowa, oznajmił Molińskim, że jedzie do Warszawy, ażeby oddać się na usługi tymczasowego rządu polskiego, który w tym czasie ukonstytuował się w stolicy, celem odbudowy zrujnowanego państwa. Państwo Molińscy oświadczyli Stefanowi, że traktują go jak syna i prosili, żeby ich dom uważał za swój własny.

Mniej więcej to samo, co w Polsce, działo się i w innych krajach Europy i kontynentu. W obu Amerykach skutkiem bratobójczej walki olbrzymie przestrzenie były niezamieszkałe, a miasta wyludnione. Niegrzebane przez nikogo trupy na ulicach i drogach publicznych rozkładały się, zarażając powietrze tysiącami epidemiami. W Anglii potężne drgania dna morskiego wstrząsały nieszczęśliwą wyspą, grzebiąc w rozwartych otchłaniach ziemi wsie i miasta i dziesiątkując na wpół obłąkaną z przerażenia ludność. Połowa Londynu leżała w gruzach. Nad Tamizą unosiły się opary wodne, działające zabójczo na organizm ludzki. W Australii i Afryce szalały straszliwe burze gradowe, powodując wylewy rzek i zatapiając olbrzymie połacie tych krajów. W Europie tysiące ludzi umierały co dzień skutkiem rozlicznych chorób, które szerzyły się w sposób zastraszający. Ponieważ większość lekarzy wyginęła podczas wojen, przeto w bardzo wielu wypadkach chory pozostawiony był sam sobie i zazwyczaj umierał. Doszło do tego, że musiano na gwałt zakładać nowe cmentarze, ale i te wkrótce okazały się niewystarczającym

Wszędzie entuzjastycznie przyjmowano papieża, przy czym wielu ludzi, pamiętając oczywisty cud pod Rzymem i objawienie się potęgi Boga, wstępowało w stan kapłański, wzmacniając tern samem szeregi pragnących spokoju i miłości. Między narodami zawierano wieczyste pakt przyjaźni. Ustanowiono Międzynarodowy Trybunał dla spraw świata pod protektoratem Kościoła z siedzibą w Rzymie.

Po bytności w Madrycie, Paryżu i Berlinie oraz Wiedniu i Budapeszcie, pa-

pież Piotr II przyjechał do Warszawy, przyjmowany z niezwyklejmi oznakami czci i uwielbienia przez rodaków. Jako dawny znajomy Stefan uzyskał krótkie posłuchanie u papieża, opowiedział mu o losach swej rodziny i prosił o błogosławieństwo, zamierzał bowiem w niedługim czasie wstąpić w związek małżeński z Terenią. Piotr II nie tylko wyraził swą radość, ale ku zdumieniu i wielkiej radości Stefana obiecał dokonać sam obrzędu zaślubin. Ponieważ jednak pobyt papieża w Polsce był ograniczony ze względu na czekającą podróż do Rosji, której ludność za pośrednictwem licznych delegacyj błagała Ojca św. o przyjęcie jej na łono Kościoła katolickiego, przeto termin ślubu wyznaczono za parę dni. Z racji żałoby podwójnej po stracie rodziny i nieszczęścia, jakie spotkały ojczyznę, ślub miał się odbyć cichy i poważny.

Uszczęśliwiony Stefan pojechał do Chojnowa podzielić się radosną nowiną z Terenią i jej rodzicami. Państwo Molińscy nie mieli nic przeciw temu, a nawet zaofiarowali młodej parze połowę swego dworu aż do czasu, kiedy dwór w Winnej Górze zostanie na nowo odbudowany.

W Warszawie ślub Stefana stał się faktem doniosłym ze względu na osobą papieża, który bezpośrednio po zakończeniu ceremonii ślubnej odjechał do Moskwy na specjalnie w tym celu przebudowanym i ofiarowanym mu przez wdzięczną Polskę „Stefanie Batorym”.

Tymczasem w Azji Mniejszej pojawiła się w niezwyklej ilości szarańcza. Klęska ta znaną była ludzkości, atoli wielkość tych owadów oraz ich żarłoczność przewyższały obecnie wszelkie wyobrażenia. Tysiące hektarów żyznej i uprawionej ziemi zamieniały się w pustynie po przejściu tej strasznej plagi. Wielu ludzi pogryzionych przez szarańczę umierało w okropnych męczarniach. Ilość tych śmiertelnych owadów — według doniesień radiowych — obliczano na setki miliardów. Walka z taką ilością była niezmiernie utrudniona. Podpalano lasy, wywoływano sztuczne pożary na polach a nawet specjalna ekspedycja europejska wyleciała na samolotach do zagrożonych okolic Azji Mniejszej, wioząc ze sobą aparaty do wytwarzania gazów trujących oraz bomby eksplodujące siarczanem miedzi. Wszystko to jednak okazało się niewystarczającym do opamowania piekielnej plagi i ludność Europy z lękiem obliczała czas, w którym szarańcza miała się znaleźć nad starym lądem.

Jeszcze nie minął okres trwogi i przy gotowań obronnych, kiedy jak piorun z nieba uderzyła w udręczoną ludzkość nowa wieść, bardziej okropna od poprzedniej : oto całe Włochy Południowe nawiedzone zostały straszliwym trzęsieniem ziemi, przyczym Stolica Apostolska przestała istnieć. Z dawnego świętego Rzymu, z potężnego państwa papieskiego. Z niewysłowionej mocy majestatycznej bazyliki Świętego Piotra pozostały jedynie rumowiska. Nad zatoką neapolitańską otworzyły się w ziemi szerokie szczyby, zionące ogniem i siarką. Wezuwiusz przedstawiał sobą jedno wielkie morze płomieni. Po jego zboczach niepowstrzymanym strumieniem płynęła wrząca lawa, której nadmiar, nie mogąc pomieścić się na lądzie, wpadał do zatoki, doprowadzając wodę do temperatury wrzenia. Miasta Sorrento, Kapua, Gaeta, Velletri i port Ostia zniknęły bez śladu. Nawet w odległym Palermo wzburzone fale morza Śródziemnego wdarły się na ulice, zatapiając wiele domów.

Straszna wieść o zgubie Rzymu dosięgła papieża w Moskwie, przekreślając tym samym plan jego dalszej podróży. W szczupłym gronie oddanych mu ludzi Piotr II odleciał na „Stefanie Batorym”, ażeby ujrzeć własnymi oczyma ruinę Stolicy Apostolskiej.

Stanąwszy nad gruzami Rzymu papież otoczony został niezliczonym tłumem ocalałych z katastrofy mieszkańców. Krzyki, płacze i wołania błagalne wstrząsały powietrzem. Nie było ani jednego człowieka, któryby nie stracił swoich najbliższych podczas straszliwego trzęsienia ziemi. Z dwóch milionów ludzi pozostało zaledwie pięćdziesiąt tysięcy.

Piotr II stał długą chwilę w milczeniu, przypatrując się dziełu gniewu Bożego. Zaczem, zapłakawszy krwawymi łzami, padł na kolana i począł modlić się żarliwie. Wszyscy poszli jego śladem.

Po pewnym czasie Piotr II powstał z klęczek i, przeżegnawszy się krzyżem świętym, przemówił do zebranych w te słowa:

— Bracia najmils! Nie trwóście się w sercach waszych i nie oddawajcie się rozpaczy, bowiem koniec cierpień waszych jest już niedaleki! Nadchodzą czasy, w których szczęśliwość wiekuista będzie waszym udziałem i źródłem wszelkiego życia na ziemi! Dzień Sądu Bożego stoi u wrót ludzkości! Niechaj nikt z was nie zadrzy i nie lęka się! Albowiem Bóg jest nieskończenie miłosierny, a kto wytrwa w wierze, wszelkie przewiny będą mu odpuszczone! Nie lękajcie się ani gromów, ani burz i huraganów, ani morów i plag strasznych, bowiem bez woli Bożej włos z głowy nie spadnie temu, kto wierzy i miłuje! Czeka na was radość niebiańska. Niezadługo ujrzycie zmarłych swoich, drogich waszemu sercu i wspólnie z nimi cieszyć się będziecie oglądaniem Boga! Oto ja stoję przed wami jako Namiestnik Chrystusowy i oświadczam: czyńcie powinność swoją! Módlcie się i pracujcie! Albowiem koniec świata nie do was należy!

Wśród tych ogólnych nieszczęść i pełnych grozy wypadków we wszystkich krajach olbrzymie tłumy ludności klęczały dzień i noc przed krzyżami i figurami Świętych na placach i drogach publicznych, modląc się rozpaczliwie o zmiło-

wanie. Kto mógł i miał siły, ten dążył wytrwale ku Jerozolimie, pragnąc w tak strasznych chwilach znaleźć się pod opieką papieża, który ze zniszczonego Rzymu przeniósł się tam i podnosił ducha wśród wiernych, wskazując im niezmiernie Miłosierdzie Boże. Nabożeństwa błagalne odprawiano pod gołym niebem przy Grobie Chrystusowym, który w czasie Podniesienia jaśniał tajemniczym światłem. Cud ten jako widomy znak Łaski Bożej doprowadzał ludzi do płaczu, a Piotra II napępiał uniesieniem pokory i miłości.

Straszliwe wstrząśnienia przyrody, niesłychanej mocy i potęgi, następowały jedno po drugim, W niespełna dwa tygodnie po zamieszkaniu papieża w Jerozolimie, gdzie w pobliżu grobu Chrystusowego sprawował obowiązki arcy-pasterza ludzkości, rozpętały się straszne burze gradowe i nawałnice. Szalone wichry przeniosły szarańczę w błyskawicznym czasie z Azji do Europy. Pierwsza Rosja padła ofiarą piekielnych owadów, które z niezwykłą żarłocznością rzucały się na ludzi i zwierzęta, zatruwając jadem swoim najbardziej odporne organizmy. Gwałtowność napadu tych stworzeń była tak wielka, że nie zdołano zastosować żadnych środków ochronnych ani pomyśleć o obronie. Władykaukaz, Stawropol, Astrachań i Nowoczerkask wraz z okolicznymi wsiami zostały całkowicie spustoszone, a nagie, doszczętnie objedzone z mięsa kościotrupy ludzkie i zwierzęce leżały na wymarłych ulicach. Po dokonaniu zniszczenia szarańcza pofrunęła dalej, kierując się ku Europie i spadając po drodze na Jekaterynosław, Charków i Kijów. Ofiarą szarańczy według pobieżnych obliczeń padło dwadzieścia milionów ludzi.

Jeszcze nie zdołano ochłonąć z przerażenia na wieść o szarańczy, kiedy udręczoną ludzkością targnęła nowa wiadomość straszliwa w swej grozie i okropności. Olbrzymia wyspa Anglja, na której dzielni synowie Albionu wiedli pracowity żywot, zapadła się wraz z Irlandją i Danją w odmęty Oceanu, gdzie znalazło śmierć dwadzieścia mil jonów ludzi. Przerażająca katastrofa z Anglją spowodowała nowe wstrząsy podziemne na całym globie ziemskim. Ludzie z przerażenia dostawali obłędu, kończyli samobójstwem lub zapadali w stan uniesienia religijnego, zobojętnieni na wszystko, co się wokół nich działo. Ogólną grozę spotęgowało przyćmienie się słońca, którego promienie przybrały barwę fioletową, działającą zabójczo na wzrok i skórę. Skutkiem tego wielu ludzi oślepiło, a ciała ich pokryte były ropiejącymi wrzodami.

Nagle nastąpiła cisza. We wszystkich pięciu częściach świata, na morzach i oceanach, na wyspach wielkich i małych, fioletowy błękit nieba nie zawierał w sobie ani jednej chmurki. Burze i huragany ucichły. Nawałnice zastygły. Wzburzone (ale mórz i oceanów znieruchomiały. Martwa cisza zapanowała nad wszystkim. W martwocie tej i bezruchu, w spokoju nieomal grobowym czaiło się jednak coś straszego. Ludzkość ze drżeniem przysłuchiwała się ciszy, pragnąc dosłyszeć oddalony ryk gromu, świst wichru lub pomruk nadchodzącej burzy. Daremnie! Niczem niezmacona cisza napępiała serca wszystkich lękiem obłędu.

Po tej niesamowitej ciszy, która długo nie trwała, gdzieś zdaleka z niezmie-

rzonych przestrzeni nieba począł dolatywać dźwięk jakiś, niczem jęk wichru lub konający ryk oddalającego się gromu. W przeczuciu nowej katastrofy ludzkość ogarnął szal rozpaczy. Masowo poczęto opuszczać ojczyzny, zmierzając ku Jerozolimie, aby tam szukać opieki u Grobu Chrystusowego.

Ta ostatnia wędrówka narodów zawierała w sobie znamię ostatecznego pojednania się człowieka z Bogiem. W obliczu niesamowitych przewrotów w przyrodzie i zbliżającego się końca świata ludzkość czuła, że jedynie Bóg potrafi zachować jej wiarę, nadzieję i miłość, uciszyć nieukozone tęsknoty i dać pokój duszy.

Odezwały się również nieliczne głosy uczonych świata, którzy stanowczo zapewniali przerażoną ludzkość, że obecne wstrząsy mają charakter przejściowy i niebezpieczeństwo minie przed upływem paru miesięcy. Z całą stanowczością stwierdzał to również młody europejski uczyony, chluba Polski, Tadeusz Zamiński, słynny podróżnik na Marsie. Dla Zamińskiego świat dopiero się zaczynał i straszliwe klęski, jakie spadły na ludzkość, nie miały dlań żadnego znaczenia. We wszystkim upatrywał prawa przyrody, nieznanego nikomu, a śmierć Antychrysta uważał za tajemnicze wyładowanie się energii elektrycznej, ściągniętej ze stratosfery za pomocą przedziwnej potęgi myśli ludzkiej. Ten rodzaj tłumaczenia nie wszystkich przekonywał i dlatego ludzkość podzieliła się na dwa obozy: jedni, idąc za głosem papieża, przepowiadali koniec świata, inni zaś przeczyli temu w imię nauki! Ale lęk nieodparty ogarniał wszystkich.

Z każdym dniem tajemniczy dźwięk w niebiosach potęgował się coraz bardziej. W nielicznych obserwacjach astronomicznych przez olbrzymie teleskopy można było w nocy zaobserwować ukazanie się na firmamencie nowej gwiazdy, rozmiarami i blaskiem przewyższającej wszystkie pozostałe. Po parutygodniowych obserwacjach astronomowie doszli do wniosku, że jest to niesłychanej wielkości płonąca kometa, która z szalonym pędem zbliżała się ku ziemi. Straszna szybkość płomiennej gwiazdy, która nakształt gromu przecinała przestrzenie wszechświata, była źródłem owego tajemniczego dźwięku, jaki wszyscy słyszeli.

Fakt ten spowodował nowy wybuch trwogi na całym świecie. Ci, którzy zaufali nauce, poczęli tracić nadzieję. Najbardziej pocieszające przewidywania nie mogły pogodzić się z myślą, że kula ziemską w zetknięciu się z potężną kometą zachowa swój kształt i żywotność. Byłoby to zbyt nedorzeczne przypuszczenie. Kres istnienia świata zaznaczał się coraz bardziej wyraźnie w umysłach współczesnych ludzi.

Nastąpiła wreszcie straszna chwila. Pewnej nocy olbrzymia kometa znalazła się tak blisko ziemi, że można było gołymi oczyma ujrzeć morze płomieni, szalejące na jej powierzchni i wielokilometrowej długości ogon, składający się z niezliczonych miliardów iskier. Zderzenie się komety z ziemią przewyższyło znacznie swoim ogromem i potęgą wszystkie poprzednie wstrząsy. Z nocy uczynił się dzień. Straszliwa jasność pokryła połowę świata. Uderzenie było tak potężne, że cały glob ziemski zakołysał się gwałtownie, wytrącony z kręgu

swojego biegu planetarnego. Cała Azja, Afryka i Australja zostały zasypane niezliczonym mnóstwem rozpalonych do czerwoności kamieni. Wszystkie lasy stanęły w płomieniach. Miasta i wsie spłonęły doszczętnie, grzebiąc pod sobą przeszło miliard ludzi. Punkt ciężkości uderzenia znalazł się w oceanie Indyjskim, którego wody wystąpiwszy z brzegów zalały większą część Afryki i Australji.

Była to katastrofa, która ostatecznie złamała duchowo resztę nieszczęśliwej ludzkości, napelniając ją obłędem zgrozy. Wszystkie miasta w pozostałych częściach świata znajdowały się w gruzach. Nagłe zgorzknienie wód w rzekach powodowało liczne zgony i choroby. Firmament nieba stał się terenem niezliczonych katastrof. Całymi grupami lub oddzielnie spadały gwiazdy w otchłanie wszechświatowe zderzając się ze sobą i znikając w nieprzeniknionych ciemnościach bezdennych przestrzeni. W ten sposób zniknęły bez śladu Wielka i Mała Niedźwiedzica, Gwiazda Północna i wszystkie słonecznego systemu planety.

Stefan szalał. Jego umysł, buntował się przeciw przemocy potęg przyrody i niszczeniu życia. Aczkolwiek istniała w nim żywa wiara, wzmocniona cudem pod Rzymem, na co spoglądał własnymi oczyma, to jednak całą potęgą nieukozonej tęsknoty i miłości odrzucał od siebie myśl pogodzenia się z końcem świata.. Był młody, zdrowy i silny i chciał żyć — a kazano mu umierać! Chciał kochać — a musiał patrzeć na śmierć najbliższych mu osób, na śmiertelny przestrach Tereni, która stała się bezradnym dzieckiem, tonącym we łzach i westchnieniach! Rodzice jej umarli tej samej nocy, kiedy przekłęta kometa spadła na ziemię. Stare ich serca nie mogły przetrzymać grozy wstrząsów podziemnych, pożarów, burz i nawałnic oraz strasznej przyszłości ukochanego ich dziecka. Jedynym zatem opiekunem Tereni został Stefan. Przychodziły nań czasami chwile ciężkie. Zamierało mu serce z ogarniającej wszystkich grozy, lęku i bólu i rozpaczliwe myśli przelatywały mu przez głowę, gdy pomyślał o Tereni. Ale w takich chwilach ratowała go wiara, która dla obojga tak młodych i tak szczęścia pragnących serc była jedynym promieniem w ponure i groźne ostatnie dni świata.

Zagasało słońce. Zniknął księżyc. Olbrzymi firmament nieba czerniał przerażającą pustką i spokojem. Zastygł w bezruchu glob ziemski w oczekiwaniu na coś straszego. Znieruchomiały znowu burze i nawałnice. Zamarły oceany. W całym świecie zapanowało milczenie.

Zbliżał się początek końca!

Stefan, ulegając gorącym prośbom Tereni, udał się z nią pewnego dnia na grób jej rodziców, spoczywających na miejscowym cmentarzu. Dzień był ciemny, jak noc, to też posuwali się oboje z pewną trudnością, oświetlając sobie drogę zwykłą ręczną latarką. Po upływie godziny znaleźli się na cmentarzu. Zewsząd bielily się ku nim krzyże kamienne, ustawione na grobach.

Było pusto i cicho... Oddawna nikt już nie odwiedzał cmentarzy.

Doszedłszy do grobu rodziców, Terenia opuściła się na kolana i zatonęła w gorącej modlitwie. Stefan stał za żoną, oświetlając grób, trzymaną w ręku latar-

nią.

Upłynęła długa chwila ciszy i milczenia.

Wtem gdzieś w przestworzach niebios zabrzmiał nagle cichy jęk, przypominający swym dźwiękiem zbliżanie się pamiętnej komety,

Stefan drgnął w przeczuciu nowego nieszczęścia.

Tajemniczy jęk wzrastał, rósł, potężniał, przeobrażał się w świst szalonej wichury, wreszcie nabierał cech zbliżającego się gromu. W niedługim czasie cały świat trząsał się od straszliwego dźwięku, który huczał, grzmiał i targał niebem, wieszcząc złowrogi koniec.

Stefan przymknął oczy i pomyślał:

—Teraz śmierć!

Wtem nagłym ruchem obejrzał się poza siebie, ulegając wewnętrznemu przeczuciu, że ktoś na niego patrzy.

Ze wszystkich grobów cmentarza biło jakieś światło, nieco zamglone, lecz silne.

Stefanowi wyleciała z rąk latarnia i upadłszy na ziemię, zagasła. Terenia z okrzykiem najwyższego przerażenia zawisła na szyi mężowi.

Wszędzie, gdzie tylko okiem sięgnęli, rozwierały się bez szelestu groby i dziwnie jasne ciała wychodziły nazewnątrz. Nikt nic nie mówił, nie krzychał. Wszystko odbywało się w milczeniu. Po chwili olbrzymi tłum przezroczywych, jasnych ciał zapełnił sobą cmentarz, kierując się na południowy wschód.

Drugi okrzyk Tereni przerwał Stefanowi pełną grozy obserwację.

Oto grób Molińskich również zajaśniał dziwnym światłem i oboje rodzice Tereni, niewyraźni jak mgła, minęli ich bez słowa, łącząc się z tłumem zjaw.

Terenia wyprężyła się gwałtownie w objęciach Stefana i, dygocąc na całym ciele, zawołała nabrzmiałym od łez głosem:

—Mamo! Mamo! Ojczy!

Cienie zatrzymały się i ręka matki uczyniła słaby ruch w kierunku Tereni.

Stefanowi włosy zjeżyły się na głowie. Nie był pewny, czy śni, czy patrzy na jawie. Po raz pierwszy w życiu odczuł zwierzęcy strach przed czymś nieznanym, a jednak istniejącym.

Terenia krzyknęła przeraźliwie i nagle zanosła się strasznym śmiechem. Stefan drgnął jak rażony piorunem i, porwawszy oburącz twarzyczkę Tereni, wpatrzył się w jej oczy.

Straszny domysł okazał się prawdą. Błędne spojrzenie nie odzwierciadlało przeczyste, słodkiej duszy ukochanej przezeń kobiety.

Terenia straciła zmysły.

Wówczas w duszy Stefana wybuchł ogień gniewu i rozpacz. Zrozumiał nareszcie, patrząc na mgliste cienie umarłych, że nadszedł dzień Sadu Ostatecznego. Porwawszy tedy na ręce bezwładne ciało kobiety, ten silny, zdrowy mężczyzna ruszył naprzód, zanurzając się w niesamowity tłum zjaw z tamtego świata. Twarz jego pałała, z oczu płynęły strumienie łez i, wznosząc głowę ku czarnym



czeluściom niebios, wołał strasznym głosem:

—Chryste!... Chcę żyć! Chcę kochać! Chryste! ...Ulituj się!...

## Rozdział XIII.

—...Dzień Pana przyjdzie jak nawałnica, którą zsyła Wszechmocny! Dzień mroku i ciemności!\*,\*. Ziemię, która z nadejściem jego była rajem rozkoszy, pozostawi w gruzach i perzynie!... Ludzi ogarnie przerażenie, a twarze ich staną się barwy miedzianej, Wszystkie ramiona zwisną bezwładnie, wszystkie serca ludzkie omdleją. I poczną się łamać; i staną się pastwą bólu i udręki; będą cierpieć jak cierpi niewiasta rodząca; człowiek w osłupieniu spoglądać będzie w twarz człowieka... Oto jako nadejdzie dzień Pana, dzień oburzenia i gniewu, srogości i szału, aby ziemię obrócić w pustynię i rozproszyć z niej grzeszników!...

Wśród łoskotu pękających grobów niesamowity korowód ludzi żywych i umarłych opuścił cmentarz, kierując się w stronę tajemniczego jęku atmosfery, który wzywał ich nieujarzmioną siłą rozszalałych żywiołów świata. Niczem żdźbła wichrem pędzone mknęły cienie świetliste i czarne, zmarłych i żywych, ledwie dotykając stopami wstrząsanej drgawkami ziemi. Z wielu ust, rozpaczą wykrzywionych, wyrwały się słowa, które Zbawiciel wyrzekł, konając na krzyżu:

— Panie! Panie! Czemuś mnie opuścił?!

Tymczasem tajemniczy jęk w atmosferze stał się potężniejszy i bardziej wyrazisty. Słysząc było jakby ryk spiętrzonych wód, grom tysiąca błyskawic, dudnienie potwornych trąt i piekielny gwizd rozszalałej wichury. Ziemia drżała ustawicznie\* wstrząsana spazmami podziemnych wulkanów.

Wśród tłumu żywych ludzi byli tacy, którym sił i głosu zabrakło do krzyku. Toczyli jeno błędnymi oczyma dokoła siebie, łowiąc spieczonemi ustami powietrze i tłumiąc rękoma serca, trzepocące się w piersiach jak ptaki oszalałe ze strachu.

Inni, silniejsi, wyli straszliwymi głosami, załamując ręce w rozpacz lub zuchwale, w dzikiej zapamiętałości, wygrażali niebu, skąd dochodził ów tajemniczy, przepotężny jęk.

Byli jednak i tacy, którzy, pogrążeni w serdecznej modlitwie, trwali niewzruszeni, majestatyczni swym spokojem i ufnością. Ci wypatrywali głodnymi oczyma znaku przyjścia Syna Człowieczego na niebie, pogłębiając radosne uniesienie oczekiwania i płonąć nadziemską rozkoszą boskiego upojenia.

Wśród nich klęczał ostatni papież na ziemi Piotr II. Jak przystało na dobrego

pasterza był jednym z pierwszych, co stawili się w dolinie Józefa- ta, aby oddać swą gromadkę wiernych bardziej od siebie doskonałemu Pasterzowi.

Modlił się, płacząc i bijąc czołem o ziemię.

W najdalszych zakątkach świata, w dżunglach przepastnych, w tajgach syberyjskich, w bezkresnych równinach pustyń, w zamieszkałych lub opustoszałych osiedlach ludzkich otwierały się groby i zaludniały cmentarze świetlistym tłumem zmartwychwstańców, spieszących niczem smugi świetlne na Sąd Ostateczny. Zapomniane od wieków mogiły, w których próchniejące piszczelce i czaszki spoczywały, mocą Bożą zostały powołane do życia, z niczego tworząc ciało, jakie za życia nosił mieszkaniec mogiły.

Bóg tak chciał!

Stefan szedł, zatraciwszy poczucie czasu i przestrzeni. Ziemia drgała mu pod stopami, jęk w atmosferze wzrastał do miliona gromów, nieprzeniknione ciemności otaczały go zewsząd i tylko świetliste cienie zmarłych i żywych falowały, niczem drgająca poświata księżycowa, wzdłuż jego drogi Szedł, trzymając związające bezwładnie ciało Tereni i nie spuszczać wzroku, utkwionego w czarnych czeluściach niebios. Jedyne pragnieniem jego było uprosić Boga o łaskę, o cud, o życie! Chciał kochać — i nie danem mu było żyć z umiłowaną niewiastą! Chciał pracować — a musiał patrzeć na zniszczenie i pożary świata! Przeto szedł, jak błędny, z rozpaczą w sercu i nieubłaganą żądzą życia, aby stanąć przed nadchodzącym Chrystusem i zawołać:

—Ulituj się!

A potem złożyć u stóp Przenajświętszych umiłowaną niewiastę i błagać o uzdrowienie.

Szedł, wierząc w Nieograniczone Miłosierdzie Boże.

Albowiem nie chciał opuścić myśli, że oto wybiła godzina SĄDU świata, że bezpowrotnie wszystko, co ziemskie, miało ulec zniszczeniu!

Wtem straszliwa jasność rozdarła czarne czeluście niebios. Wszechświat płonął. Kula ziemską znalazła się jakby w olbrzymim płomieniu, który ze wszystkich stron otaczał ją zwartym pierścieniem ognia. Jęk atmosfery przeobraził się w jeden nieprzerwany grzmot.

Stefanowi serce poczęło bić jak szalone, a z oczu trysnęły strumienie łez.

Oto nadchodził koniec świata!

Koniec życia ludzkiego na ziemi!

Przygarnął silniej do piersi umiłowaną niewiastę, która, powróciwszy do przytomności, twarz przerażoną ukryła na jego piersiach, i jął biec przejściem między niezliczonymi tłumami, wołając wciąż zapamiętałe:

—Chryste! Ulituj się! Chryste!

Grzmot stał się jeszcze straszliwszy, jasność bardziej oślepiająca. Ziemia poruszała się gwałtownie. Wtem... nieskazitelna białość zalśniła nagle na tle

szalejącego ognia i w szacie ponad śnieg bielszej, w otoczeniu miljar- da istot świetlanych i precudnych ni- czem blaski tęczy, zawisł nad zmar- twiałymi tłumami Ten, którego jedni czekali z upojeniem, drudzy w obłądnej rozpaczy.

Ten, dla którego zabijali się i nienawidzili.

Dla którego kochali się i błogosławili!

## **CHRYSTUS!**

A za zjawieniem się Chrystusa z mocą wielką i majestatem niezliczone za- stępy anielskie jęły rodzie- lać dobrych i złych, stawiając jednych po prawicy a drugich po lewicy.

A wtedy ponad grzmoty płonącego wszechświata, ponad ryki spiętrzonych wód zabrzmiał silniejszy od nich głos Zbawiciela:

**— „Idźcie ode mnie przekłęci w ogień wieczny, który zgotowany jest djabłu i aniołom jego! Albowiem łaknąłem, a nie daliście mi jeść! Pragnąłem, a nie daliście mi pić! Byłem gościem, a nie przyjęliście mnie! Nagim, a nie przyodzialiście mnie! Niemocnym i w ciemnicy, a nie nawiedziliście mnie!”**

Zaczem niby jesienne, zeschłe liście podmuchem wiatru porwane zakoły- sały się niezliczone tłumy stojące po lewicy. Ziemia uciekła im z pod nóg i zrzućeni zostali w morze płomieni, które objęły cały glob ziemski.

A wówczas zabrzmiały po raz wtóry słowa Zbawiciela:

**Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie!**

**Błogosławieni cisi, albowiem oni posiedzą ziemię!**

**Błogosławieni, którzy się smucili, albowiem będą pocieszeni!**

**Błogosławieni, którzy łaknęli i pragnęli sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyćeni!**

**Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.**

**Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają!**

**Błogosławieni, którzy pokój czynili, albowiem nazwani będą synami Bożymi!**

**Błogosławieni, którzy cierpieli prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie.**

I stała się cichość wielka w powietrzu i milczenie.. Przestał płonąć ogień na niebiosach i zbłękitniał. Przestała drgać ziemia.

Tłumy sprawiedliwych stały w modlitewnym upojeniu, nie spuszczać pa- łających oczu z oblicza Zbawiciela.

Oto spełniła się ich wiara!

Przez życie zbożne!

Przez trud życia i jego mękę!

Przez śmierć i zmartwychwstanie!

—Chryste! Ulituj się!

Drgnęły tłumy zbudzone z głębokiego zachwytu.

Stefan z rozwianym włosiem, z dzikiem, nieprzytomnym wejrzeniem stał u stóp Chrystusa, wznosząc ku Niemu wstrząsane płaczem ciało kobiety i wołał:

—Chryste! Chcę żyć! Chcę kochać!

Promienny uśmiech zagościł na twarzy Zbawiciela i słodkie spojrzenie, pełne miłości i przebaczenia, padło na postać ostatniego człowieka, którego miłość nie wygasła z zagładą świata.

—Pójdź za mną! — zabrzmiały ciche słowa. — Na żywot wieczny!

**KONIEC.**